

KULISY ATAKU NA IRAN

Premier Izraela może rozpętać
trzecią wojnę światową



TYGODNIK LISICKIEGO

**DO
RZECZY**

NR 26/635 23-29 CZERWCA 2025
CENA 12,90 Zł (W TYM 8% VAT)

Władze Polski odwracają się
od polskiej mniejszości
na Litwie

WAKACYJNY CYKL

„DO RZECZY”:

Z CEZARYM
GMYZEM
TRATWĄ
PO WIŚLE



Onet próbował dopaść
księdza Jacka Stryczka

Jak Putin wygrywa wojnę na Ukrainie



ISSN 2299-8500

Nr indeksu 288 829



9 772299 850000

Gala Finałowa
34. Festiwalu
Mozartowskiego
**Mozart
night**

vol. 5
29 czerwca
2025
godz.
18.00

Teatr Polski
im. Arnolda Szyfmana
w Warszawie
ul. Karasia 2

Niebezpieczne



Związki Mozarta


**Warszawska
OPERA
Kameralna**
Dyrektor Warszawskiej
Opery Kameralnej
Alicja Węgorzewska-Whiskerd



PATRONAT HONOROWY:



PATRONAT MEDIALNY:



PARTNERZY:



WARSZAWSKA OPERA KAMERALNA - JEST INSTYTUCJĄ
FINANSOWANĄ ZE ŚRODKÓW AMBASADY
WOLNOŚCI WŁAŚCIWYCH NAZWIEMOŚCI

DOFINANSOWANIE ZE ŚRODKÓW MINISTRA KULTURY
I DOFINANSOWANIE NARODOWEGO FUNDUSZU KULTURY
Z FUNDUSZU FINANSOWA KULTURY



epasa.pl c713b17c79



PAWEŁ LISICKI

W RZECZY SAMEJ

Era wojen Trumpa

W swoim wystąpieniu w styczniu tego roku Donald Trump wspominał o tym, że o wielkości przywódcy świadczy nie tylko to, w jakich wojnach zwyciężył, lecz także to, jakie wojny zakończył i, tym bardziej, do jakich wojen nie dopuścił.

Podczas kampanii prezydenckiej obiecywał wielokrotnie doprowadzić do zmniejszenia napięcia globalnego, a w szczególności szybko (padały słowa o 24 godzinach) zakończyć konflikt na Ukrainie. Ba, jeszcze dwa tygodnie temu, występując w Arabii Saudyjskiej, prezydent USA ostro krytykował politykę amerykańskich neokonserwatystów, stwierdzając, że prowadziła ona do wszczynania nowych wojen i wzrostu chaosu. W Rijadzie Trump obiecał nową erę pokoju. Zamiast walczyć, będziemy robić interesy. Zamiast się zwalczać, będziemy zarabiać – tak można by najkrócej ująć jego przesłanie. Trudno zatem nie zauważyć, że atak Izraela na Iran – wiele wskazuje na to, iż został on przeprowadzony za wiedzą, a zapewne i dzięki wsparciu USA – jest faktycznym zaprzeczeniem tych wszystkich deklaracji.

Po pierwsze, tak sam Izrael, jak Stany Zjednoczone twierdzą, że atak jest konieczną formą wojny prewencyjnej. Wchodząc w ostrą polemikę ze swoim dotychczasowym zwolennikiem Tuckerem Carlsonem, Donald Trump napisał, że „Iran nie może mieć broni nuklearnej”. W podobny sposób piątkowy atak uzasadniał premier Benjamin Netanjahu, według którego Izrael nie miał wyjścia, bo gdyby nie zaatakował, Iran wyprodukowałby broń nuklearną.

Otóż tłumaczenie to wygląda niepoważnie i bałamutnie. USA i Izrael oskarżają Iran o prace nad bronią atomową regularnie od

2005 r., z krótką przerwą w latach 2016–2018, kiedy to obowiązywało porozumienie Waszyngtonu z Teheranem. Za każdym razem opinia publiczna bombardowana jest doniesieniami o tym, że już za chwilę, już za minutkę Iran taką broń będzie miał. Skoro od 2005 r. do 2025 r. minęło 20 lat i w tym czasie setki, a może tysiące razy Iran miał zdobyć broń (już-już, tuż-tuż), to spokojnie można wyciągnąć wniosek, że jej na razie nie ma.

Po drugie, istnieje powszechnie dostępny raport amerykańskiego wywiadu, sporządzony już pod przewodnictwem nowej szefowej, Tulsi Gabbard, w marcu 2025 r., z którego jednoznacznie wynika, że Iran obecnie nie prowadzi prac nad produkcją broni jądrowej.

Po trzecie, obecne wystąpienia premiera Izraela i prezydenta USA do złudzenia przypominają opowieści amerykańskich i izraelskich przywódców tłumaczących powody ataku na Irak na początku XXI w. Wtedy zarzekali się oni, że Saddam Husajn wyprodukował broń biologiczną i chemiczną masowego rażenia, którą należy natychmiast zniszczyć. Mimo upływu lat żadnej takiej broni nie znaleziono. Wynika z tego jednoznacznie, że powoływanie się na rzekome zagrożenie ze strony Iranu jest zasłoną dymną. Prawdziwymi celami premiera Netanjahu były doprowadzenie do zmiany rządu w Iranie i realizacja projektu budowy wielkiego Izraela.

Poza tym, przypomnę, do ataku doszło w chwili, gdy Waszyngton i Teheran prowadziły negocjacje w sprawie nowego układu z Iranem: ograniczenie wzbogacania uranu w zamian za dostęp do części zamrożonych środków i zniesienie wybranych sankcji. Jeszcze w czwartek prezydent USA twierdził, że porozumienie musi nastąpić do niedzieli! Jak

zatem wytłumaczyć fakt, że do izraelskiego ataku doszło w piątek i że jego celem stali się... także irańscy negocjatorzy? Czyżby Izrael przeprowadził taką operację wbrew woli i wiedzy prezydenta USA? Mogłoby to sugerować szybkie oświadczenie amerykańskiego sekretarza stanu, Marca Rubia, który stwierdził, że o ataku izraelskim Stany Zjednoczone nic nie wiedziały. Problem polega na tym, że niemal w tym samym czasie ze słów Donalda Trumpa można było wyciągnąć odwrotny wniosek: operacja izraelska została przygotowana w zgodzie i za wiedzą USA. To zaś mocno uderza w wiarygodność Amerykanów.

Jaki sens mają jakiegokolwiek negocjacje, jeśli jedna ze stron toczy je w złej wierze i wykorzystuje je nie do osiągnięcia porozumienia, ale do zwiedzenia drugiej? Wygląda na to, że Amerykanie użyli podstępny, rozmowy miały charakter pozorny, a chodziło w nich o skuteczne uderzenie w Irańczyków. Izrael przeprowadził z zaskoczenia coś, co wielu nazywa akcją „dekapitacyjną”, zabijając kilkudziesięciu wojskowych przywódców irańskich i naukowców.

Jednak trudno powiedzieć o całkowitym sukcesie. Po pierwsze, efektem całej operacji jest potężny cios w dyplomację USA. Po drugie, Izrael znacznie osłabił Iran, ale – wszystko na to wskazuje – nie zniszczył go. Najważniejsze, że nie doszło do zmiany reżimu. Jeśli ta się szybko nie dokona, to Izrael stanie przed koniecznością wojny na wyniszczenie. Nie wydaje się, żeby był na to gotowy, i dlatego premierowi Netanjahu pozostało jedno: musi nakłonić USA do bezpośredniego wejścia do wojny. Może to wszakże wywołać wiele nieprzewidzianych, dramatycznych reakcji. Zamiast ery pokoju nastąpi era wojen. ©

TEMAT TYGODNIA

12 ŁUKASZ WARZECHA

ROSJA WYGRYWA?

Moskwa kontra Kijów – kto jest górą

15 GRZEGORZ ŚLUBOWSKI

KLUCZ PUTINA DO ROSJAN

18 DARIUSZ WIEROMIEJCZYK

KTÓRĘDY NA MOSKWĘ?



KRAJ

22 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ

FAZA JERZEGO URBANA

Roman Giertych podbija PO

24 RADOŚLAŃ WÓJTAS

TĘCZA JAK BUMERANG

26 JAN POSPIESZAŁSKI

ZANIM WYDAMY WYROK

30 ZUZANNA DĄBROWSKA-PIECZYŃSKA

DOPAŚĆ KSIĘDZA

32 PIOTR SEMKA

SPOWIEDŹ DZIECIĘCIA WIEKU

34 ŁUKASZ ZBORAŁSKI

RATUJMY MALUCHY!

KULTURA

36 PIOTR SEMKA

GDY SZTUKA WYRWAŁA SIĘ NA MURY

Wielka wystawa w Musée d'Orsay

39 KRZYSZTOF MASŁOŃ

BOHATEROWIE KSIĄG ZBÓJECKICH – ONR-OWIEC RZECKI

40 PIOTR GOCIEK

DETEKTYWI

OD SPRAW BEZNADZIEJNYCH

NIE PRZEGAP

42 NASZ PRZEWODNIK

FILMY, GRA, WYSTAWA, KSIĄŻKI

OPINIE

46 ROZMOWA Z JÁNÓSEM BÓKĄ

WZYWAMY

DO OKUPACJI BRUKSELI

Unię Europejską

trzeba zreformować

49 MARCIN SKAŁSKI

ZWALCZANI PRZEZ POLSKĘ

52 PAWEŁ CHMIELEWSKI

OSŁABIANY KULT EUCHARYSTII

HISTORIA

54 RAFAŁ ŁATKA

ESBEK OD INWIGILACJI KOŚCIOŁA

Błyskotliwa kariera

w aparacie bezpieczeństwa



ŚWIAT

60 JACEK

PRZYBYLSKI

NETANJAHU

MARZY

O HEGEMONII

Wielka wojna
na Bliskim
Wschodzie

64 ROZMOWA

Z DR. MICHAŁEM KRUPĄ

NIE POTRZEBUJEMY

Z NIKIM ŚWIĘTEJ WOJNY

68 MACIEJ PIECZYŃSKI

MAFIA NA FRONIE WOJNY HYBRYDOWEJ

EKONOMIA

72 JAN BOGATKO

NIEMCY – KRAJ ZWIJAJĄCY SIĘ?

Deindustrializacja za Odrą

WAKACJE

76 CEZARY GMYZ

LEKCEWAŻONA KRÓLOWA RZEK

Tratwą po Wiśle

ADRES: TYGODNIK DO RZECZY

Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00
e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.PL

REDAKCJA: Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
Zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**

SEKRETARIAT REDAKCJI: **Jacek Przybylski** (I sekretarz redakcji),
Radosław Wojtas (II sekretarz redakcji), **Filip Memches**

KOLEGIUM KOMENTATORÓW:

Cezary Gmyz, Piotr Godek, Krzysztof Masłoń, Piotr Semka,
Łukasz Warzecha, Rafał A. Ziemkiewicz

STALI WSPÓŁPRACOWNICY I FELIETONIŚCI:

Olivier Bault, Joanna Bojańczyk, Grzegorz Brzozowicz,
Wojciech Cejrowski, Wiesław Chełmiński, Dominika Cośic (*Brusela*),
Tomasz Cukiermistrz, Łukasz Czamecki, Wojciech Golonka, Ryszard Gromadzki,
Marek Jurek, Jerzy Karwelis, Jacek Komuda, Sławomir Koper,
Piotr Kowalczyk (*Rzym*), Grzegorz Kucharczyk, Piotr Litka,
Łukasz Majchrzyk, Monika Małkowska, Andrzej Nowak, Jacek Palkiewicz,
Maciej Pieczyński, Jan Pospieszalski, Witold Repetowicz,
Wojciech Roszkowski, Joanna Siedlecka, Teresa Stylińska, Artur Szeremeta,
Błażej Torzański, Piotr Włoczyk, Dariusz Wieroniewicz, Jakub Wozniak,
Tomasz Zbigniew Zapet, Łukasz Zboralski

PORTAL DORZECZY.PL redaguje Karol Gac z zespołem: Zuzanna Dąbrowska-
Pieczyńska, Małgorzata Puzry, Anna Skalska, Anna Szczepańska, Marcin
Bugał, Damian Cygan, Jan Fiedorczuk, Grzegorz Grzymowicz, Dawid
Sienkowski, Łukasz Zygałdo

STUDIO GRAFICZNE: Wojciech Niedziółko (kierownik studia),
Marta Michałowska, Jakub Tański (skład), Jacek Nadratowski (obrobka zdjęć)
Fotoredakcja: Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk
Korekta: Anna Zalewska, Magda Zubrycka-Wernerowska,
Agata Błaszczyk-Stefaniak, Agnieszka Szpak

RYŚOWNICY: Andrzej Krauze, Cezary Krysztopa
Okładka: Kremlin Press Office/Anadolu/Abaca/East News

WYDAWCA: Do Rzeczy SA

Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00, fax: +48 22 347 50 01

Wydawca tytułu, Orle Pióro SA, wchodzi w skład Grupy
Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW.



Zarząd PMPG Polskie Media SA:

Katarzyna Gintrowska, Jolanta Kloc

Zarząd Spółki Do Rzeczy SA

Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki

MARKETING: **Piotr Pech** tel.: +48 500 112 377, marketing@dorzeczy.pl

BIURO REKLAMY: reklama@dorzeczy.pl

tel.: +48 508 040 684, +48 888 727 213

PUBLIC RELATIONS: (PR manager), pr@pmpg.pl

DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:

Adam Borzecki, a.borzecki@pmpg.pl, +48 500 112 424

DRUK: Walstead Starachowice
PRENUMERATA WYDAWNICZA:

Joanna Gosek, Joanna Nowakowska

+48 508 040 664, +48 539 953 631, Od pn.-pt. w godz. 10:00-16:00

e-mail: prenumerata@pmpg.pl, https://subskrypcja.dorzeczy.pl/

PRENUMERATA KOLPORTERSKA:

Kolporter sp. z o.o. (instytucjonalna), tel.: +48 (41) 367 88 88

e-mail: prenumerata.warszawa@kolporter.com.pl, www.kolporter.com.pl

Garmond tel.: +48 (12) 422 14 85, e-mail: prenumerataprasy@poczta.pl

www.poczta.pl/prenumerata#prasa

GLM sp. z o.o. tel.: +48 (22) 649 41 61, www.glm.pl

Poczta Polska https://prenumerata.poczta-polska.pl/

ISSN nakładu podstawowego 2299-8500

Nr indeksu 288 829



Sprzedż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena
detaliczna ustalona przez wydawcę jest zabroniona.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów
niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiustacji
tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa
autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie
materiałów opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy” jest zabronione.

© © Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem
autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie
artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania
materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin

Drodzy Czytelnicy!

Dziękujemy za wszystkie Państwa
listy i e-maile. Przypominamy, by
korespondencję elektroniczną
kierować na adres: listy@dorzeczy.pl.

„Pandemia mniemana”, Jerzy Karwelis, „DRz” 23/2025

Szanowna Redakcjo,
dziękuję bardzo za artykuł pana redaktora
Karwelisa dotyczący pandemii.
Jako lekarz do tych samych wniosków
doszedłem ponad rok temu, gdy „Gazeta
Lekarska” opublikowała „niepodważalne
dowody” śmiertelnego zagrożenia, jakim
była pandemia. I w tychże czarno na
białym stało, że podczas pierwszej fali
(pierwsze pół roku) nie było żadnych
dodatkowych zgonów.



Jestem lekarzem i niestety wszystkie
jabłuszka włożyłem do jednego koszyczka,
i nie potrafię zarobkowo robić niczego
innego. Najcenniejszą materialnie
rzeczą, którą posiadam, jest moje prawo
wykonywania zawodu. Dlatego proszę
o anonimowość (niepodawanie publicznie
mojego e-maila), bo pisząc szczerze,
to się trochę izb lekarskich cykam. Mają
prawo odebrać i zawiesić moje prawo do
wykonywania zawodu.

Nie wiem, czy z delikatności czy z troski
o to, aby dyskusja o bodaj najważniejszym
artykule obecnego roku nie zesłała na
mniej istotne tory, pan redaktor (do tej
chwili mam ochotę napisać Warzecha –
jakoś tak naturalnie zakładałem, że to on
popętni wyżej wymienioną analizę) nie
wspominał o czynniku psychologicznym.
I nie mówię tu o mediach. Sam pytany

jeszcze w lutym 2020 r. przez moich
pacjentów, co to będzie z tym nadciągają-
cym COVID, odpowiadałem, że jest jeden
świetny i absolutnie skuteczny lek, ale od
razu zaznaczam, że hipokrytycznie ja go
stosować nie będę. „Wyłączyć telewizor.
A ja się nie zastanawiam, bo po prostu telewi-
zora nie mam”. Mam na myśli świadome
czy podświadome (absolutnie nie zakła-
dam, że moje koleżanki i moi koledzy to
sami cynicy; najlepszym człowiekiem, ja-
kiego w życiu poznałem, jest neonatolog)
podsyłanie pandemii brykietami dodat-
ków finansowych dla lekarzy. W osobnym
„śledztwie” można by sprawdzić, ile tego
było, i zadać czytelnikowi pytanie, czy za
taką kasę to sam by chętniej nie przyzna-
wał, że epidemia szaleje, a szczepić się
trzeba, i to cztery-pięć razy. Ja od lat pra-
cuję jedynie prywatnie, więc przecieków
dla państwa nie mam. Sam bym chętnie
zobaczył, co tam im do garażów pow-
sadzali za współpracę.

Chciałbym państwa prosić
o przemyślenie, czy nie warto by
rozważyć na łamach kompetencji izb
lekarskich do „kary głównej”, wspo-
mnianej powyżej, czyli zawieszenia
i odebrania PWZ (prawa wykonywa-
nia zawodu). Mając doświadczenie
z pracą na Zachodzie, wiem, że tam
jest to bicz na medyków wykorzy-
stywany bezwzględnie. I tak jak dla
wolności słowa niedoszła ustawa
miałaby efekt mrozący, tak upraw-
nienia IL mają taki efekt od zawsze.

I o ile do 2020 r. uważałem, że
„u nas” to jest normalnie i takich głupot
jak za granicą nie robią, o tyle utraciłem
to poczucie bezpieczeństwa, bo i u nas
za pogląd można mieć złamane życie.
Osobiście czułbym się spokojniej, mając
takie zabezpieczenie jak sędziowie. Nie
tak łatwo takiemu zabrać tożsamość. A prze-
cież lekarze wkładają w swoje wykształ-
cenie, wiedzę i kompetencje więcej
wysiłku i więcej poświęcają, a na koniec
nie mają takiego zabezpieczenia „eme-
rytalnego”. To chociaż PWZ moglibyśmy
mieć trochę lepiej chronione. Bardzo
proszę o rozważenie tego problemu i po-
szukanie durnych powodów, dla których
lekarzom poodbierali PWZ. W samej
„Gazecie Lekarskiej” jeszcze przed COVID
czytałem o debilnych pretekstach.

Serdecznie pozdrawiam
Paweł

NA PIERWSZY OGIEŃ

Pozór pojednania



PIOTR SEMKA

Versöhnungskitsch” – „Kicz pojednania” – tak w latach 90. nazwano stagnację w relacjach polsko-niemieckich. Termin ten ukuły osoby autentycznie zaangażowane w kontakty między oboma narodami przed 1989 r. Ich intuicja, że coś się banalizuje, była trafna, ale nie byli oni gotowi do wskazania przyczyn zjawiska. „Kicz pojednania” był efektem zdominowania i zinstytucjonalizowania dialogu między oboma państwami przez liczne niemieckie instytucje rządowe, fundacje partyjne. Państwo niemieckie łożyło na ten swoisty „przemysł pojednaniowy” ogromne sumy, nie rozumiejąc, że wytwarza on tylko pozór historycznej dyskusji. Bardzo szybko wytworzyła się cała grupa polskich historyków i aktywistów, którzy po prostu żyli z niemieckich fundacji, ulegając życzeniom niemieckiej strony.

Cała ta faza przejściowa zakończyła się wraz z pojawieniem się Eriki Steinbach i żądaniami Powiernictwa Pruskiego dotyczącymi odszkodowań dla Niemców za majątki pozostałe na utraconych

terenach Niemiec. To był pierwszy moment, w którym bardzo wielu Polaków uznało, że tak wystawiany „cud pojednania” był w dużej mierze pozorem. Berlin nie tylko nie wyciągnął z tego wniosku, lecz także zareagował na kryzys metodą „jeszcze więcej tego samego”. Kolejną cezurą było dojście do władzy prezydenta Lecha Kaczyńskiego i PiS w latach 2005–2007. Okazało się, że gdy Niemcy uznali, iż do władzy nad Polską doszła „niewłaściwa” ekipa, stosunki stały się lodowate. I to był koniec polskich złudzeń o jakimkolwiek partnerstwie z RFN. Pozostał tylko klientyzm Donalda Tuska.

Nałożył się na to jeszcze proces wymierania generacji Niemców pamiętających z osobistych doświadczeń skalę zbrodni niemieckich w trakcie okupacji Polski w latach 1939–1945. Zbiorowa wyobraźnia wojennych win w RFN od nowego wieku zacieśniła się do Holocaustu i hołdów dla słusznych ideologicznie grup ofiar takich jak homoseksualiści, komuniści czy ludy Sinti-Roma. I tym grupom wybudowano pomniki ofiar stosunkowo szybko

i sprawnie. A na pomnik polskich ofiar czekamy do dziś. I nikt nie jest nawet w stanie w Berlinie określić, kiedy ma powstać i w jakiej formie.

I dlatego uroczyste odsłonięcie ogromnego głazu sprowadzonego ze Szwecji jako namiastki pomnika polskich ofiar w stolicy Niemiec jawi się jako pozór pojednania. Polska prawica zareagowała na to demonstracyjne lekceważenie polskich uczuć żądaniem reparacji. A strona niemiecka ten postulat konsekwentnie odrzuca. Dlatego rytuały wokół pomnikowego „erzacu” nie wywołują specjalnych emocji. Pomnik odsłaniali jedynie polska minister kultury i jej niemiecki odpowiednik, a nie prezydenci czy szefowie rządów obu krajów. A wielu Polaków uznało głaz za ochłap rzucony na odczepne.

Ludzie dobrej woli w Polsce w latach 70. i 80 byli przekonani, że w RFN świadomość o skali niemieckich krzywd wobec Polski będzie trwałym elementem niemieckiej kultury pamięci. Dziś wiemy, że tak się nie stało. I Polacy bardzo dobrze to czują. Nawet 100 kamieni ze Szwecji nic tu nie zmienia. © ©



PUBLICYŚCI „DO RZECZY” NAGRODZENI PRZEZ SDP

Stowarzyszenie Dziennikarzy Polskich przyznało w zeszły wtorek doroczne nagrody wzorowane na amerykańskiej Nagrodzie Pulitzera. Wśród laureatów 31. edycji znaleźli się publicyści „Do Rzeczy”. Jacek Przybylski (z prawej) otrzymał Nagrodę im. Eugeniusza Kwiatkowskiego za dziennikarstwo ekonomiczne. Radosław Wojtas odebrał wyróżnienie (w kategorii Nagroda im. Macieja Łukasiewicza) za publikacje na temat współczesnej cywilizacji i kultury oraz popularyzację wiedzy. Laureatką Nagrody Głównej Wolności Słowa została Danuta Holeczka z TV Republika, a Laur SDP otrzymał o. Tadeusz Rydzik. (jap) © ©

Wypada zaczynać od wieści o dwóch prezydentach: aktualnym i elekcie. Otóż na ostatnie posiedzenie Rady Bezpieczeństwa Narodowego Karol Nawrocki wkroczył jak Król Lew, co zresztą odbiło się sporym echem w mediach społecznościowych. Jednak chwilę później oddał pałeczkę samca alfa urzędującemu prezydentowi. Relacje, które się w tej kwestii pojawiły w mediach, jednak nie oddają w pełni tego, co się stało. Zaczęło się od tego, że Donald Tusk próbował giertychizować w kwestii rzekomego fałszowania wyborów. Andrzej Sebastian natychmiast zgasił Tuska kilkoma ripostami. Co dziwniejsze – Tusk dał się zgasić. Co przyznają nawet jego wyznawcy. Takiego Tuska jeszcze nie widzieliśmy.

Zbuta, choć kulturalnie, potraktował z kolei samego Giertycha nie kto inny, jak I prezes Sądu Najwyższego – Małgorzata Manowska. Nie było to jednak trudne, gdyż człowiek zwany Koniem dał w sądzie popis niebываłego chamstwa. Nasze wiewiórki twierdzą jednak, że informacje, jakoby I prezes miała określić Konia mianem „śmierdziela”, nie polegają na prawdzie. Dodajmy jednak, że nasze wiewiórki były w pewnym oddaleniu. Sami znaleźlibyśmy kilka innych równie dobrych określeń.

Odkąd pałacyk MSZ na Foksal wrócił w ręce prawowitych właścicieli, nie bardzo można znaleźć miejsce dla elekta, bo tam właśnie urzędował niegdyś Andrzej Duda po tym, jak pokonał Bronisława Komorowskiego, a jeszcze przed zaprzysiężeniem. Ekipa Karola Nawrockiego urzęduje więc kątem w Pałacu Prezydenckim, a jej część pracuje zdalnie. Niektórych można spotkać też z laptopami w pobliskich kafejkach. Na szczęście nie są to jeszcze ludzie powszechnie rozpoznawani. Wprawdzie miasto stołeczne dysponuje obiektami, które by się nadały, jednak jak się domyślicie, Rafał raczej w tym przypadku nie wystąpi z odpowiednim zaproszeniem.

Wnasze brudne łapska wpadły interesujące dane. Chodzi o stopień ofiarności Polaków w kwestii wpłat na kampanię Karola Tadeusza Nawrockiego. Otóż prawidłowej wpłaty

dokonało 46 590 osób. Średnia arytmetyczna wpłat na głowę wynosi zatem mniej więcej 500 zł. Najwyższa pojedyncza wpłata to 69 990 ziko. Najmniejsza to 1 grosz (słownie: jeden grosz), ale takie drobne wpłaty robili złośliwcy od silnych razem. Kwota prawidłowych wpłat wyniosła łącznie 23 298 787 zł. Błędne wpłaty to natomiast kwota ok. 2,3 mln zł, było ich dokładnie 9476. Te pieniądze wrócić do nadawców, którzy popełnili błędy, wypełniając przelew.

Trwa tymczasem meblowanie Kancelarii Prezydenta elekta Karola Tadeusza. Niektórym z tej okazji uderza do głowy woda sodowa. Na przykład niejaki Jan Kanthak już dzieli stanowiska przyszłych ambasadorów, których powoływał będzie Karol Tadeusz. Troszkę przedwcześnie naszym zdaniem. Bo jednak ktoś z rządu musi najpierw kandydatury wysunąć. A rząd – ani prawdziwy, ani dusz – jeszcze do Kanthaka nie należy.

Odetchnęliśmy z ulgą: wrócił Tęczowy Rafał! A już się martwiliśmy, że nam zkomorowszczeje doszczętnie, zapuści wasy oraz organizował będzie Marsze Jeszcze Więcej Niepodległości. Na szczęście Rafał się odnalazł, i to tam, gdzie czuje się najlepiej: między pederastami a satanistami, wśród sadomasochistów i aborterów, ogłaszając dumnie: „Cała

parada jest pod moim patronatem”. Dziękujemy ci, Rafale. Wszak chodzi o to, „żeby w kwestii tej nocy była pełna jasność”. Znasz na pewno ten cytat. Skoro czytałeś Morina, to pewnie i Barańczaka.

Tymczasem w PiS. Cicha wojna trwa między Andrzejem Śliwką, niedawnym filarem sztabu wyborczego Karola Tadeusza, a Rafałem Bochenkiem, rzecznikiem PiS. Śliwka nie ukrywa bowiem, że to on miałby chrapkę na stanowisko rzecznika. Do niedawna miał nawet w tej batalii wsparcie Błaszczaka. Ale już nie ma. O tym, jak je utracił, czytacie w następnej notce.

Otóż jak zwykle przyczyną kłopotów są nadmierne ambicje. Andrzej Śliwka nie tylko chciałby być rzecznikiem PiS teraz, lecz także ministrem w przyszłości. I to nie zwykłym ministrem, lecz ministrem obrony. W końcu po coś się przyucza w sejmowej Komisji Obrony Narodowej. Niestety, nieopatrznie chlapnął coś o tych ambicjach w towarzystwie osób, które powtórzyły to Błaszczakowi. Który nie po to był ministrem obrony, żeby znowu nim nie być. I tak Śliwka stracił jednego z protektorów.

Tymczasem w rządzie. Rozpadła się Trzecia Droga, czyli sojusz świnek z kurkami, znaczy Peezelu i Szymona 2050. Stało się to dwa lata i kilka tygodni po tym, jak Piotr Zgorzelski zachwalał ów egzotyczny sojusz słowami: „W ten projekt jajka na bekonie najbardziej zaangażowała się świnka, a trochę mniej kurka”. Nie wiemy, czy bardziej zabrakło bekonu czy jajek, wiemy za to, że najbardziej – wyborców.

Ja w kraju niewyjęte” – jak śpiewał drzewiej Jacek Kaczmarski. Nie dość, że zamiast potężnego Świnio-Kuru mamy dwóch poobijanych politycznych liliputów, to jeszcze zamiast prawdziwej „Tarczy Wschód” dostaliśmy jej makietę. Makietę zbudowano po to, by okazać ją gościom z zagranicy żądnym wieści o tym, jak Polska rozwija swą potęgę i broni Europy przed Rosją. Aby ułatwić gościom wizytę, makietę zbudowano pod Warszawą, a nie nad Bugiem. Dziwi nas hejt na gabinet, który dokonał tego heroicznego wyczynu. Bo niby czego oczekiwaliście po atropie rządu? ©©



FOT. ROBERT GARDZIŃSKI



RAFAŁ A.
ZIEMIAKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

Spełnione marzenie Tuska

Pośród zmartwień, które długo by wylizywać, ma Donald Tusk drobny powód do radości: rozpadła się wreszcie Trzecia Droga, projekt polityczny, który udaremnił przed dwoma laty realizację jego idée fixe: „jednej listy obozu demokratycznego”. Co prawda, upadający projekt dał także Tuskowi władzę, ale nie w taki sposób, w jaki on chciał. I trzeba przyznać, że jako koalicjanci okazali się Hołownia i Kosiniak-Kamysz bardzo potulni, zadowolili się stołkami dla swoich ludzi i robili, co Tusk kazał, ale mimo wszystko nikt nie lubi ludzi, którzy udaremnił mu spełnienie marzeń. A marzeniem Tuska był triumf nad Kaczyńskim, taki triumf w stylu rzymskim – a nie

tylko odzyskanie władzy dzięki politycznej kinder-niespodziance, która niemogącemu przebić swego „szklanego sufitu” żelaznego elektoratu Tuskowi dodała 3 mln naiwnych i koalicyjną większość. Lider PO usiłował osłodzić sobie rozczarowanie opowieścią, że to on „pożyczył” Trzeciej Drodze głosy, ale, delikatnie mówiąc, dalsze wybory elektoratu z października 2023 r. tego nie potwierdziły.

Trzecia Droga rozpada się, bo jako koalicja nie jest w stanie wejść do Sejmu. Rzecz w tym jednak, że osobno ani partia Hołowni, ani PSL też nie wchodzi. Polska 2050 zapewne rychło się rozpadnie, jak kiedyś Nowoczesna czy Kukiz'15. PSL nie ma szansy w pojedynkę

przekroczyć wyborczego progu, a nie ma też kogo użyć, jak wcześniej Kukiza czy Hołownię właśnie, by sobie tych kilka brakujących procent dodać. Obie partie czeka więc „lubnaueryzacja” w PO, choć ich liderzy może tego nie wiedzą.

Pan Bóg spełnił więc marzenie Tuska. A jak wiemy od św. s. Faustyny, kiedy Pan spełnia marzenia grzesznikom, to po to, by ich ukarać. Tak jak spełnił kiedyś marzenie Adama Michnika o połączeniu „reformatorskich sił” Okrągłego Stołu: nazywało się to, kto jeszcze pamięta, LiD. „Jedna lista” Tuska pewnie osiągnie większy sukces i wejdzie do Sejmu, a on sam będzie wreszcie jedyną rybą w stawie. Tyle że ten staw już wysycha. ©©



MAREK JUREK

PROTOKÓŁ ROZBIEŻNOŚCI

Ukraińska zagadka

Null” to bodaj najlepsza powieść Szczepana Twardocha, świetnie wpisująca się w tradycję nonkonformistycznego, a jednocześnie brutalnego do najdalszych granic realizmu, humanizmu Józefa Mackiewicza.

Twardoch bardzo klarownie odsłania zasadnicze źródło rosyjskiej agresji przeciw Ukrainie: posowiecką niezdolność nie tylko do respektowania, lecz także po prostu do pojmowania praw narodów. Źródłem tego pozostaje stalinowski antyfaszizm totalny, spajający nową (choć pozującą na starą) i sowiecką Rosję. „Eschatologia tej krwawej religii opierała się w całości na pabiedzie 1945 roku [...],

sakramentem zaś była przemoc i był to starożytny sakrament”. To właśnie ów dziki antyfaszizm usprawiedliwiał i usprawiedliwia wszystko – zbrodniczą władzę, najazdy, mordy, gwałty, a przede wszystkim całkowitą dehumanizację przeciwników, więc w konsekwencji – ofiar. Tłumaczenie tego jednak może być dość jałowe, bo – jak celnie zauważa narrator – „zawodowi antyfaszyści w Warszawie dość prosto konceptualizujący rzeczywistość i tak by nie zrozumieli”.

Powieść Twardocha zachęca przede wszystkim do refleksji nad przyszłością Ukrainy. Dla wielu ta wojna się nie skończy. Biorąc pod uwagę długotrwa-

łość, jej skutki społeczne mogą przypominać następstwa pierwszej wojny światowej dla Francji albo obu wojen światowych dla Niemiec. I dla innych narodów. Mussolini i Lenin byli obaj socjalistycznymi rewolucjonistami. Ich drogi rozeszły się w roku 1914, bo z identycznego przekonania, że wojna „ślad przeszłości zmiecie”, że niesie radykalną zmianę społeczną, wyciągnęli przeciwstawne wnioski. Jeden uważał, że droga do rewolucji wiedzie poprzez sabotowanie wojny, drugi – że poprzez zaangażowanie w wojnę. Obaj osiągnęli swój cel.

A dokąd wojna zaprowadzi Ukrainę? Czas, byśmy coraz częściej stawiali sobie to pytanie. ©©

RYSUJE CEZARY KRYSZTOPA

PIOTR KOWALCZYK
Z RZYMU

PIECZEŃ RZYMSKA

O uszcześliwianiu **na siłę**

Rewolucjoniści włoscy postanowili przyjąć z odświeżoną Wenecją, której grozi inwazja ze strony Jeffa Bezosa i jego akolitów. Właściciel Amazona postanowił bowiem poślubić w bajecznym mieście na wodzie Lauren Sánchez, a potem przez trzy dni świętować.

Powstał komitet „Nie ma miejsca dla Bezosa”. Jego przewodniczący, Tommaso Cacciari, powiedział włoskim mediom: „Wenecja nie należy do miliardera Bezosa. Ten ślub to akt wyjątkowej pychy i arogancji. Bronimy naszej godności. Bezos wykorzystuje swoich pracowników, wspiera Trumpa i zamierza okupować Wenecję”.

Do postępowego komitetu zapisał się Narodowy Związek Partyzantów Włoskich (sic!), cała

galaktyka organizacji ekologicznych i pacyfistycznych, w tym Ostatnie Pokolenie, a także anarchizujące centra społeczne ze squatów, czyli zawodowi zadymiarze, bez których we Włoszech nie może się odbyć żaden protest, obojętnie czego dotyczy. Teraz to panoptikum planuje „strzelać” do gości Bezosa z pistoletów wodnych, pikietować hotele, w których zamieszkają weselnicy, blokować kanały i wejście do kościoła, gdzie ma odbyć się ślub.

Jest więc jasne, że Wenecję będzie okupować szukające rozgłosu pospolite ruszenie zideologizowanych szaleńców, a nie 250 gości weselnych Bezosa (wśród anonsowanych VIP-ów są Lady Gaga, Leonardo DiCaprio, Mick Jagger, Ivanka

Trump i siostrzyczki Kardashian).

Jedno z haseł protestu, wyjątkowo kretyńskie, brzmi: „Nie dla pieniędzy kapitalistów”. Wynika z tego, że pieniądze można brać tylko od socjalistów i komunistów. Jak się szacuje, wesele będzie kosztować Bezosa 30 mln dol. Komitet postępowców protestuje, tłumacząc, że cała forsa wpadnie do kieszeni „hotelowego lobby zarządzanego przez finansowy kapitalizm”. Można podejrzewać, że przyjeźdni rewolucyjni bojownicy, którzy chcą lud wenecki wydrzeć ze szponów kapitalistów i milionerów, napotkają ostry opór zacofanych miejscowych, bo ci liczą, że na Bezosie i jego gościach uda im się dobrze zarobić. © ©

Autor jest korespondentem Polskiego Radia.



ZUZANNA
DĄBROWSKA-
-PIECZYŃSKA

GWIAZDOBZDUR

KARUZELA ŚMIECHU

Za nami 62. Krajowy Festiwal Piosenki Polskiej w Opolu. W ramach imprezy zorganizowano kabareton poświęcony pamięci Stanisława Tyma, który zmarł w grudniu w wieku 87 lat. Można mieć wątpliwości, czy Tym byłby zadowolony z takiego upamiętnienia, bo poziom żartów zaprezentowanych przez kabareciarzy nie był, najdelikatniej ujmując, wysokich lotów. Wśród występujących pojawił się Jacek Fedorowicz.



FOT. ADAM BURKOWSKI/FEAST NEWS

W jego występie nie mogło rzecz jasna zabraknąć odniesień politycznych. I gdyby chociaż żarty były zabawne... – Doszliśmy, zagadało się o panu prezesie Jarosławie Kaczyńskim. Muszę dodać, że jego zwolennicy w dzisiejszej dobie mnożących się oskarżeń mówią, że prezesowi nic nie grozi, bo on ma czyste sumienie, on jest czysty jak iza. Mówią o nim tklawie „nasze niepokalane kaczące” – „żartował” Fedorowicz, co wywołało mieszane reakcje publiczności,

kłóra ewidentnie była zdziwiona tego rodzaju odniesieniami. Im dalej w występ, tym (nie)śmieszniej. Pojawił się, a jakże, temat prezydenta elekta Karola Nawrockiego. Fedorowicz zasugerował, że rozliczanie opozycji przebiega zbyt wolno. – Natomiast inni są niestety ciągnący po sądach, może jeszcze ciągle zbyt niemrawo, ale są, są ciągnący i jest obawa, że jak pan prezydent elekt już obejmie urząd, bo to jest tak, że nie urzęduje jeszcze prezydent elekt, tylko prezydent delikt – mówił. – Jak prezydent elekt obejmie urządowanie, to może nie nadążyć z ulaskawieniem i ma mu pomagać, to tak na pociechę, Trybunał Konstytucyjny. Konkretnie pani Krystyna Pawłowicz będzie, kogoś wywloką do więzienia, a ona zarzuci szal na głowę i krzyczy: „Mój ci jest”. Istnieją poważne obawy, że wielu skazańców będzie rezygnować z ulaskawienia – spuentował satyryk. Niech ktoś zatrzyma tę karuzelę śmiechu, natychmiast!

ŁEZKA WZRUSZENIA

Jacek Fedorowicz nie był jedynym kabareciarzem niemogącym oprzeć się pokusie komentowania sytuacji politycznej w kraju, ale już państwu oszczędzę dalszej męczarni. Teraz wątek muzyczny. Opole to też jubileuszowy koncert „Trzy ćwiartki Jacka Cygana – urodziny”. Koncert, w przeciwieństwie do kabaretonu, zebrał raczej pochlebne recenzje. Na scenie m.in. Ralph Kaminski Anna Jurkaszewicz, Majka Jeżowska, Piotr Cugowski, Ryszard Rynkowski oraz Edyta Górnika. Okazuje się, że to ostatni raz Edzi na opolskiej scenie. Oświadczenie w tej sprawie diwa opublikowała kilka godzin przed rozpoczęciem niedzielnego koncertu. „»Kasztany«, »Nie proszę o więcej«, »Jak najdalej«, »Dziwny jest ten świat«, »Cygańskie serce«, »Do grającej szafy grosik wrzuć«, »Z Tobą chcę oglądać świat«, »Jestem kobietą«, »Walc Embarras«, »Powróć się tu«, »Żył chłopak«, »Z całego serca życzę Ci«, »Dziś prawdziwych Cyganów już nie ma«, »Dumka na dwa serca«, »Nie pytaj

o Polskę«, »To nie ja«, »Szczęśliwej drogi już czas«... Śpiewałam na tej scenie wiele pięknych utworów” – zaczęła Edyta Górnika. „Amfiteatr opolski to moje dzieciństwo, przetrwanie, moje sanktuarium, miłość publiczności, magia spotkań z muzyką i sercem człowieka. Śpiewałam tutaj w dzieciństwie, przed rozstaniem i po rozstaniu, przed ciążą, po ciąży, przed ślubem i po rozwodzie, i zaśpiewam dziś...” – wskazała, a następnie ogłosiła decyzję. „Zabieram ze sobą w sercu czułość, piękną historię mojego życia i ogromną siłę, jaką publiczność opolska otula mnie od dzieciństwa, przez wszystkie lata... Żegnaj się z tym przepięknie zielonym miastem. Dziś wystąpię w amfiteatrze opolskim ostatni raz. Wolałabym nie mówić ze sceny, dlatego zostawiam kilka myśli tu. Reszta w muzyce. Z miłością i wdzięcznością” – podsumowała wokalistka, nie kryjąc emocji. Edzia to diwa z prawdziwego zdarzenia, czego dowodem są liczne dramy z jej udziałem. Ale nie da się jej odmówić ogromnego talentu. Może jednak do zobaczenia w Opolu?

MARYLA NA UCIE

Już po raz drugi zabrakło w Opolu Maryli Rodowicz. I to pomimo tego, że jej utwór został wykonany podczas koncertu na cześć Jacka Cygana. Piosenkę „Łatwopalni” zaprezentowali publiczności Andrzej Seweryn i Cygan właśnie. Rodowicz pytana przez Plejadę, czy ktoś proponował jej wykonanie utworu, stwierdziła: „Nie, zupełnie nie. Nikt mi tego nie proponował”. Gwiazda nie ukrywa, że brak zaproszenia na festiwal sprawił jej przykrość. – Ja tego samego dnia gram koncert na Śląsku, a dzień wcześniej gram w Łomży. Z racji tej, że nikt mnie do Opola nie zaprosił, trzeba było umówić inne koncerty w tych dniach, bo przecież takie rzeczy planuje się z dużym wyprzedzeniem – dodała piosenkarka. Rodowicz dopytwana, co sądzi o tym, że ktoś inny zaśpiewa jej utwór, wyznała bez wahania: „Nie lubię, jak ktoś śpiewa moje piosenki. Wolałabym zrobić to sama, ale tak jak mówię, nie było zaproszenia”. ©



MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW

Kochani, oderwijmy się na chwilę od polityki, ale nadal pozostaniemy w obszarze wyborów. Jak może mieliście okazję słyszeć, w Polskim Związku Piłki Nożnej trwa właśnie proces wyboru nowego selekcjonera reprezentacji tego kraju po tym, jak w nieprzyjemnej atmosferze zrezygnował z tej funkcji dotychczasowy trener Michał Probierz.

Tak sobie myślimy, iż polska polityka ma z piłką bardzo wiele wspólnego. Prezydenta temu krajowi wybrali mieszkańcy niewielkich ośrodków, słabo wykształceni, biedni, zarośnięci, zaniedbani, którzy częściej bywają w kościele niż w teatrze.

Selekcjonera reprezentacji tego kraju wybierze prezes PZPN, który pochodzi gdzieś z Podlasia, słucha disco polo, słabo mówi po angielsku i jest już po sześćdziesiątce.

Po raz kolejny w ważnej dla wielu mieszkańców tego kraju sprawie decyzje są podejmowane jednoosobowo, zupełnie w sposób niejawni, bez poszanowania zasad demokratycznego państwa prawa. Niestety, nie orientujemy się, kto ogłasza ważność wyboru nowego trenera i czy przypadkiem nie będą to neosędziowie, a jeśli tak – to musimy się zorientować, jaka jest procedura odwoławcza.

Zastanawiamy się też, dlaczego nie możemy do tematu podejść tak, iż selekcjonera wybiera naród, podobnie jak to się dzieje w wyborach prezydenckich. Byłyby te wszystkie debaty, emocje, dyskusje. A tak – nuda.

Jak widzicie, niestety nie udało nam się uciec od polityki, chociaż naprawdę się staraliśmy. Trudno jednak się dziwić, że w takim momencie historii – kiedy wszystko jest polityczne i można się spodziewać nawet niespodziewanego – obudzi-

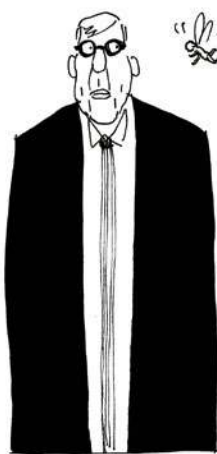
kiego. Okazuje się, iż wcale tak nie musiało być, a osobą prezydencką powinien zostać Rafał Trzaskowski.

Jest to w oczywisty sposób zbieżne z naszą intuicją, która nam mówiła, że przecież wszyscy nasi znajomi, a także ich znajomi oraz znajomi ich znajomych głosowali na Rafała. Nie znamy nikogo, kto by się wprost przyznał do głosowania na Nawrockiego, a zatem – prawem skali i statystyki – jeśli przełożyć tę zależność na ogólną populację, to wydajcie nam zasadniczo, iż Trzaskowski jest prezydentem, a pis próbował nam ukraść te wybory.

Przypominamy, iż wśród nas jest wielu magistrów socjologii, a więc to nie jest tak, iż nie wiemy, o czym mówimy.

W tej sytuacji uważamy, że nadużyciem byłoby ogłaszanie powtórzonych wyborów. Co prawda, w programie studiów nie mieliśmy logiki, ale to chyba jasne, że skoro nie wygrał kandydat A, to oznacza, iż musiał wygrać kandydat B. Terium non datur, jak to mówi się u nas w środowisku naukowym.

A zatem Rafał Trzaskowski zwyciężąc wyborów prezydenckich 2025! (Quod erat demonstrandum, podoba nam się ten naukowy żargon). ©©



– Jestem wsmiechniętą wótką, co szepcze do uszka, a to wcale nie jest sprzęt nagrywający...

c e z d r y z r y i z t o a z

liśmy swojego wewnętrznego Paula Coelho.

Otóż naszym zdaniem wybory prezydenckie zostały ewidentnie sfalszowane i chyba zbyt pochopnie wyciągaliśmy pierwsze wnioski, mówiące, iż Polska B wybrała całemu krajowi Karola Nawroc-

PODSŁUCHANE

Nie maż się, Szymek

Zdradziłeś mnie, Władek. Nie maż się, Szymek. To jest polityka, tu nie ma jakichś zdrad.

Ja ślub brałem z żoną, nie z tobą.

A dokładnie nawet z dwoma żonami. Nie naraz oczywiście. Zazdrościsz?

Ty nie bądź taki dowcipny. Jakbyś nad tobą moja żona przeleciała nisko, tobyś miał gacie pełne. Widzę, że przechodzimy na

poziom przedszkola, panie Cztery Dziewięćdziesiąt Dziewięć.

Ty za to okrągłe zero, boś się nawet bał wystartować. Nie mogę się doczekać, aż cię Włodek zastąpi.

A ciebie Waldek. Goń się, przyjacielu! ©©

Łukasz Warzecha

OD RZECZY

„Nawrocki nie jest nawet prawdziwym elektem”.

TOMASZ LIS, publicysta, na platformie X podający w wątpliwość wybór Karola Nawrockiego na prezydenta Polski

Rosja wygrywa?



Łukasz Warzecha

Wbrew propagandowym twierdzeniom Rosja tej wojny nie przegrywa. Można oczywiście uznać także, że nie wygrywa jej na takim poziomie, na jakim zakładała to początkowo. Jednak skoro już stosować taką kategorię, to Ukraina nie wygrywa jej jeszcze bardziej



Prezydent Donald Trump zapowiedział zakończenie wojny na Ukrainie w ciągu 24 godzin. Realizacja tego planu nie powiodła się nie tylko w tak rekordowo krótkim czasie, lecz także jak dotąd w ogóle. I mimo że Kijów – wsparty przez europejskie państwa zajmujące postawę znacznie bardziej konfrontacyjną w tej kwestii niż Amerykanie – nie jest dla Waszyngtonu partnerem łatwym, to jednak trudno mieć wątpliwości, że amerykański prezydent natknął się przede wszystkim na opór Kremla.

Dlaczego tak się stało? Mechanizm każdego konfliktu jest co do zasady taki sam. Jeśli tylko założymy, że po obu stronach są aktorzy racjonalni, to zawieszenie broni lub zawarcie pokoju staje się możliwe tylko w dwóch przypadkach. Po pierwsze – gdy jedna strona zostaje

całkowicie pokonana, a zwycięstwo drugiej jest totalne. Klasycznym przykładem takiej sytuacji jest zakończenie drugiej wojny światowej. Kapitulacja Niemiec została podpisana, gdy sowieccy żołnierze stali w ruinach Kancelarii Rzeszy, a Führer już nie żył. To jest oczywiście wariant w przypadku wojny rosyjsko-ukraińskiej całkowicie nierealny, jeśli idzie o pokonanie Rosji – musiałyby dojść do wojny światowej – oraz, miejmy nadzieję, mało prawdopodobny, gdy idzie o pokonanie Ukrainy.

Druga możliwość – znacznie częściej występująca – to ta, że obie strony uznają, iż bardziej opłacalne jest dla nich zaprzestanie działań niż ich kontynuowanie. Przy czym ważniejsza jest kalkulacja po stronie mającej relatywną przewagę. Dla tej drugiej bowiem niemal zawsze

jest to oczywiste – skoro się przegrywa i jest się pod presją, to lepiej działania zakończyć.

W tym konflikcie obie strony są bez wątpienia racjonalne. Owszem, na początku wojny polska frakcja podjęła wojennych lansowała jeszcze tezę, że Władimir Putin to wariat, którego motywacji nie da się racjonalnie przeanalizować ani odtworzyć. Po ponad trzech latach konfliktu wiemy oczywiście, że to nieprawda. Racje Moskwy da się bez większego problemu pokazać i są one spójne, mimo że rządzą się, jeśli można tak powiedzieć, inną logiką niż dominująca na Zachodzie. Rosję interesuje stworzenie sobie odpowiednio obszernej strefy swojskiego rozumianego strategicznego bezpieczeństwa i w tej wizji Ukraina musi zostać w ten czy inny



FOT. ADBE STOCK

Racje Moskwy są spójne, mimo że rządzą się, jeśli można tak powiedzieć, inną logiką niż dominująca na Zachodzie

sposób zneutralizowana. Ta neutralizacja teoretycznie może mieć formę zobowiązania do nieprzyjmowania jej do sojuszu północnoatlantyckiego – co zresztą i tak jest perspektywą mało realną – w połączeniu z neutralnością.

Oczywiście nic nie jest tutaj zero-jedynkowe. Kwestia bilansu korzyści i strat jest płynna. Można zadać sobie pytanie, czy Rosji przedstawiono wystarczająco

dobłą perspektywę, skoro na stole – z powodu stanowiska UE – nie leży choćby zniesienie przynajmniej części sankcji. Jedno natomiast wydaje się niewątpliwe: wbrew propagandowym twierdzeniom Rosja tej wojny nie przegrywa. Można oczywiście uznać także, że nie wygrywa jej na takim poziomie, na jakim zakładała to początkowo. Jednak skoro już stosować taką kategorię, to Ukraina nie wygrywa jej jeszcze bardziej.

POZORNA IZOLACJA

Przede wszystkim można to przypisać oczywistemu czynnikowi, na który realisti wskazywali od początku wojny: zasobom posiadanym przez oba kraje. W przypadku Rosji – gromadzącej zresztą od dawna rezerwy walutowe – te zasoby, różnego typu, są bez porównania większe. Mimo nałożenia na Rosję teoretycznie dotkliwych sankcji przez Zachód oraz umożliwienia Ukrainie w wielu dziedzinach nieograniczonego dostępu do unijnego rynku statystyki wzrostu gospodarczego obu krajów w okresie wojny wyglądają w ogólnym rzucie podobnie, choć znacznie różnią się liczbami. W pierwszym roku trwania wojny PKB Ukrainy odnotowało dramatyczny spadek: ponad 15 proc. w pierwszym kwartale 2022 r., ponad 37 proc. w drugim, ok. 31 proc. w dwóch kolejnych i ponad 10 proc. w pierwszym kwartale 2023 r. Później nastąpiło odbicie – do ponad 19 proc. w drugim kwartale 2023 r., które jednak zaczęło wygasać, żeby w ostatnim kwartale ubiegłego roku zamienić się znowu w niewielki spadek: –0,1 proc.

PKB Rosji także spadło w drugim kwartale 2022 r., ale tylko o 3,7 proc. W kolejnych trzech kwartałach było to –2,9 proc., –1,9 proc., –0,9 proc. – żeby następnie zacząć dynamicznie rosnąć. Przez kolejne cztery kwartały utrzymywało się na poziomie ponad 5 proc. (w trzecim kwartale 2023 r. nawet 6,2 proc.). Następnie wzrost spowolnił. Jednak Rosja nadal jest na plusie – w pierwszym kwartale tego roku to 1,4 proc. Dla Ukrainy danych za ten czas jeszcze brak.

Nie jest oczywiście tak, że Rosja w ogóle nie odczuwa izolacji od Zachodu – która zresztą też nie jest szczelna czy całkowita, by wspomnieć choćby problem tzw. floty cieni, czyli statków

nie pływających pod banderą Federacji Rosyjskiej, ale transportujących rosyjskie surowce w kierunkach teoretycznie podlegających sankcjom. Jednak twierdzenie, że Moskwa została wyizolowana, jest nieprawdziwe. Po ponad trzech latach okrzepł już alternatywny układ, w którym Rosja dobrze się odnalazła, tworzony przez państwa BRICS (w tej chwili organizacja zrzesza 10 państw), dużą część krajów Afryki czy Ameryki Południowej. Można zastanawiać się nad tym, jaki jest w tym mechanizmie status Moskwy, i bronić tezy, że jest ona bardziej klientem Chin, a nawet Indii, niż hegemonem, ale z punktu widzenia sytuacji na Ukrainie to didaskalia. Ważne jest, że Rosja ma z kim prowadzić wymianę handlową, jej system finansowy się nie zawalił, kraj nadal jest aktywnym graczem w globalnej polityce.

ROSYJSKA MASA

Oczywista różnica potencjałów pomiędzy dwoma przeciwnikami dotyczy również ludzi, a to przy prowadzeniu wojny przypominającej pod wieloma względami pozycyjny konflikt z okresu pierwszej wojny światowej ma ogromne znaczenie. Miarodajna ocena strat po obu stronach jest bardzo trudna, bo w przypadku i Kijowa, i Moskwy mamy do czynienia z grą propagandową. Są jednak podejmowane takie próby. Na przykład amerykańskie Center for Strategic and International Studies ocenia, że po stronie rosyjskiej (nie licząc cywilów) od 24 lutego 2022 r. do początku czerwca tego roku jest ok. 250 tys. zabitych i ok. 700 tys. rannych. Z kolei tygodnik „The Economist” szacował, że od początku wojny do końca listopada ubiegłego roku Ukraińcy stracili 400 tys. rannych i od 60 do 100 tys. zabitych. UALosses Project – strona internetowa, oceniająca skalę ukraińskich strat (wyłącznie zabitych, bez rannych) na podstawie danych białego wywiadu – podaje liczbę blisko 80 tys. zabitych do 21 maja tego roku.

Wydawałoby się zatem, że Ukraina jest tutaj górą. Tyle że zasoby ludzkie Rosji są bez porównania większe. Rosja prowadzi wojnę na Ukrainie zgodnie z przyjmowaną przez siebie co najmniej od XIX w. zasadą, że życie żołnierzy nie ma większego znaczenia. Tak toczono były przez nią wojny w XIX stuleciu;

■ tak samo toczona była wielka wojna ojczyźniana, czyli starcie z Niemcami w latach 1941–1945. W tym ostatnim przypadku przejawiało się to nawet w kwestiach sprzętowych. O ile Niemcy przy produkcji czołgów brali zawsze pod uwagę ochronę ich załóg, o tyle Związek Sowiecki, produkując masowo m.in. czołgi T-34 (do 1945 r. wytworzono niebotyczną liczbę ponad 57 tys. sztuk) zwracał znacznie mniejszą uwagę na warunki pracy załóg czy ich bezpieczeństwo. Liczyła się liczba. Masa przechodzić miała w jakość.

Podobnie wygląda to teraz. Rosja jest w stanie bez większych problemów zasiląć swoją armię – zresztą coraz lepiej wyszkoloną w warunkach bojowych – i to nie sięgając przeważnie po samych Rosjan, ale po obywateli innych republik Federacji Rosyjskiej. Ukraina natomiast ma rosnący problem z poborem, polegający nie tylko na tym, że wielu obywateli ma coraz mniejszą ochotę walczyć w konflikcie, którego zakończenie wydaje się oddalać, a sens zdaje się coraz bardziej iluzoryczny, lecz także dlatego, że uderza to w i tak fatalną ukraińską demografię. Ukraina przy większym obszarze ma populację na podobnym poziomie co Polska (ok. 38 mln). Jednak jej współczynnik dzietności od lat jest tragiczny. Przyjmuje się, że aby następowało utrzymanie populacji na niezmiennym poziomie, powinien on wynosić ok. 2,1. W Polsce wynosi on obecnie zaledwie ok. 1,1. Na Ukrainie powyżej 2 plasował się on ostatnio w połowie lat 80. XX w. W 2020 r. było to 1,21, w 2022 r. – 0,9, w 2024 r. – 0,99. Wysyłanie na front mężczyzn siłą rzeczy najsprawniejszych i najsilniejszych oznacza jednocześnie wysyłanie mężczyzn w wieku najlepiej nadających się do założenia rodziny. Nie tylko będzie to w nieodległej przyszłości skutkowało kurczeniem się populacji, lecz także będzie oznaczało mniejsze wpływy podatkowe, a więc dalsze uzależnienie od pomocy zagranicznej. Będzie to również znacząco, że mniej urodzi się obywateli zdolnych następnie do służby wojskowej.

SIŁA AUTORYTARYZMU

Kolejny czynnik wpływający na odporność państwa rosyjskiego – wskazywany przez realistów od początku wojny

– to autorytaryzm tamtejszego systemu politycznego. Systemy autorytarne zaś zawsze mają większą odporność na stres i obciążenia niż demokratyczne. Co prawda, w tej chwili również system ukraiński trudno uznać za w pełni demokratyczny – zaczyna on nosić cechy autorytarne. (W „Do Rzeczy” nr 21/2025 pisał o tym obszernie Maciej Pieczyński). Wciąż jednak, jeśli wspomnieć ukraińskie przewroty polityczne, z pomarańczową rewolucją na czele, to ukraińskie społeczeństwo jest zdolne do podjęcia skutecznego buntu przeciwko klasie politycznej, jeżeli zostanie postawione pod ścianą. Nawet gdyby uznać – a są do tego poważne przesłanki – że takie przewroty nie miały w przeszłości miejsca bez pewnej dozy zagranicznej inspiracji i pomocy. Zatem coraz chętniej sięgający

Brak gotowości Moskwy do poważnych negocjacji o rozejmie sam w sobie jest świadectwem, że Kreml ocenia swoją sytuację jako korzystną

po niedemokratyczne metody prezydent Zełenski musi się jednak ostatecznie liczyć ze społecznymi nastrojami, podczas gdy jego rosyjski odpowiednik może je znacznie częściej lekceważyć. Rosyjskie protesty – którymi niesamowicie ekscytowały się wielokrotnie zachodnie media – zawsze miały charakter mocno ograniczony i były skutecznie tłumione. Gdy Rosja ogłosiła powszechny pobór już w trakcie wojny z Ukrainą, przez jakiś czas na Zachodzie panowało naiwne przekonanie, że za moment zaowocuje to masowym buntem. Faktycznie, poza centrum federacji doszło do ruchawek, które jednak nie miały żadnych poważniejszych skutków.

Trzeba wziąć pod uwagę dwa czynniki oprócz opresyjnego rosyjskiego systemu politycznego. Po pierwsze – że rosyjskie społeczeństwo ma immanentną, historycznie ugruntowaną bardzo wysoką odporność na stres oraz złe warunki, szczególnie gdy uzasadnienie

tychże opiera się na odwołaniach do narodowej dumy, potęgi, walki toczonej z odwiecznymi przeciwnikami. System kremlowskiej propagandy zadbał, żeby tak właśnie odbierana była wojna z Ukrainą.

Po drugie – mimo irracjonalnych oczekiwań zachodnich publicystów z początkowego okresu wojny los Rosjan nie uległ jakiemuś dramatycznemu pogorszeniu. Statystyki wynagrodzeń mogą wręcz zaskakiwać. Średnie roczne rosyjskie wynagrodzenie w kategoriach parytetu siły nabywczej (PPP) wynosi blisko 49 tys. dol., czyli miesięcznie byłoby to ponad 15 tys. zł. W Polsce średnie roczne wynagrodzenie z poprawką na PPP jest o ok. 10 tys. dol. niższe. To oczywiście tylko średnie, a w Rosji nierówności w wynagrodzeniach znacznie przewyższają polskie. Pokazuje to jednak, że przynajmniej na razie rosyjska gospodarka i finanse obywateli są dalekie od krachu.

KTO JEST GÓRĄ?

Kto zatem tę wojnę przegrywa, a kto wygrywa? Można spojrzeć na problem i w taki sposób, że skoro Ukraina ma o wiele gorsze warunki wyjściowe, a jednak wciąż jest w stanie się bronić – choć przy potężnej zagranicznej pomocy, wynoszącej według Kilońskiego Instytutu Gospodarki Światowej do dzisiaj 275 mld euro (wliczając pomoc humanitarną), czyli ponad 1,1 bln zł – to z pewnością nie jest to przegrana. Jednak nie jest to również wygrana rozumiana jako wyparcie agresora z własnych granic czy wymuszenie na nim podjęcia rozmów pokojowych na warunkach wyjściowych dogodnych dla napadniętego.

Ponadto Rosja została poddana teoretycznie potężnej presji ze strony sojuszników Ukrainy, obłożona sankcjami (w maju UE uchwaliła ich 17. pakiet!), a znaczna część jej zagranicznych aktywów została zamrożona. Skutek wydaje się w najlepszym razie niewielki, jeśli nie zerowy. Brak gotowości Moskwy do poważnych negocjacji o rozejmie sam w sobie jest świadectwem, że Kreml ocenia swoją sytuację jako korzystną, a dopóty, dopóki tak jest i oprócz kija nie pojawia się solidna marchewka, nadzieje na pokój są niewielkie.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

Kiedy rozpoczęła się rosyjska agresja na Ukrainę, mieszkałem i pracowałem w Petersburgu – najbardziej prozachodnim mieście w Rosji, gdzie poparcie dla władz jest oczywiście duże, ale i tak mniejsze niż w jakimkolwiek innym miejscu w tym kraju. Na początku wojny wśród moich znajomych, z których wszyscy to przedstawiciele petersburskiej inteligencji, były nadzieje na zmianę – na to, że wojna i sankcje Zachodu doprowadzą do kryzysu ekonomicznego, który zmusi władze do poluzowania systemu.

COCA-COLA Z KAZACHSTANU

Wydawało się, że analogia do początku lat 90. i upadku Związku Sowieckiego była jak najbardziej uzasadniona. Wtedy w wyniku bardzo sprytniej gry ówczesnego prezydenta USA Ronalda Reagana Moskwa została wciągnięta w kosztowny wyścig zbrojeń, a przy okazji Arabii Saudyjskiej i inne kraje Zatoki Perskiej znacznie obniżyły ceny ropy, która była głównym źródłem sowieckich dochodów. Sowiecka gospodarka tego nie wytrzymała. Rozpoczął się kryzys, który doprowadził do ogromnych geopolitycznych zmian, w tym rozpadu ZSRS i sowieckiej strefy wpływów.

Można było oczekiwać, że tak się stanie i tym razem. Wydawało się, że takie powinny być konsekwencje bezprecedensowych sankcji, które wprowadził wobec Rosji Zachód. Polskie media pisały, że już za chwilę wszystko się rozleci, bo brakuje kaszy czy chleba. Nic takiego się nie stało, doniesienia te były po prostu nieprawdziwe. Moim największym zaskoczeniem wówczas było to, że w mieście, w którym mieszkałem, nic się właściwie nie zmieniło i skutków wojny praktycznie nie było widać.

Pełne sklepy, restauracje, kina czy kawiarnie. Wprawdzie na początku wojny niektóre towary produkcji zachodniej zniknęły z półek, ale nie były to towary pierwszej potrzeby i bardzo szybko pojawiły się ich zamienniki z krajów Globalnego Południa. Przykładem może być coca-cola. Przez kilka miesięcy nie można było jej kupić. Ale szybko pojawiła się coca-cola z Kazachstanu czy Kirgistanu.

Ceny na początku poszły w górę, lecz zatrzymały się na poziomie może o 15 proc. wyższym niż przed wojną i życie z punktu widzenia sytuacji eko-

nomicznej praktycznie się nie zmieniło. Były pieniądze na remonty dróg czy kamienic, czyli tak naprawdę to samo, co przed wybuchem wojny.

Można oczywiście mówić, że to Petersburg – miasto niereprezentatywne dla Rosji jako całości. I rzeczywiście trochę tak jest. Rosyjska ekonomistka Natalia Zubarewicz dzieli Rosję na trzy strefy: A, B i C. Do Rosji A zalicza Moskwę i Petersburg, do B – większe miasta i europejską część kraju, wreszcie C to najbardziej biedne regiony, w tym autonomiczne republiki narodowe. Te trzy Rosje funkcjonują obok siebie, ale życie w nich znacznie się różni. Dopiero uświadomienie sobie tej różno-

Dowodem na nią może być zaangażowanie w wojnę w poszczególnych regionach kraju. Powszechna mobilizacja w Rosji A, czyli w Moskwie i Petersburgu, odbyła się tylko raz i szybko się z niej wycofano, bo zaczęły się masowe ucieczki i protesty. Rosyjskie władze traktują mieszkańców Rosji A inaczej niż tych z pozostałych dwóch stref. Wymagania są różne. Mieszkańcy Moskwy i Petersburga nie muszą aktywnie popierać władzy ani nie muszą uczestniczyć w wojnie. Wystarczy, żeby nie interesowali się polityką. Mogą żyć w swoich bańkach, tak jakby żyli poza miejscem i czasem. Udają albo nie wiedzą, co się dzieje na froncie.

Klucz Putina do Rosjan



Grzegorz Ślubowski – w latach 2019–2025 konsul generalny RP w Sankt Petersburgu. Autor książki „Petersburg, wojna i pokój”. Obecnie współpracuje z Kanałem Zero

Chociaż nikt nie chce jeszcze tego mówić głośno, to wszystko wskazuje na to, że największym wygranym wojny na Ukrainie jest niestety Władimir Putin. I nie chodzi o spektakularne zwycięstwo na froncie, bo takiego – wiadomo – Rosja nie odniosła: Ukraina stawia opór i wszystko wskazuje na to, że obroniła swoją suwerenność. Chodzi raczej o umocnienie pozycji Putina w Rosji – jak to mówią mieszkańcy prowincji, o „wyczyszczenie polany”: pozbycie się wszelkich przeciwników politycznych, zastraszenie inteligencji i kupienie mas, co sprawia, że żadna zmiana lidera wydaje się niemożliwa. Putin osiągnął to dzięki zapewnieniu sobie stabilizacji ekonomicznej, a także wprowadzeniu systemu totalnej kontroli i represji, który wyklucza jakiegokolwiek sprzeciw

rodności pozwala zrozumieć, co w Rosji tak naprawdę się dzieje.

Mieszkałem w tym miejscu Rosji, w którym życie wyglądało jak w przeciętnym europejskim mieście. Jednak między życiem w Petersburgu a życiem na głębokiej rosyjskiej prowincji jest ogromna przepaść.

Czasami z rozmów z niektórymi znajomymi z Petersburga odnosiłem wrażenie, że wydarzenia na froncie są dla nich równie odległe jak wydarzenia w Ludowo-Demokratycznej Republice Konga. Na pytania, jak to możliwe, że rosyjscy żołnierze dokonują zbrodni na Ukrainie czy że kradną telewizory i lodówki,

■ najczęściej słyszałem odpowiedź: „Grzegorz, sam nie wiem. Zupełnie nie znam i nie rozumiem ludzi, którzy idą na wojnę”.

PIENIĄDZE ZA WALKĘ

Ci, którzy idą do armii, to rosyjski „głębinyj naród” („lud z peryferii”). Chodzi o mieszkańców Rosji B i C – ludzi, którzy żyją w domach bez toalet i którzy nie mają nawet szans na normalną pracę. Tym wszystkim ludziom Władimir Putin podarował możliwość zarobienia gigantycznych dla nich pieniędzy. Bo jeżeli na początek za podpisanie kontraktu do armii dostaje się ok. 10 tys. dol., a później jeszcze 2–3 tys. miesięcznie, to gdzie mogliby takie pieniądze zobaczyć? Oczywiście giną oni w olbrzymiej liczbie, ale wtedy ich żony, dzieci i w ogóle rodziny też dostają duże pieniądze. Poza tym kogo by interesowało, że ktoś by zginął w Czuwaszji czy Udmurcji? Przecież w Moskwie i Petersburgu nikt nawet do końca nie wie, gdzie to jest. Nie pokazaliby tego w telewizji ani nie opowiedzieliby opozycyjni rosyjscy dziennikarze w Internecie. Oczywiście do tego dochodzi cały propagandowy entourage o Rosji, która „wstaje z kolan”, która musi się bronić atakowana przez „ukrofaszystów”. Ale nie to jest najbardziej istotne. Odnoszę wrażenie, że najważniejszy jest czysto ekonomiczny układ: wy walczyście, a my wam płacimy pieniądze, których wartość jest dla was ogromna.

Jak długo ten układ będzie możliwy i będzie trwać – tak długo Władimir Putin będzie wojnę kontynuował. A dlaczego jest on możliwy pomimo ogromnych sankcji Zachodu? Dlaczego Rosja nie weszła w stadium kryzysu ekonomicznego, jak Związek Sowiecki w latach 90.? Przede wszystkim dlatego, że zmienił się świat. Okazało się, że Władimir Putin już wtedy miał rację, kiedy mówił, że świat jest wielobiegunowy. Stany Zjednoczone i inne państwa Zachodu okazały się bezsilne wobec Chin, Indii czy innych krajów Globalnego Południa, które z Rosją handlowały, handlują i będą handlować. Dzięki nim Putin nie powtórzył scenariusza Michaiła Gorbaczowa. Oczywiście to wszystko może się zmienić, ale taki jest stan na dziś. Władze rosyjskie sprzedają surowce Chinom, Indiom oraz krajom Południa i rozwijają przemysł zbrojeniowy

na ogromną skalę, płacąc za wojnę mieszkańcom rosyjskiej prowincji.

Taka sytuacja daje możliwość doprowadzenia do ekonomicznej stabilizacji, ale samo to by nie wystarczyło. Drugi czynnik to totalna kontrola nad społeczeństwem i represje wobec najmniejszej nawet próby buntu czy krytyki armii bądź władz. Kiedy przybyłem do Petersburga, była połowa roku 2019. Opuściłem Rosję 9 stycznia 2025 r. Przez czas mojego pobytu w Rosji bardzo się ona zmieniła. Władimir Putin zlikwidował ostatnie wolne media, niezadowoleni obywatele siedzą w koloniach karnych albo uciekli za granicę, z mediów państwowych sączy się niebywała propaganda. To oczywiście jeszcze nie jest III Rzesza, ciągle są obszary niekontrolowane przez państwo, ale też jest to inny kraj, niż był kilka lat temu. Jeśli chodzi o represje, to z naszego punktu widzenia są one olbrzymie, ale nie można ich porównywać do czystek stalinowskich. Wszystko jest bardziej zniuansowane i zależy od tego, kto gdzie mieszka – czy w Rosji A czy B, czy C. Według różnych danych w obozach karnych przebywa ok. 1–1,5 więźniów politycznych. Ale kraj opuściło prawie milion osób.

Poza systemem można żyć, ale pod warunkiem, że się nie krytykuje pre-



**Zdecydowana większość
wierzy, że car jest dobry i ich
reprezentuje. Żadnych
zmian na razie nie widać**

zydenta, władz czy armii. Wystarczy jednak, że w mediach społecznościowych wyrazi się wątpliwość co do tego, jak się zachowują rosyjscy żołnierze na Ukrainie, a dostanie się w błyskawicznym tempie siedem lat kolonii karnej. Przekonała się o tym choćby Aleksandra Skoczylenko, która nakleiła w sklepie nalepkę z hasłem: „Miru mir” („Światu pokój”). Z kolei Jurij Bestużew, działacz opozycyjny, który pracował jako ochroniarz, aresztowany został we własnym domu kilka godzin po tym, jak napisał w mediach społecznościowych, że najlepsze, co mogą zrobić rosyjscy żołnierze na froncie, to odwrócić swoją broń i zamiast zdobywać Ukrainę, iść zdobywać Kreml.

Generalnie więc w Rosji A można się zajmować, czym się chce, byleby nie wojną czy polityką. Nie trzeba aktywnie wspierać władz, od tego są mieszkańcy Rosji B i Rosji C. Na prowincji zaś wsparcie dla Putina i rosyjskich władz

Władimir Putin znalazł klucz
do rosyjskiego społeczeństwa FOT. KREMLIN.RU



wyglądało zupełnie inaczej. Na samochodach pełno było naklejek z literą „Z”, będącą symbolem poparcia wojny na Ukrainie. Tam nie było obojętnych, a jeśli nawet byli, to na pewno było ich niewiele. Często wracając do Petersburga pociągami z prowincjonalnego miasta, zastanawiałem się, jak różne są to światy. Po drodze od współpasażerów słyszałem, jak to Rosja już dawno zdobyłaby nie tylko Kijów, lecz także Warszawę oraz Paryż, gdyby nie „oni”. Chodziło o „piątą kolumnę” – liberałów ukrywających się wszędzie w Moskwie i Petersburgu, którzy są nawet w rządzie, i dopóki ich Władimir Władimirowicz wszystkich nie pozamyka, dopóty niestety do zwycięstwa będzie daleko. Kiedy dojeżdżałem do Petersburga, słyszałem z kolei o czarnej tępej masie, która dla pieniędzy zrobi wszystko. Z obu stron wylewała się pogarda, klasowa nienawiść w wydaniu rosyjskim.

Choć Putin sam jest z Petersburga, to żyje w przekonaniu, że ma bezpośredni kontakt z „głubinnym narodem”, który rozumie. Na razie wygląda na to, że rzeczywiście tak jest, bo poparcie dla rosyjskich władz na prowincji jest ogromne. Oczywiście trudno do końca wierzyć w rosyjskie sondaże, ale jeżeli pokazują one poparcie na poziomie 70–80 proc., to

na pewno na prowincji władzę popierają prawie wszyscy. Przyczyny są różne. Pisałem o aspekcie ekonomicznym: wojna przyniosła rosyjskiej prowincji deszcz pieniędzy. Innym aspektem, o którym wspominałem, jest ideologia: zaspokajanie kompleksów i fantomowego bólu po utracie ZSRS. To gra w mocarstwo. Nic tak się w Rosji nie sprawdza. To swoista umowa społeczna: krew za pieniądze przy opowieści o tym, jak wielki kraj „wstaje z kolan”. Ale dodatkowy element to możliwość awansu społecznego. Bo choć w Polsce się o tym nie mówi, to wojna posłużyła Władimirowi Putinowi do wymiany elit. Sam to widziałem na własne oczy w Petersburgu. Lojalnych wobec władz, ale zarazem technokratycznie usposobionych urzędników zastępowali „bohaterowie” z frontu. Ci, którzy poszli walczyć jako spawacze, maszyniści, ludzie często po wyrokach, wracali i stawali się dyrektorami w regionalnej administracji. Symbolicznym przykładem takiego awansu społecznego jest Artiom Żoga, który pracował w palni chemicznej, walczył jako ochotnik w Donbasie, a teraz jest pełnomocnikiem prezydenta w Uralskim Okręgu Federalnym. Takich przedstawicieli nowej elity jest znacznie więcej.

POLSKA – SYNONIM ZDRAJCY

Wymiana elit obejmuje również kulturę. Największa gwiazda rosyjskiej estrady, Ałła Pugaczowa, która po ataku rosyjskim na Ukrainę udała się z mężem do Izraela, jest praktycznie wycinana z mediów państwowych. Jej miejsce zajął Jarosław Dronow „Szaman”, którego można usłyszeć wszędzie, ale i którego popularność jest olbrzymia. Wielu przedstawicieli rosyjskiej kultury, jeśli chce się odnaleźć w nowej rzeczywistości, musi pokazać, że jest „z narodem”. A można to zrobić tylko w jeden sposób: jadąc z koncertami na front. Tak robią ci, którzy chcą, aby ich piosenki były puszczane w radiu i telewizji. Tych, którzy nie pojedą na front, czeka wewnętrzna albo zewnętrzna emigracja.

W Rosji panuje od początku ataku na Ukrainę nowy paradygmat, na którego gruncie mają zaistnieć nowa

elita i nowi bohaterowie. Kiedyś byłem w małym mieście na północy Rosji. Miejscowy nauczyciel historii pokazał mi budynek szkoły, na którym była tablica upamiętniająca jednego z jej absolwentów. Okazało się, że chłopak zginął na wojnie w Donbasie, tylko problem polegał na tym, że poszedł na front prosto z więzienia, gdzie odsiadywał solidny wyrok. Nauczyciele bronili się, jak mogli, przed tym, żeby „taki” absolwent został bohaterem szkoły. Polecenie przyszło jednak z góry i nic tak naprawdę nie mogli zrobić.

Oczywiście w tym nowym paradygmacie zmienia się stosunek do Polski i Polaków. Jeszcze niedawno dla większości Rosjan wyobrażenia o Polsce brały się z filmów z lat 80.,

muzyki Maryli Rodowicz czy Czerwonych Gitar. Teraz Polska to synonim zdrajcy. Bo przecież „my ich wyzwoliliśmy, a oni wspomagają nazistów z Ukrainy” – wkłada Rosjanom do głów państwowa propaganda. Skutki są takie, że w radiu słyszałem dyskusję z udziałem słuchaczy, czy z filmu fabularnego „Ironia losu” wyciąć Barbarę Brylską, która gra w nim jedną z głównych ról. A dodajmy, że i film, i aktorka są w Rosji „kultowi”. Kilka lat temu taka sytuacja byłaby zupełnie nie do pomyślenia.

Jest w tym całym stawianiu na rosyjski „głubinyj naród” mnóstwo fałszu i zakłamania. Kiedy Putin na pytanie dziennikarza, czy lubi spaghetti, odpowiedział, że „spaghetti to jedzą w Moskwie czy Petersburgu, my jemy makaron po marynarsku (makaron po-łotski)”, to znaczy tylko tyle, że chciał powiedzieć: „My u władzy jesteśmy tacy jak wy”. Tylko że to absolutnie nieprawda. Rosyjska elita władzy, która wywodzi się ze służb specjalnych, nie wysyła swoich dzieci na wojnę, tylko cały czas na wraży Zachód. Żony i kochanki rosyjskich dygnitarzy nie jedzą makaronu po-łotski, tylko ostrygi w najlepszych restauracjach. Ale na razie to zaczarowanie Rosjan działa. Putin znalazł chyba klucz do rosyjskiego społeczeństwa. Zdecydowana większość wierzy, że car jest dobry i ich reprezentuje. Żadnych zmian na razie nie widać.

© Wszelkie prawa zastrzeżone



Dariusz Wieroniejczyk

Polskie elity polityczne i utrzymywane z naszych podatków zespoły ekspertów okazały się całkowicie niezdolne do przewidzenia rozwoju sytuacji militarnej na Ukrainie. Rachunek za ich pomyłki możemy zapłacić wszyscy

Z dumiewające manewry wykonują dziś polscy politycy, generałowie i eksperci, którzy na przestrzeni ostatnich lat wypowiadali się na temat wojny na Ukrainie. Dziś, kiedy sytuacja Ukrainy rysuje się w ciemnych barwach, jak ognia unikają oni przypominania swoich wcześniejszych prognoz. Czynią tak zapewne dlatego, że były one rażąco nietrafne i jak najgorzej świadczyły o kompetencjach analitycznych naszych „autorytetów”.

Początkiem festiwalu oderwanych od rzeczywistości i całkowicie niedorzecznych analiz były dywagacje „ekspertów” sprzed rozpoczęcia rosyjskiej inwazji na Ukrainę w roku 2022. Zdecydowana większość twierdziła, że do inwazji takiej nie dojdzie. Czołowi polscy politycy przekonywali wtedy, że pogłoski o rosyjskim ataku „są tylko elementem presji politycznej”, a koncentracja rosyjskich wojsk na granicy z Ukrainą to „pokaz siły i próba zastraszenia”. Opinie takie płynęły ze wszystkich stron polskiej sceny politycznej. „Putin blefuje. Nie odważy się na inwazję” – zapewniał choćby Rafał Trzaskowski. Spytany o swoje słowa w czasie niedawnej debaty prezydenckiej oświadczył, że co do agresywnych intencji Rosji nie miał najmniejszych wątpliwości, przypuszczał jedynie, że wybierze ona metody „wojny hybrydowej”. Przytrafiła mu się więc drobna pomyłka w terminologii, ale co do meritum, jego zdaniem, miał rację.

Inni rzekomi eksperci zapewniali po fakcie, że winny ich błędnym przewidywaniom był Putin, który okazał się „szaleńcem”, a czynów szaleńca przewi-



dzieć nie sposób. Znaleźli się nawet tacy, którzy z nietrafionych analiz uczynić chcieli pomnik swojej moralnej prawości. Głosili oni publicznie, że są po prostu zbyt szlachetni, kulturalni i prawi, by przewidywać decyzje tak zdemoralizowanej jednostki, jaką okazał się rosyjski przywódca. Do popełnienia drastycznej pomyłki przyznali się jedynie nieliczni. Błędy tego rodzaju, popełniane przez rządzące elity, mogą mieć dla społeczeństw nadzwyczaj nieprzyjemne konsekwencje.

ŚMIAŁE WIZJE ROZBIORU ROSJI

Prawdziwy zalew prognoz kompromitujących „ekspertów” nastąpił jednak później. Jest rzeczą niezmiernie smutną, że tworzyli je zazwyczaj wysocy rangą polscy generałowie, od niedawna w stanie spoczynku. Pod koniec roku 2022 były dowódca wojsk lądowych, gen. Waldemar Skrzypczak, w wywiadzie dla portalu Polska+ zatytułowanym „proroczno” „Putin odda Ukrainie wszystko to, co zdobył po 2014, z wyjątkiem Krymu”, tak widział wojenny stan rzeczy: „Ukraińcy złamali potęgę Rosji. Tego się nie tylko Putin nie spodziewał, tego nie spodzie-

wał się cały świat. Amerykanie też się nie spodziewali, że armia ukraińska, naród ukraiński mają taką wolę oporu, że złamią imperium rosyjskie, rzucają je na kolana”. Rosyjski prezydent Putin, zdaniem gen. Skrzypczaka, „doprowadził do upadku imperium rosyjskiego, którym Rosja straszyla cały świat. Terrorysta Putin popełnił samobójstwo z udziałem Rosji, bo to, co on zrobił, jest dla mnie samobójstwem. I bardzo dobrze, bo w końcu imperium, które siało strach, śmierć, upadło dzięki Putinowi. Chwała Putinowi, że doprowadził do upadku imperium rosyjskiego!”.

Rozentuzjasmowany „samobójstwem Putina” generał pokusił się też o ocenę sytuacji na froncie: „Moim zdaniem zwycięstwa, które odnosi armia ukraińska, mobilizują naród ukraiński, wola oporu rośnie coraz bardziej. Rośnie ukraińska determinacja do wygrania tej wojny, bo Ukraińcy widzą szansę, aby tę wojnę wygrać. I to ich mobilizuje. Nie widzę żadnego zagrożenia dla ducha i morale – ani armii, ani narodu ukraińskiego”.

Ze strony dziennikarza padło zaskakujące pytanie: „Wyobraża pan sobie sytuację, że Zełenski usiadł z Putinem



FOT. ADOBE STOCK

do jakichś negocjacji? Widać, że Rosja swoimi atakami próbuje te negocjacje wymusić. Zełenski mówi: »nie«.

Generał Skrzypczak odpowiedział zdecydowanie: „Zełenski mówił: »nie« i ma rację. Dopóty, dopóki nie wtrąci się do tej awantury wielka dwójka, czyli Chiny i USA, Zełenski wie, że może tak mówić. Putin gra na czas, bo rozumie, że sytuacja rosyjskich wojsk jest bardzo ciężka, na razie inicjatywę strategiczną mają Ukraińcy. Zełenski też ma tego świadomość i chce przez ten czas, dopóty, dopóki nie zmuszą go do tego, aby usiąść do stołu negocjacyjnego, ugrać jak najwięcej”.

W podobnym tonie utrzymane były do niedawna i inne wypowiedzi gen. Skrzypczaka. W marcu 2022 r., w programie „Super Expressu”, uznał on, że w obliczu klęsk ponoszonych przez Rosję graniczący z Polską obwód kaliningradzki „nie ma już żadnego znaczenia militarnego”. Terytorium to miało się znajdować „pod okupacją rosyjską od 1945 r.”. „Teraz warto byłoby się o nie upomnieć, tak jak kiedyś o Ziemię Odzyskaną” – ogłosił generał. „Warto by się może upomnieć o ten obwód kaliningradzki, który moim zdaniem jest częścią terytorium Polski.

Mamy prawo mieć pretensje do tego terenu, które Rosja okupuje” – stwierdził generał, nawołując do siłowego przejęcia przez Polskę części terytorium atomowego mocarstwa. Zamiar rozbioru Rosji, ogłoszony publicznie przez byłego dowódcę Wojsk Lądowych, mianowanego na to stanowisko przez prezydenta Lecha Kaczyńskiego, przeszedł w polskich mediach głównego nurtu właściwie bez echa.

CEL: PETERSBURG

Działo się tak dlatego, że niedorzeczne opinie gen. Skrzypczaka nie były wśród polskich wojskowych żadnym wyjątkiem. „Ukraińcy pokazali, że ta »druga armia świata« to mit z defilad – zdemoralizowana, prywatne armie, bandyci, gwałciciele, mordercy, którzy na polu walki przegrywają, dlatego bombardują i mordują ludność cywilną” – zapewniał na początku 2023 r. były dowódca GROM-u gen. Roman Polko.

„Najpóźniej na wiosnę w przyszłym roku Ukraińcy całkowicie wyprą agresora, a może w tym roku uda się przeciąć ten korytarz lądowy na Krym i chociażby zablokować ten rejon, z którego wyprowadzane są uderzenia na południe Ukra-

iny [...]. Z tym szaleństwem trzeba skończyć i jestem przekonany, że po prostu nie ma się czego bać, że przy wsparciu także Chin Rosja będzie musiała się poddać. Dlaczego Chin? Ponieważ Chiny nie zaakceptują tego, czym Putin próbuje straszyć. Chiny, Indie nie zaakceptują użycia broni masowego rażenia, a to jest jedyna rzecz, która Putinowi została i którą próbuje jeszcze szantażować Zachód” – analizował rozgrywkę na geopolitycznej szachownicy gen. Roman Polko.

W odróżnieniu od gen. Skrzypczaka nie zamierzał on jednak dokonywać rozbioru Rosji. „Trudno jest prorokować, ale mam nadzieję, że w ciągu dwóch-trzech lat ten ostry konflikt zostanie zamknięty poprzez wyparcie Rosjan z okupowanych terytoriów, i tutaj warto podkreślić, że nikt nie chce na Kremlu, w Moskwie, zatkać sztandar ukraińskiego czy NATO-wskiego” – deklarował wspomniał myślnie były dowódca GROM-u.

Mniej łaskawy dla Rosjan był gen. Rajmund Andrzejczak, były Szef Sztabu Generalnego Wojska Polskiego. Podczas ubiegłorocznej konferencji Defending Baltics przekonywał litewskich gospodarzy spotkania: „Jeśli zaatakują choćby centymetr litewskiego terytorium, to odpowiedź nadejdzie natychmiast. Nie pierwszego dnia, ale w pierwszej minucie. Uderzymy we wszystkie strategiczne cele w promieniu 300 km. Zaatakujemy bezpośrednio Petersburg”. Dlaczego akurat Petersburg, wielomilionowa metropolia pełna ludności cywilnej i bezcennych dla kultury światowej zabytków, miałyby być celem dla polskich rakiet? I dlatego to my, zamiast amerykańskiego hegemonu, zapowiadaliśmy Rosjanom odwet za zaatakowanie „choćby centymetra litewskiego terytorium”? Czujemy się tak silni, że w zastraszaniu atomowego mocarstwa potrafimy Amerykanów wyręczyć? Tych sekretów gen. Andrzejczak nie zdradził. Obawiać się można, że Rosjanie mają do ewentualnego odwetu za atakowanie ich miast nieporównanie więcej środków od Polski.

Umiejętność przewidywania rozwoju sytuacji na wojnie jest podstawową umiejętnością, której należałoby od generalicji wymagać. Jeśli najwyżsi polscy dowódcy, z chwalebnym wyjątkiem gen. Leona Komornickiego, przez kolejne lata trwającej na Ukrainie wojny

Opowiadali współobywatelom oczywiście, z punktu widzenia dalszego rozwoju wydarzeń, bzdury, to możemy mieć powody do uzasadnionego niepokoju. Tak jawnie nietrafione prognozy podważają zaufanie nie tylko do samego „eksperta”, lecz także instytucji, której autorytetem podpira on swoje dywagacje. W wypadku generałów jest nią niestety polska armia.

ROSJA – TRUP, PUTIN – TRUP

Nie inaczej zachowywali się jednak ekonomiści i politycy „Rosja jest bankrutem. Jej gospodarka nie wytrzyma długo sankcji. To kwestia tygodni, może miesięcy, zanim system się załamie” – prognozował w roku 2022 Andrzej Sadowski, członek Narodowej Rady Rozwoju. „Rosyjska gospodarka już się wali. Rubel to śmieciowa waluta, a inflacja wymknęła się spod kontroli. Putin nie przetrwa tej katastrofy” – wieścił Ryszard Petru, a jego intelektualny mentor, Leszek Balcerowicz, dodawał: „Rosja nie ma szans przetrwać tej wojny ekonomicznie. Sankcje są miazdzące, a gospodarka już się chwieje”.

Widocznym objawem tego chwiania miało być załamanie kursu rubla. W sierpniu roku 2022 prezes NBP, prof. Adam Glapiński, zapowiadał, co następuje: „Rosja jest na krawędzi finansowej przepaści. Jej rezerwy topnieją, a inflacja galopuje. To początek końca”. Kilka miesięcy później prof. Witold Orłowski podtrzymywał jego opinie: „Rosja pozostała bez obcych walut. Jedyne źródło gwałtownie wysycha. To oznacza katastrofę finansową”.

Z przykrością zauważyć należy, że kurs rubla rosyjskiego wobec dolara amerykańskiego jest dziś na tym samym poziomie, co wiosną roku 2021.

Osobną kategorią powszechnie serwowanej Polakom dezinformacji były regularnie powtarzane nowiny o ciężkiej chorobie Władimira Putina. Cierpieć on miał nie tylko na wiele zaburzeń psychicznych, na czele z demencją i paranoją, lecz także na choroby nowotworowe, parkinsona i alzheimera. Rozmnożeni w naszych mediach znawcy kremłowskich tajemnic posuwali się nawet do twierdzeń, że rosyjski prezydent od dawna już nie żyje, a jego rolę odgrywają starannie dobrani dublerzy.

Jeśli to nie choroba złożyła do grobu nienawistnego Putina, to w kolejce

już czekali jego polityczni rywale. „Putin nie dotrwa do końca roku. Jego własne otoczenie go wyeliminuje. Ten reżim się kończy” – zapowiadał w roku 2022 Radosław Sikorski.

Niestety, opowiadanie oderwanych od rzeczywistości analiz nie jest wyłącznym przywilejem generałów, ekonomistów i znachorów. Polscy politycy dzielili się jeszcze niedawno na dwie podstawowe grupy. Jedni, jak Donald Tusk, Mateusz Morawiecki, Michał Kumoch, Radosław Sikorski i Michał Dworczyk, twierdzili, że Ukraina już wojnę wygrała, Rosja zaś poniosła w niej klęskę oczywistą dla każdego obserwatora wydarzeń. Inni, nieco bardziej roztropni, zapowiadali rozpad Rosji w najbliższej, najdalej kilkuletniej przyszłości.

TAKTYKA UNIKÓW

Jak dzisiaj odnoszą się polskie elity do wypowiedzianych przez siebie fałszywych prognoz, których liczbę porównać można tylko do nawału apokaliptycznych prognoz z czasów tzw. epidemii COVID?

Generałowie, śladem gen. Skrzypczaka, nadal serwują mediom swoje napuszone przewidywania. Winą za niesprawdzone przepowiednie z przeszłości obarczają zazwyczaj zachodnich sojuszników Ukrainy. Gdyby na czas dostarczyli oni na front setki nowoczesnych samolotów, rakiet i czołgów, prognozy generałów z pewnością stałyby się realne. To, że w momencie wygłaszania przestrzelonych analiz setki samolotów i rakiet wcale na Ukrainę nie zmierzały, a samo przygotowanie nowej broni do właściwego użytku musiałoby zająć lata, jest pomijane milczeniem. Skąd prosty generał miał wiedzieć, że wyszkolenie personelu dla obsługi setki nowoczesnych samolotów bojowych i rakiet, których Ukrainie brakowało, nie da się załatwić „jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki”?

Odminną taktykę uników stosują zazwyczaj politycy. Ci najbardziej obłudni obarczają odpowiedzialnością całą polską opinię publiczną, która zwykłowym entuzjazmem dla sprawy ukraińskiej wymusić miała na nich takie, a nie inne postrzeganie wydarzeń. „Polacy wierzyli w zwycięstwo, a politykowi nie wolno płynąć pod prąd zbiorowych emocji” – głoszą dziś piewcy ukraińskiego sukcesu. Najbardziej bezczelni z nich ciężar swoich pomyłek

składają na barki Jerzego Giedroycia. To szacunek dla jego koncepcji kazał im bezwarunkowo zaufać wszelkim zapewnieniom „prometejskich” Ukraińców. Najbardziej retorycznie uzdolnieni, zamiast tłumaczyć się z nietrafionych kalkulacji, uciekają w obliczu niezgodnych z analizami faktów w podszyte bogoojczyńnianym frazesem kazania o uniwersalnym zagrożeniu dla świata, które stanowiła, na przestrzeni swych dziejów, Rosja. Jej klęska w walce z siłami dobra musi się przecież ziścić, jeśli na świecie zapanować ma kiedyś sprawiedliwość i pokój. Straszanie i moralizowanie na przemian maskować ma nietrafione przewidywania, a politycznych realistów ustawiać retorycznie w roli rzeczników politycznego Antychrysta. Jest to wprawdzie mydlenie oczu, ale większość Polaków zdołała już do tego zabiegu przywyknąć. Opowiadanie nam w czasie covidowej hysterii zapewnienia o czekających nas „stosach trupów na stadionach” zepchnęliśmy już dawno w zbiorowe zapomnienie. Czy zapomnimy także o zapowiadanej klęsce Rosji, którą skończyć się miała – zdaniem stugębnego chóru „autorytetów” – wojna na Ukrainie?

Polskie elity polityczne i utrzymywane z naszych podatków zespoły ekspertów okazały się całkowicie niezdolne do przewidzenia rozwoju sytuacji militarnej na Ukrainie. Wraz z wyjątkowo jedno-myślnymi w tej kwestii mediami karmiły one Polaków fałszywą nadzieją ukraińskiego zwycięstwa, zagłuszając, przy pomocy uczonych ekspertów, wszelkie głosy krytyki. Dokładnie to samo mieliśmy okazję obserwować przy okazji kryzysu COVID-19, kiedy jedynomyślnie autorytety medyczne z fatalnymi skutkami ogłupiały i straszyły opinię publiczną. Polacy nie domagają się dzisiaj rozliczenia covidowych propagandzistów. Zapomnieliśmy też szybko o oczywistych pomyłkach heroldów ukraińskiego triumfu i wizjonerów upadku Rosji. Postawa taka jest dla Polaków niebezpieczna, zachęca do dalszych ekscesów wszelkiego rodzaju propagandzistów i podżegaczy wojennych. Rachunek za ich pomyłki zapłacić możemy wszyscy. Niedocenianie przeciwnika nieraz już skończyło się dla Polaków fatalnie. Przywódcy, którzy obiecywali „nieoddanie ani guzika”, oddali nie tylko guzik, lecz także spodnie z lampasami.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

KSIEGARNIA DO RZECZY



ZAPRASZAMY
DO KSIEGARNI
DO RZECZY



KSIEGARNIADORZECZY.PL

Im mniej w przegranej obozie rządzącym refleksji nad przyczynami wyborczej klęski Rafała Trzaskowskiego i im mniej pomysłu na dalsze rządy, tym więcej w nim Romana Giertycha. Kiedyś nienawidzony i wyszydzany, potem przez długi czas ledwie tolerowany, jako użyteczny prawniczy bulterier do atakowania PiS i Jarosława Kaczyńskiego, doczekał się swojej chwili. Zarządza wyobraźnią wyborców PO i ich emocjami, jest panem i autorem stworzonej dla nich narracji, a ujawnione przez Telewizję Republika taśmy, które miały go skompromitować, budują jego obraz jako demiurga od dawna zarządzającego z zaplecza wszystkim – „rozliczeniami”, prokuratorami i sędziami, resortem sprawiedliwości, w którym formalny minister, Adam Bodnar, jest z woli Donalda Tuska figurantem, zaledwie „twarzą” resortu, faktycznie realizującego politykę Giertycha; kierującego wreszcie postępowaniem samego Tuska, który wedle owych taśm postępuje zawsze według rad swojego prawnika.

Wejście Giertycha z radykalną narracją „PiS sfałszował wybory” przyniosło tak znakomite rezultaty, ponieważ było de facto wejściem w pustkę. Wbrew budowanej dziś przez otoczenie Tuska legendy, jakoby premier przewidywał przegraną Trzaskowskiego i starał się wpływać na jego nieudolny sztab, klęska zaskoczyła rządzących, tak jak zima co roku zaskakuje drogowców. Nie pozostawiają co do tego wątpliwości, rozpaczliwe wystąpienia premiera – najpierw orędzie, bezpośrednio po przegranej, sprowadzające się do „nic się nie stało, nic to nie zmienia, ani kroku w tył”, potem sejmowe exposé, wypełnione kłamstwami, manipulacjami (demaskowanymi nawet przez ośrodki dalekie od politycznej opozycji) i agresją, maskującą całkowity brak sukcesów dotychczasowych rządów i pomysłów na rządy dalsze, wreszcie absurda wiara, że nastawienie wyborców może się zmienić i wierzą oni w sukcesy koalicji, jeśli rząd powoła rzecznika. Jako uzasadnienie swych półtorarocznych rządów koalicja próbuje przedstawiać osiągnięcia tej rangi, co uruchomienie pociągu do Chorwacji (dopiero zresztą planowane), a jako wizje przyszłości – zamiar uruchomienia drugiego takiego pociągu, do

Gwałtowny awans Romana Giertycha jest dowodem schyłku PO

FOT. TOMASZ JASTRZĘBOWSKI/REPORTER

Faza Jerzego Urbana



Rafał A. Ziemkiewicz

W środowisku dziennikarskim pojawiło się domniemanie, że emitowane przez Telewizję Republika taśmy zostały nagrane nie przez żadnego Pegasusa z ABW czy CBA, ale przez samego Romana Giertycha. To ma być dla Donalda Tuska sygnał od jego wieloletniego prawnika, który daje mu do zrozumienia, że ma na niego haki

narciarskich kurortów w Alpach. Mówiąc cytatem ze Stanisława Barei: „Ogólny brak koncepcji”.

TEORIA SPISKOWA

Politycy władzy, nawet ci zwykłe najbardziej pyskaci, zamilkli więc, nie wiedząc, co mówić, w oczekiwaniu, aż podyktuje im to Tusk – ale Tusk zniknął, a jeśli na chwilę się pojawi, to rzuca kilka niespójnych frazesów i znika znowu. Cała PO zaczęła zatem, chcąc nie chcąc, powtarzać to, co podrzuca Giertych – spiskową do granic absurdu opowieść o armii ukrytych PiS-owców, udających przedstawicieli innych komitetów wyborczych bądź zwykłych członków komisji, potajemnie

przeszkolonych i centralnie zarządzanych, którzy dosypywali pozostałym do herbaty środki przeczyszczające, by pod ich nieobecność wedle drobiazgowych tajnych instrukcji fałszować protokoły na niekorzyść Rafała Trzaskowskiego. A opowieść tę nasycy, zgodnie z płynącymi od Giertycha zachętami – choć większość nawet tych zachęt nie potrzebuje – maksymalną agresją, chętnie podchwytywaną przez elektorat łaknący jakiegoś rozładowania frustracji.

Obecna aktywność byłego lidera Młodzieży Wszechpolskiej i Ligi Polskich Rodzin nieodparcie przypomina modus operandi Jerzego Urbana z czasów ustrojowego przełomu. Po katastrofie, którą

okazały się „częściowe wybory” 4 czerwca 1989 r., i szoku, że kandydatów PZPR „wycięto” nawet w zamkniętych okręgach, gdzie głosowali wojsko, milicja i beneficjenci systemu, w chwili gdy rosnąca gwałtownie liczba członków rządzącej partii rzucała legitymacje albo ukrywała je głęboko, były rzecznik Wojciecha Jaruzelskiego, dotychczas formalnie bezpartyjny, demonstracyjnie do PZPR wstąpił. Tym prostym gestem kupił sobie bezwarunkowe oddanie wszystkich znękanych sierot po upadłym ustroju i szybko stał się dla nich idolem oraz objął „rząd dusz”. Tygodnik, który zaczął wydawać, łamiący demonstracyjnie wszystkie obowiązujące wtedy normy przyzwoitości, przepełniony nienawiścią do zwycięskiej Solidarności, Kościoła i odradzającej się po dziesięcioleciach niebytu patriotycznej prawicy, w szczycie popularności sprzedawał grubo ponad pół miliona egzemplarzy, po postkomunistycznej stronie czytali go przez długie lata wszyscy i wszyscy tam „myśleli Urbanem”.

Analogia nie jest oczywiście stuprocentowa. Po pierwsze, Urban nie miał zamiaru wchodzić w aktywną politykę (przez chwilę patronował jakby-partii, „Ruchowi »Nie«”, ale wyraźnie bez przekonania). „Rząd dusz” był dla niego celem samym w sobie, sposobem zrealizowania się i zarobienia na dostatnie życie. Dla Romana Giertycha przemożny wpływ na „lud PO-owski” wydaje się zaś jedynie środkiem do realizacji innych celów, nie mamy jeszcze pewności jakich, ale na pewno związanych z polityką i władzą.

Po drugie, formacja Jerzego Urbana ani on sam nie próbowali zakwestionować ustrojowej przemiany. „Nie” wypisywało o Lechu Wałęsie, Jarosławie i Lechu Kaczyńskich oraz biskupach najobrzydliwsze rzeczy (dzięki ówczesnemu prawu praktycznie bezkarnie, gdyż w procesie cywilnym zniesławiony i pomówiony mógł co najwyżej zmusić oszczercę do wpłaty na PCK lub inny „cel społeczny” kwoty śmiesznie niskiej wobec skali zarobków tygodnika), ale nie próbowało delegalizować posolidarnościowych rządów, kwestionować podstaw prawnych państwa, poczętego w podwarszawskiej Magdalence – a zwłaszcza tworzyć dla swych wyznawców złudzenia, że PRL, „realny socjalizm” i Związek Sowiecki jeszcze wrócą. Urban obsługiwał frustra-

cje i agresję betonowego, „partyjno-mundurowego” elektoratu komunistycznego w istocie po to, by je rozładowywać. Aby Aleksander Kwaśniewski, Józef Oleksy czy Włodzimierz Cimoszewicz wygadywać publicznie plugastw nie musieli, włączając się „konstruktywnie” w zagospodarowanie masy upadłościowej po PRL.

Giertych, przynajmniej na razie, stara się najgorsze emocje wzmacniać, agregować i w tożsamościowym targacie kulturować wiarę, że nadal pozostaje on elitą, klasą rządzącą, jedynym środowiskiem uprawnionym do zarządzania krajem – i wszystko, co się stało, jest odwracalne. Owszem, wykuwają się prawdy giertychowej nowej wiary: PiS jakoś zdołał zmanipulować ciemną tłuszczykę, ale ona się opamięta, rządy „tego śmiecia i alfonsa” zostaną obalone i „znowu będzie, jak było”. Czy sam Giertych w to wierzy? Może nie, ale na pewno opłaca mu się tę wiarę szerzyć wśród wyznawców partii.

Roman Giertych stara się ugruntować w „ludzie PO-wskim” przekonanie, że jest najtwardszym z twardzieli

Do czego chce uzyskane w ten sposób wpływy wykorzystać? Najbardziej prawdopodobne wydaje się, że wyczuwszy słabość patrona, postanowił Giertych wykreować jego następcę. Ogłosił to zresztą otwarcie: nowym liderem PO powinien zostać jego przyjaciel, Radosław Sikorski. On sam do wysokich stanowisk nie aspiruje, ale stara się ugruntować w „ludzie PO-wskim” przekonanie, że jest najtwardszym z twardzieli i ostatnim, który może „pęknąć” w starciu z PiS. To ważne, bo kluczem do tego, czy partia pozostanie wierna Tusкови czy go opuści, jest odpowiedź na pytanie: Czy on nas jeszcze jest w stanie ochronić? Czy ocali nas przed powrotem PiS do władzy, co oznaczać będzie przecież dla sporej liczby najbardziej zaangażowanych procesy i więzienia, a dla prawie wszystkich – utratę pozycji, apanaży, pójście do łopaty, bo bez politycznego „podwieśzenia” na żadną lepszą pracę większość

koalicyjnych posłów i ministrów nie ma co liczyć.

NIC POZYTYWNEGO

Ciekawe jest, że cała ta krzątanina świeżego członka PO nie jest przez Tuska, jak dotąd, w żaden sposób komentowana. Potrafił on dość brutalnie zgasić koalicjantów, gdy zaczęli publicznie domagać się jakiejś „nowej umowy koalicyjnej”, potrafił postraszyć „rekonstrukcją rządu”, ale aktywności Giertycha wymysławiającego niestrudzenie coraz to nowe „spiny” przeciwko uznaniu legalności wyboru Nawrockiego, jakby nie zauważał, choć sam go publicznie zaakceptował. Naraża się w ten sposób na oskarżenie prędzej czy później ze strony radykalizowanych przez Giertycha partyjnych „dołów”, że zatracił dawną siłę, osłabł. A od takich oskarżeń już tylko krok do zakwestionowania pozycji lidera.

W środowisku dziennikarskim pojawiło się więc i zyskało sporą popularność domniemanie, że taśmy, publikowane przez Republikę, zostały nagrane nie przez żadnego Pegasusa z ABW czy CBA, ale przez samego Giertycha, i że ich publikacja jest dla Tuska sygnałem od jego wieloletniego prawnika: te rozmowy, które odbyliśmy i gdzie były delikty, sam wiesz jakie, daleko poważniejsze niż w ujawnionym materiale, też zostały nagrane. I te nagrania też mogą wyjść na światło dzienne.

Co wyniknie z gry Giertycha, zobaczymy. Jedno wydaje się pewne: jego gwałtowny awans jest bez wątpienia dowodem schyłku formacji, którą stworzyła „Polska Michnika i Kiszczaka”, jak ją nazwał śp. Maciej Rybiński. Kiedy po wyborach parlamentarnych 2023 r. cały obóz patriotyczny przeżywał głęboką frustrację po utracie władzy przez PiS, pocieszałem, że w dłuższej perspektywie Tusk odda lewicowo-liberalnej elicie III RP tę samą przysługę, którą Leszek Miller oddał formacji swojej – postkomunistycznej. To znaczy: udowodni recydywę swych rządów tak dobitnie, że nic już to środowisko nie jest w stanie zrobić pozytywnego, że wybieje to z głowy wyborcom raz na zawsze myśl o przywróceniu go jeszcze kiedykolwiek do znaczenia. Uważam, że nagły awans Giertycha na faktycznego przywódcę przetrąconej PO i jej pogubionych przystawek jest częścią tego procesu i potwierdzeniem moich przewidywań.

Plac Zbawiciela w Warszawie, procesja Bożego Ciała, 2014 r. FOT. JAKUB SZYMCIUK/GOŚĆ NIEDZIELNY/FORUM

Tęcza jak bumerang



Radosław Wojtas

Czy na plac Zbawiciela wróci tęcza? Tego chce lider stowarzyszenia Homokomando. Pomysł wywołuje kontrowersje nawet w środowisku LGBT. „Nowa tęcza, stary gwałt” – taki transparent pojawił się na tegorocznej Paradzie Równości

Pamiętacie – ja to od wielu lat mówię o tym, że budujemy razem Warszawę, która jest miastem otwartym, tolerancyjnym, w którym te wartości, które dla nas są tak ważne, są nie tylko cenione, ale promowane. Trzeba promować właśnie tolerancję, różnorodność i przede wszystkim szacunek dla wszystkich – mówił Rafał Trzaskowski podczas Parady Równości, która przeszła ulicami stolicy 14 czerwca. (W stwierdzeniu „dla wszystkich” nie ma cienia przesady. Wśród słuchających tych słów były grupa satanistów oraz odpowiednio ucharakteryzowane indywiduum, które zamiast rogów miało

na głowie dwie dziecięce nóżki i które przedstawiało się jako demon Aborcjel).

Na wizerunku Warszawy jako miasta w pełni tolerancyjnego i otwartego na środowiska LGBT+ jest jednak spora rysa. Jest nią sprawa „Tęczy” z placu Zbawiciela. Instalacji, która była wielokrotnie niszczone i wielokrotnie próbowała wrócić na „Zbawiks”. Próbuje nadal. Ostatnio za sprawą budżetu obywatelskiego. „Warszawa jest dla wszystkich! Ustawmy Łuk LGBT+ na placu Zbawiciela i w czerwcu wywieśmy flagi tęcowe we wszystkich dzielnicach Warszawy” – napisał w projekcie „Nowa Tęcza na placu Zbawiciela” zgłoszonym do budżetu obywatelskiego na 2026 r. jego inicjator, Linus Lewandowski.

Czy czeka nas kolejna wojenka o tęczę na placu Zbawiciela? Przekonamy się po ogłoszeniu wyników głosowania. Ma to nastąpić 1 lipca. Kontrowersje wzbudza nie tylko powrót samego symbolu, lecz także osoba, która stoi za tym pomysłem. Pod adresem Linusa Lewandowskiego i założonej przez niego organizacji Homokomando padają poważne oskarżenia.

NIECHCIANY SYMBOL

„Tęcza” z placu Zbawiciela to instalacja artystyczna stworzona przez Julitę Wójcik. Powstała na zlecenie Instytutu

Adama Mickiewicza w ramach programu kulturalnego polskiej prezydencji w Radzie Unii Europejskiej. Została ustawiona pod budynkiem Parlamentu Europejskiego w Brukseli, gdzie stała od 24 września do 2 grudnia 2011 r.

Instalacja wykonana ze sztucznych kwiatów zaplecionych na stalową konstrukcję miała 9 m wysokości i 26 m rozpiętości. Kiedy 8 czerwca 2012 r. przenoszono ją na plac Zbawiciela w Warszawie, jej twórczyni mówiła: „Tęcza» pojawiła się w momencie organizacji wielu wydarzeń: 2 czerwca odbyła się Parada Równości, za chwilę będziemy mieć Boże Ciało, a zaraz potem – otwarcie Euro 2012. Ona pasuje niejako do wszystkich tych wydarzeń, co sprawia, że tym samym podkreśla moje główne założenie: żeby »Tęcza« nie była zaangażowana społecznie czy politycznie, aby była całkowicie wolna od jakichkolwiek narzuconych znaczeń. Po prostu – aby była piękna”.

Trudno jednak, by została neutralnym elementem krajobrazu, niekojarzonym społecznie czy politycznie, skoro była to tęcza o sześciu (a nie – jak w przypadku klasycznej tęczy – siedmiu) barwach, a właśnie sześciobarwna tęcza jest symbolem LGBT+. Od początku więc budziła

kontrowersje. Z jednej strony za sprawą symboliki. Z drugiej – pracy zarzucano kiczowatość, wskazywano, że nie pasuje do otoczenia, że je szpeci, że zasłania kościół pw. Najświętszego Zbawiciela.

Problem miał rozwiązać się szybko sam. „Tęcza” miała zniknąć po trzech miesiącach, miasto co rusz przedłużało jednak ekspozycję. Osoby, którym ten symbol w przestrzeni miejskiej przeszkadzał, próbowały brać sprawy we własne ręce. „Tęcza” była kilkakrotnie podpalana, w 2013 r. – całkowicie zniszczona. Za każdym razem wracała. Gdy miasto ogłosiło, że po gruntownej renowacji „Tęcza” wróci na plac Zbawiciela 1 maja 2014 r., Julita Wójcik wskazywała: „Najlepszą datą na powrót »Tęczy« jest dzień 17 maja, dzień, który jest Międzynarodowym Dniem Walki z Homofobią”. I dalej: „[...] tolerancji, poszanowania godności osobistej i przekonań potrzebują ci, którzy są w naszym społeczeństwie mniejszościami. Takimi mniejszościami bez wątplenia są środowiska homoseksualne oraz imigranci. To tych mniejszości polskie prawo nie chroni w żaden skuteczny sposób. Nawet nie broni ich przed mową nienawiści, jaka jest ostatnio kierowana pod ich adresem. Nienawiść ta płynie z różnych środowisk, a co bardzo niebezpieczne, również politycznych”.

Nie było już mowy o „wolności od narzuconych znaczeń”. Zrekonstruowaną „Tęczę” miasto objęło nadzwyczajną ochroną. Przez całą dobę na placu Zbawiciela stacjonował patrol straży miejskiej. Często towarzyszył mu policyjny radiowóz. „Tęczę” strzegł też monitoring. Utrudnieniem dla ewentualnych podpaleni miała być instalacja zraszająca. Na centralną wyspę placu Zbawiciela, na której znajdowała się „Tęcza”, nie wyznaczono przejść dla pieszych, a zatem samo podejście do tej świeckiej świętości groziło mandatem karnym. Ostatecznie „Tęczę” zdemontowano 26–27 sierpnia 2015 r., a prawa do projektu uzyskało Centrum Sztuki Współczesnej Zamek Ujazdowski.

KOSZTOWNY POWRÓT

Instalacja z placu Zbawiciela nadal jednak żyła i żyje w zbiorowej świadomości, a działania zmierzające do jej powrotu są pewną próbą sił. Działania na rzecz ustawienia na „Zbawiksie” nowej

tęczy inicjuje Linus Lewandowski, założyciel Homokomanda. Od kilku lat składa projekt do budżetu obywatelskiego. Na realizację jego pomysłu nie wystarczyło głosów. Z roku na rok zdobywa jednak coraz większe poparcie: w roku 2022 – 6806 głosów, w roku 2023 – 9431 głosów, w roku 2024 – 10 699 głosów. W tym roku głosów jeszcze nie zliczono, ale pomysłodawca nie traci wiary: „Jeszcze bardziej doświadczeni i jeszcze lepiej przygotowani zgłosiliśmy nowy projekt. I w tym roku – na pewno wygramy!” – pisze.

„»Tęcza« Julity Wójcik, stojąca w latach 2012–2015 na placu Zbawiciela w Warszawie, była powszechnie znanym symbolem Warszawy, jednym z kilku najważniejszych symboli równości LGBT+ na świecie – jak Harvey Milk Plaza w San Francisco, Stonewall National Monument w NYC i Homomonument w Amsterdamie. Była też symbolem zmian społecznych i nadziei dla osób LGBT+ w Polsce. Dawiała placu Zbawiciela serce” – uzasadnia Linus Lewandowski. I dalej: „Afirmacja tęczy, pokazywanie symboliki LGBT+ w centralnych miejscach publicznych, w sposób jawny i odważny – pokazuje, że bycie osobą LGBTQIA+ nie jest powodem do wstydu, ale właśnie czymś _normalnym_. Dlaczego ktoś miałby wstydzić się bycia gejem, jeśli na centralnym placu Warszawy stoi wielka tęcza w »kolorach gejów«?” [pisownia oryginalna].

W opisie projektu czytamy, że na środku placu Zbawiciela ma stanąć „obiekt małej architektury w kształcie przerwanego łuku, pod nazwą »Łuk LGBT+«”. Stełaż obiektu ma być wykonany z „materiałów jak najmniej palnych” i pomalowany w kolorach LGBT+. „Instalacja zostanie ustawiona w czerwcu – tradycyjnym miesiącu równości / pride. Dodatkowo w czerwcu we wszystkich dzielnicach Warszawy zostaną wywieszone tęczowe flagi – co najmniej jedna na dzielnicę, w miejscach wybranych przez urzędy dzielnic”.

Wiemy dobrze, że w Warszawie nic nie jest tanie. Trzysta metrów drogi może kosztować ponad 38 mln zł, „strefy relaksu”, czyli skromne drewniane konstrukcje do przycupnięcia przy ruchliwej ulicy – po 60 tys. zł, a publiczny szalet w błocie – 650 tys. zł. „Tęcza” i wywieszenie flag we wszystkich dzielnicach też nie mogą

być tanie. Projekt wyceniono drożej niż osławioną toaletę, bo na 700 tys. zł.

W CIENIU SKANDALI

„Mam na imię Marta i wraz z moją dziewczyną zwracamy się do Państwa z apelem o reakcję [...]” – tak rozpoczynał się e-mail zatytułowany „Tęcza gwałcicieli, Homokomando”, który otrzymaliśmy na naszą redakcyjną skrzynkę. Kobieta wyraża zaniepokojenie nie samym faktem powrotu tęczy, lecz tym, kto stoi za tym pomysłem. Píše, że projekt jest torpedowany przez część środowiska LGBT+.

Dlaczego? W 2022 r. w „Dużym Formacie” ukazał się reportaż „Czy znany aktywista LGBT z bronią w ręku zgwałcił mężczyznę? Co się stało w Homokomando?”. Dotyczył on Macieja L., aktywisty LGBT, byłego członka zarządu Homokomanda. Miał on umówić się z mężczyzną w aplikacji randkowej dla gejów, podszyc się pod inną osobę, wejść do mieszkania mężczyzny w kominiarce, wstrzyknąć mu jakąś substancję, a następnie zmuszać go do czynności seksualnych, grożąc śmiercią. Cała sytuacja miała zostać nagrana ukrytą kamerą. „Zostałem pozwany przez Linusa Lewandowskiego (prezesa stowarzyszenia Homokomando) i samą organizację. Członek zarządu tej organizacji, o którym pisałem, ma dziś prokuratorskie zarzuty za gwałt” – przypomniał niedawno na Facebooku autor reportażu.

W styczniu, podczas posiedzenia Parlamentarnego Zespołu do spraw Równouprawnienia Społeczności LGBT+, aktywista LGTB+ Cyryl Wilczyński oświadczył, że był molestowany przez obecnego na tym posiedzeniu Linusa Lewandowskiego. Wywód szybko ucięła przewodnicząca komisji Anna Maria Żukowska z Lewicy. – Personalne sprawy to nie na tym zespole – powiedziała.

Kilka tygodni później Linus Lewandowski znów zaproszono do Sejmu, by był ustami środowiska LGBT. Cyryl Wilczyński już się nie pojawił. Przyszedł natomiast na Paradę Równości z transparentami: „Nowa tęcza, stary gwałt”. Miał zaklejone usta opaską z napisem: „Homokomando”. Lewandowski podkreśla, że nie zostały wobec niego postawione zarzuty w związku z oskarżeniami padającymi ze strony Wilczyńskiego. Nazywa go stalkerem.



Jan Pospieszalski

Komunikat o odsunięciu ks. Piotra Glasa od posługi ogłoszono, zanim rozpoczęły się jakiekolwiek czynności procesowe. Zarzuty w liście biskupa przedstawiono tak dosłownie, że język i sposób opisu wywołały protesty wiernych. Natychmiast na stronach diecezji Portsmouth pokazały się informacje o pełnej współpracy z prokuraturą i apel o zgłaszanie się innych ofiar kapłana z Polski. Upłynęły dwa lata i nikt się nie zgłosił. W opinii wiernych taka postawa władz diecezji była zaprzeczeniem domniemania niewinności

Wapogeum powyborczego medialnego wzmożenia, gdy Państwowa Komisja Wyborcza ogłaszała stopniowo spływające wyniki z obwodowych komisji, Katolicka Agencja Informacyjna, Onet, a potem wiele innych mediów przekazały wiadomość, że ks. Piotr Antoni Glas został skazany na pięć lat więzienia za wykorzystywanie seksualne dziecka, jakiego się dopuścił w latach 2004–2007. „Skazany kapłan – czytamy w Onecie – otrzymał również dożywotni zakaz kontaktów z ofiarą. Dodatkowo musi zapłacić ponad 12 tys. funtów za terapię, którą ta, obecnie dorosła osoba, przechodzi. Został także umieszczony w rejestrze przestępców seksualnych na okres 10 lat”.

PEDOFILIA – MEDIALNY TEMAT

Źródłem niemal wszystkich doniesień jest KAI, która powołuje się na media brytyjskie i stronę WW diecezji Portsmouth (bbc.com, jerseyeveningpost.com, portsmouthdiocese.org.uk).

Nie jest moim zamiarem przekonywanie o niewinności ks. Piotra Glasa, choć muszę przyznać, że dla mnie, jak pewnie



Konferencja ks. Piotra Glasa w Częstochowie, 15 października 2016 r. FOT. HENRYK PRZONDOŃCZAK/GN/FORUM

Zanim wydamy wyrok

dla wielu polskich katolików, doniesienia o oskarżeniach i toczącym się procesie były ogromnym zaskoczeniem. Należę do tych dziennikarzy, którzy wraz z redakcją programu „Warto rozmawiać” od lat uczestniczyli w ujawnianiu nadużyć seksualnych osób duchownych. W TVP i w innych mediach sporo miejsca poświęciliśmy sprawie abp. Juliusza Paetza, ujawnialiśmy nadużycia seksualne w diecezji płockiej, wspieraliśmy działania na rzecz oczyszczenia Kościoła podejmowane przez nieodżałowanego ks. Tadeusza Isakowicza-Zaleskiego, zapraszaliśmy do programów ks. prof. Dariusza Oko. Jednocześnie, inaczej niż media liberalne, wskazując skalę zjawiska, podkreślaliśmy, że to nie pedofilia jest najczęstszą przyczyną patologii wśród duchownych, lecz homoseksualizm. Obserwując nieudolność i brak odwagi hierarchii w zmierzaniu się z oczyszczeniem struktur Kościoła z osób, które w kapłaństwie znalazły azyl dla swojej zaburzonej seksualności, widziałem także, jak często oskarżenia o wykorzystywanie seksualne stawały się podstawą nieuprawnionych roszczeń i okazją wyłudzenia przez rzekome ofiary odszkodowań. Czy oskarżenia wobec charyzmatycznego duszpasterza, któremu wielu wiernych zawdzięcza przemianę duchową, są prawdziwe? Nie wiem. Wiem natomiast, że zaraz po ogłoszeniu wyroku obrona zapowiedziała apelację, i chciałbym wierzyć, że w toku dalszego postępowania adwokat zdoła dowieść niewinności ks. Glasa.

Zdumiewa mnie jednak, że w przypadku procesu polskiego kapłana KAI, nie zadając sobie trudu, by spojrzeć nieco szerszej na kontekst i proces ks. Glasa, ograniczyła się do selektywnego przedrukowania doniesień mediów brytyjskich. Zdaję sobie sprawę, że miejsce, w którym toczy się postępowanie, jest daleko. Mała wyspa gdzieś u wybrzeży Normandii, a więc wysłanie korespondenta na kilka dni w obecnej sytuacji, w której znajduje się KAI, jest praktycznie niemożliwe.

Wiem, że kilka osób z otoczenia ks. Piotra, mieszkających na Wyspach, obserwowało rozprawę. Ale najpierw sprawdziłem, co pisały miejscowe gazety.

Owszem, obok informacji o wyroku znalazłem kilka innych wcześniejszych tekstów, gdzie są zeznania m.in. matki poszkodowanego, ale przede wszystkim obszerniejsze cytaty z wystąpień proku-

O sytuacji katolików na Wyspach świadczy projekt ustawy, która uchyli tajemnicę spowiedzi

rator okręgowej Carli Carvalho, ks. Glasa oraz niektóre kwestie sędziego i adwokata. Początkowo księdzu zarzucono aż 10 przestępstw. W toku postępowania większość oddalono. Prokurator, przedstawiając najistotniejsze zarzuty, oskarżyła księdza o „zaplanowane i celowe” uwodzenie ofiary w celu pozyskania zaufania chłopca i jego rodziców. Powiedziała, że ks. Glas „zaczynał od obsypywania ofiary prezentami, aż do momentu, w którym zapraszał ofiarę do swojego domu, po czym używał jej stóp, aby zaspokoić swój seksualny fetysz stóp”. Prokurator Carvalho opisała również odosobniony incydent, gdy Glas „walczył z ofiarą, przykładając twarz ofiary do swojego kroczka i jej stopy do swojej twarzy”. Po tygodniowym procesie i wielogodzinnej naradzie 8 kwietnia 2025 r. ława przysięgłych uznała ks. Glasa za winnego dopuszczenia się molestowania dziecka.

OSKARŻONY ZAPRZECZA

W doniesieniach brytyjskiej prasy, oprócz szczegółowych opisów zarzucanych czynów, znajdują się także inne, istotne informacje. Po pierwsze, ks. Piotr Glas zaprzeczył oskarżeniom o molestowanie seksualne. W toku procesu nigdy nie przyznał się, że zarzucane mu czyny miały mieć podłoże seksualne. Jak podkreślił adwokat Simon Thomas, w toku postępowania nigdy nie dowiedziono, że czyny, o które oskarża się księdza, miały intymny charakter. Tym, co zostało uznane przez sędziego i ławę przysięgłych jako przyznanie się do zarzucanych czynów, jest nagranie rozmów telefonicznych, które w tajemnicy przed oskarżonym dokonał pokrzywdzony. Prokuratura interpretuje nagranie twierdząc, że „ks. Glas w trakcie rozmów przyznał się do nadużycia i przeprosił za nie”. Jednak i w tym kontekście prasa brytyjska cytuje ks. Glasa, „który za niektóre ze swoich odpowiedzi podczas rozmów telefonicznych zrzucił winę na barierę językową i różnice kulturowe, twierdząc, że kiedy odpowiadał »tak« na zarzut nadużycia, dawał do zrozu-

mienia, że słucha”. Po drugie, z cytowanych w prasie zeznań matki pokrzywdzonego wynika, że zachowania kapłana wobec jej syna nigdy nie wykazywały podejrzanych cech, a oskarżenie ks. Glasa było dla niej potężnym zaskoczeniem. Ponadto w doniesieniach pojawia się sformułowanie „molestowanie dziecka”. Relacje prasowe podają ówczesny wiek poszkodowanego. Choć z prawnego punktu widzenia nie jest to istotne, to kontakty księdza z poszkodowanym miały miejsce, gdy chłopak miał 13–15 lat. Niestety, tych informacji w doniesieniach KAI i w innych mediach nie znalazłem. Szkoda. Podkreślę jeszcze raz: ks. Glas należał do kapłanów, którzy mieli znaczące oddziaływanie na licznych wiernych, i choćby tylko w uznaniu jego dokonań duszpasterskich wypadałoby spojrzeć na sprawę nieco wnikliwiej.

Rzecz się dzieje w Wielkiej Brytanii, gdzie liberalne media mają „specyficzny” stosunek do chrześcijan, a do katolików w szczególności. W tym klimacie trzeba nie lada dziennikarskiej odwagi, by wobec napiętnowania kapłana zarzutem molestowania dziecka (uwaga, kapłana żyjącego w tym średniowiecznym celibacie!) nie ulec natychmiastowemu przekonaniu o jego winie.

A ponieważ o winie i niewinności decydują ławnicy, czyli zwykli brytyjczycy obywatele, jeżeli media już wydadzą wyrok, trudno jest przeciwstawić się powszechnemu przekonaniu.

Tak na marginesie: te same brytyjskie media przez kilkanaście lat ukrywały wiedzę o szajkach pakistańskich zwyrodnialców, którzy dopuścili się gwałtów na 1,4 tys. dziewczyn. Dziś tłumaczą się, że objęcie cenzurą tych przestępstw było spowodowane odpowiedzialnością i lękiem przed zamieszkami. O sytuacji katolików na Wyspach świadczy też projekt ustawy zgłoszony przez organizację National Secular Society (NSS), aby uchylić tajemnicę spowiedzi i objąć obowiązkiem zgłaszanie informacji o nadużyciach seksualnych wobec dzieci, pozyskanych w konfesjonale. Wiemy też, że brytyjskie prawodawstwo zabrania modlitw nie tylko przed samymi klinikami aborcyjnymi, lecz także w prywatnych mieszkaniach w pobliżu tych placówek. Obrazu wymiaru sprawiedliwości na Wyspach dopełniają informacje o wyrokach więzienia dla internautów oskarżonych o „mowę

„nienawiści”. To także na londyńskim lotnisku Heathrow, na skutek doniesienia lewicowej parlamentarzystki Rupy Huq, Rafał A. Ziemkiewicz został zatrzymany i jak groźny terrorysta osadzony w areszcie deportacyjnym, gdzie odebrano mu telefon, leki i pobrano odciski palców, a w końcu wydano go z Wielkiej Brytanii.

DIECEZJA WYDAŁA JUŻ WYROK

Dla zrozumienia kontekstu sprawy ks. Piotra Glasa istotną jest postawa władz diecezji. Gdy w maju 2023 r. do kurii w Portsmouth wpłynęły pierwsze oskarżenia, przedstawiciele biskupa pojawili się u ks. Glasa z informacją, że jest zawieszony w obowiązkach, i zażądali opuszczenia mieszkania. Zanim rozpoczęły się jakiekolwiek czynności procesowe, z ambon w diecezji odczytano komunikat o odsunięciu ks. Glasa od posługi. Zarzuty w liście biskupa przedstawiono tak dosłownie, że język i sposób opisu wywołały protesty wiernych. Natychmiast na stronach diecezji pokazały się informacje o pełnej współpracy z prokuraturą i apel o zgłaszanie się innych ofiar ks. Glasa. Upłynęły dwa lata i nikt się nie zgłosił. W opinii wiernych taka postawa władz diecezji była zaprzeczeniem domniemania niewinności.

Podczas procesu okazało się, że ks. Glas w toku postępowania w ogóle nie został przesłuchany przez policję. Pierwsze przesłuchanie oskarżonego przez panią prokurator miało miejsce dopiero podczas rozprawy. W relacji świadków w trakcie wielogodzinnego przesłuchania prokurator używała specjalistycznego języka i choć kapłan od lat posługuje się angielskim, to kilkakrotnie prosił o powtórzenie sformułowań, przyznając, że nie rozumiał pytania. W pewnym momencie prokurator zapytała ks. Glasa, czy jest grzesznikiem. W odpowiedzi, zgodnie z prawdą, usłyszała: „Tak. Wszyscy jesteśmy grzesznikami”. Następnie ksiądz ponownie zaprzeczył, że doszło do molestowania. Oczywiście sąd uwzględnił tylko pierwszą część odpowiedzi.

Ponadto adwokatowi nie udostępnił kompletno dokumentacji, stąd pełnomocnik księdza nie był w stanie w pełni merytorycznie odnieść się do oskarżenia. Niedostępne dla obrony były np. wyniki badań psychologicznych poszkodowanego, gdy aplikował do seminarium. Według pozyskanych przez obronę informacji badania kandydata nie wykazały żadnych

zaburzeń, a przecież ks. Glas jest oskarżony o spowodowanie zespołu stresu pourazowego (PTSD), który od lat ponoć jest źródłem cierpienia ofiary. Inną istotną informacją, która wpłynęła na rozprawę, są spotkania poszkodowanego z wikariuszem generalnym diecezji trzy dni przed procesem. Według przedstawiciela kurii wtedy poszkodowany nie był pewien, czy do molestowania w ogóle doszło. Podczas drugiego spotkania, z udziałem ojca ofiary, wikariusz usłyszał, że doszło. Wobec sprzecznych zeznań przewodniczący składu orzekającego zwrócił się z apelem do ławników, aby brali pod uwagę tylko relację z drugiego spotkania, z udziałem ojca, gdzie ofiara zapewniała o molestowaniu.

Ponadto taśmy, które posłużyły jako dowód przyznania się oskarżonego, nagrywano przez kilka miesięcy, a na sali zaprezentowano tylko dwa fragmenty. Taśmy nigdy nie zostały zbadane laboratoryjnie pod względem ich integralności i autentyczności.

Kontrowersje obserwatorów budzi także sposób przesłuchania pokrzywdzonego. Prokurator suflowała mu wręcz gotowe sformułowania.

GROŹNE MODLITWY

Jako równorzędną „zbrodnię” kapłana uznano fakt jego bliskiej relacji z poszkodowanym i rodziną. W zarzutach i mowach końcowych obok molestowania pojawiły się oskarżenia o manipulację i psychologiczne uzależnienie. Według oskarżyciela i sędziego tym, co dało kontrolę i możliwość manipulacji chłopcem i rodziną, były modlitwy o uwolnienie i egzorcyzmy. Na marginesie: ten zarzut „kontroli i manipulacji” pojawia się ostatnio jak mantra w atakach modernistów i lewicy na kapłanów, zwłaszcza na spowiedników i kierowników duchowych. Na ostatnim posiedzeniu przed wydaniem wyroku wszystkie opinie wielu innych chłopców, ministrantów i ich rodzin, poświadczające nienaganną postawę moralną ks. Glasa, sąd odrzucił, traktując je jako dowód na przebiegłość oskarżonego i zdolność maskowania się. Widocznie modlitwy i egzorcyzmy są tym, co ostatecznie pogrążyło księdza, ponieważ w tym samym sądzie, w zakończonym równolegle procesie gwałciiciela 14-latkę, sąd orzekł wyrok niższy – cztery lata. Obrona zakłada, że w rozprawie apelacyjnej sąd ujawni niedostępne dokumenty, wśród których mogą

być ważne dowody fałszerstw i poświadczeń nieprawdy przez pokrzywdzonego w innych sprawach. Adwokat ma nadzieję, że wcześniej czy później uda się oczyścić księdza z zarzutów. Zapowiada apelację aż do Sądu Najwyższego.

Czekając na wynik rozpraw apelacyjnych, należy przywołać głośną sprawę medialnej egzekucji zrealizowanej przez Onet na ks. Jacku Stryczku. Twórca Szlachetnej Paczki, rozkręcając potężną dobroczynną inicjatywę, właśnie jako kapłan budził zaufanie i dawał całej akcji tak potrzebną wiarygodność. Nagle z dnia na dzień, na skutek publikacji Onetu, ks. Jacek został odsunięty od kierowania stowarzyszeniem Wiosna, dziełem, które tworzył przez 18 lat. Zarzuty o mobbing i znęcanie się nad współpracownikami doprowadziły do postępowania prokuratorskiego. Zanim śledczy cokolwiek zdążyli ustalić, medialny lincz i nawałnica oskarżeń sprawiły, że ks. Strzyk wycofał się z życia publicznego. Wygląda na to, że chodziło o wrogię przejęcie potężnej, charytatywnej, kościelnej inicjatywy. Po czterech latach, w 2022 r., prokuratura umorzyła postępowanie, ale oszczercy z Onetu i Wiosny nie dali za wygraną. Ksiądz Strzyk musiał czekać jeszcze trzy kolejne lata na ponowne umorzenie postępowania. Podobne przykłady można mnożyć. Dość wspomnieć sprawę oskarżonego, skazanego i uniewinnionego kard. Georga Pella z Australii czy bliższą nam sprawę oszusta Marka Lisińskiego. Lisiński, jak potwierdził Sąd Apelacyjny w Łodzi, nigdy nie był molestowany przez księdza, a jego fundacja rzekomo walcząca z pedofilią w Kościele zbudowana była na kłamstwie. Przypomnijmy: tak jak w przypadku kard. Pella całość oskarżenia ks. Piotra Glasa zbudowana jest na doniesieniach tylko jednej osoby.

Księdzu Jackowi Stryczkowi być może uda się z czasem odbudować zniszczone dobre imię. Życzę mu tego z całego serca, mając wyrzuty sumienia, że wtedy, gdy Onet wydał na niego wyrok, zabrakło mi czujności, żeby stanąć w jego obronie. Od medialnych wyroków trudno bowiem wnieść apelację. Ale czy po latach walki i upokorzenia ks. Strzyk będzie miał siłę, by wrócić do dobroczynnej działalności? Nie wiemy.

Czy w przypadku ks. Glasa mamy do czynienia z podobną operacją?

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Bezpieczeństwo Polski 360° Debata Fundacji SET

26 czerwca 2025 r., (czwartek) godz. 12:00 -14:00

Miejsce: SDP, Warszawa, ul. Foksal 3/5,

Prowadzący – Wojciech Jakóbiak – Energy Drink

AGENDA:

Przedstawienie Fundacji:

Wojciech Dąbrowski – prezes Fundacji SET

Tomasz Zdzikot – Przewodniczący Rady Fundacji SET

Panel I – Transformacja energetyczna a suwerenność energetyczna Polski

Wojciech Dąbrowski

Paweł Majewski

Adam Tywoniuk

Mateusz Wodejko

Panel II – Nowe wyzwania dla bezpieczeństwa narodowego

Gen. broni rez. dr Jarosław Gromadziński

Kasjan Wyligala

Tomasz Zdzikot

dr Piotr Zuzankiewicz

Panel III – Nowe technologie – zastosowanie i finansowanie

prof. Tomasz Cicirko

prof. Ireneusz Dąbrowski

dr Karolina Grenda

Piotr Nowak

Dopaść księdza



Zuzanna Dąbrowska-Pieczynska

Prokuratura po raz drugi umorzyła śledztwo dotyczące mobbingu, prowadzone wobec ks. Jacka Stryczka. Inicjator jednej z największych akcji charytatywnych w Polsce przekonuje, że padł ofiarą medialnej nagonki. Do dziś nie usłyszał przeprosin



Dla ks. Jacka Stryczka umorzenie śledztwa w jego sprawie to gorzkie zwycięstwo FOT. BEATA ZAWRZEL/REPORTER

Zastosowano wobec mnie taki model szykanowania, który wykańcza. Przez trzy lata żyłem jak James Bond, budziłem się i zastanawiałem, co się dzisiaj złego wydarzy i jak ja to pokonam. To nie jest w ogóle przesada, każdego dnia trzeba było pokonywać jakąś kolejną przeszkodę, bo ktoś tak to właśnie zaplanował. Żyłem jak w czasach PRL, łącznie z tym, że wstawiano ludzi do mojego środowiska – tak ks. Jacek Stryczek, założyciel stowarzyszenia Wiosna, organizującego każdego roku popularną akcję charytatywną Szlachetna Paczka, opowiada o tym, co działało się z nim w czasie śledztwa prokuratury.

Śledztwo ruszyło w 2018 r., po rzekomo demaskatorskim artykule dotyczącym mobbingu w Wiośnie. Dziennikarz Janusz Schwertner opisywał, że codziennością w fundacji prowadzonej przez księdza ma być mobbing: ataki na pracowników i ich poniżanie. Oskarżano księdza m.in. o to, że wypytuje o pry-

watne sprawy, a potem wykorzystuje je z pozycji przełożonego. „Rozmawiałem z 21 osobami, które opowiadały mi o piekle, jakie przeżyły w stowarzyszeniu” – relacjonował Schwertner, dodając, że „wiele osób nie chciało, żeby ten tekst powstał”. „W Krakowie zapanowała zmowa milczenia o tym, co się dzieje w Szlachetnej Paczce. Każdy, kto tu mieszkał, słyszał, że warunki pracy w stowarzyszeniu nie są najlepsze” – mówił w wywiadzie po publikacji.

OGÓLNOPOLSKI SKANDAL

Wszystko miało zacząć się od listu, który dostał dziennikarz. „Piszący mówili wprost o znęcaniu psychicznym, mobbingu. I pytali mnie, czy byłbym skłonny się tym zająć” – wspominał. Schwertner kreślił wizerunek ks. Stryczka jako tyrana, przed którym drżeli niemal wszyscy. „Dla mnie ten tekst to opowieść o tym, jak wygląda organizacja zarządzana w oparciu o agresję słowną, znęcanie psychiczne,

o wzbudzanie paniki, lęku, strachu, długotrwałego stresu i o tym, jakie konsekwencje to przynosi” – stwierdził autor materiału. Przekonywał, że w Krakowie mieszka terapeutka, która zyskała przydomek Tej od Wiosny. Powód? To do niej mieli trafiać poszkodowani przez szefa Wiosny. Dalej padły jeszcze mocniejsze słowa: „Terapeuci mówią, że moi rozmówcy padli ofiarą mobbingu i organizacja była zarządzana w sposób autorytarny czy autorytarno-psychopatyczny. Słyszałem opinie, że mechanizmy, które tam występują, »przypominają sektę«”.

Trwające od 2018 r. śledztwo prokuratura umorzyła cztery lata później, ponieważ nie doszukała się znamion czynu zabronionego w postępowaniu ks. Stryczka. Postępowanie wznowiono w 2023 r. decyzją krakowskiego sądu. Jednak tak jak wcześniej śledczy nie byli w stanie dowieść, że inicjator Szlachetnej Paczki złamał prawo, w związku z czym kolejne umorzenie nastąpiło w maju bieżącego roku.

żącego roku. Co istotne, również kontrola Państwowej Inspekcji Pracy nie potwierdziła rzekomego mobbingu w organizacji.

Materiał Onetu wywołał ogólnopolski skandal, a także rewolucję w stowarzyszeniu Wiosna. Wobec ogromnej presji medialnej ks. Jacek Stryczek ustąpił ze stanowiska prezesa. „Trwa kryzys. Jestem odpowiedzialnym liderem i uważam, że nie moja osoba, ale Paczka jest najważniejsza” – poinformował wtedy. Krakowska kuria zażądała od kapłana szczegółowych wyjaśnień w sprawie oskarżeń padających pod adresem duchownego. Teraz ks. Stryczek pozostaje w konflikcie z obecnym kierownictwem stowarzyszenia, którym kieruje dziś Joanna Sadzik. Założyciel Wiosny stwierdził w wywiadzie z 2023 r., że w stowarzyszeniu działa zorganizowana grupa przestępcza, której celem było przejęcie organizacji. Poinformował wtedy o złożeniu zawiadomienia o możliwości popełnienia przestępstwa w stosunku do wydawcy portalu Onetu oraz autora szkalującego go tekstu. „Złożyłem zawiadomienie do prokuratury o zagrożeniu swojego życia i zdrowia” – powiedział ks. Jacek Stryczek w Polsce. Dodatkowo zarzucał, że Sadzik została wybrana na prezesa w 2019 r. w sposób nielegalny. Nowa szefowa nie pozostawała dłużna. „Każdy, kto czuje, że coś mu zagraża, powinien zwrócić się do odpowiednich służb. Dla mnie ks. Jacek był osobą, która miała dwa oblicza. Z jednej strony był niesamowitym wizjonerem i miał charyzmę. Z drugiej strony pracowało się z nim bardzo trudno” – odpowiadała Joanna Sadzik.

Teraz, po ponownym umorzeniu sprawy, ks. Stryczek triumfuje, choć nie ukrywa, że to gorzkie zwycięstwo. „Taka decyzja prokuratury powinna zapaść już w październiku 2018 r., bo wiadomo było, że nic nie ma i że to wszystko jest na siłę. To był taki układ, że portal Onet coś napisał, a partia Razem złożyła doniesienie do prokuratury. Było to w ten sposób prze-myślane, aby prokuratura mogła mnie grillować przez wiele lat” – powiedział nadal przekonuje dla „Naszego Dziennika”. Kapłan zaznacza, że przez cały czas miał w sprawie jedynie status świadka, stąd nie wiedział, co się dzieje w śledztwie. „Dodajmy, że w sumie było 750 świadków. Przesłuchiwane były nawet osoby, które mnie w ogóle nie znały. Była to decyzja polityczna” – przekonuje. Założyciel Wio-

sny powiedział, że jego przeciwnicy „dotarli do współpracowników, do duszpa-sterstwa i do rodziny. Po prostu wszędzie, nawet na plebanie do księży”. Dodaje, że medialny atak byłby do zniesienia, gdyby nie to, że wymierzone w niego działa-nia „były podjęte w wielu wymiarach”. W rozmowie z „ND” ks. Stryczek zapew-nił, że cała sprawa nie wpłynęła na jego relację z Bogiem. W tekście opisującym historię na łamach „Gościa Niedzielnego” czytamy, że „niszczono autorytet, zdrowie i dobre imię księdza, który stworzył jedną z największych akcji pomocowych w Pol-sce. Bez aktu oskarżenia. Bez procesu. Ale z medialnym linczem, który trwał

i złośliwy. Wówczas mogłaby być mowa o przestępstwie. A niewłaściwe zachowania w Paczce były mocno rozproszone i nie były – zdaniem śledczych – skie-rowane w konkretne osoby” – opisuje portal. W uzasadnieniu umorzenia wskazano, że „aby dane zachowanie mogło zostać zakwalifikowane w katego-riach czynu przestępczego, nie wystarczy samo naruszenie praw pracowniczych”. Onet wskazuje, że choć nie dopatrzono się w zachowaniach ks. Stryczka złama-nia prawa, to według śledczych „sposób komunikowania przez ks. Stryczka pra-cownikom niezadowolonym z ich pracy brał się stąd, że nie zwracał on uwagi na

Na żadnym etapie decyzje prokuratury nie wywołały refleksji autorów nagonki

latami”. „Wzywano wolontariuszy, których nigdy na oczy nie widziałem. Mnie po raz pierwszy przesłuchano dopiero cztery lata po rozpoczęciu postępowania. Atak trwał nieustannie, co odbiło się na moim zdrowiu. Nie mogłem wstać z łóżka, prawie umarłem. Uratowało mnie życie duchowe i moi wychowankowie, lekarze z krakowskiego szpitala uniwersyteckiego” – wyznaje ks. Stryczek. Autor tekstu Piotr Legutko zauważa, że „ciągnące się latami postępowanie pozwalało mediom koncernu Axel Springer snuć opowieść o »przemocowym księdzu«, a brak do-wodów tłumaczyć rozległością zarzutów (750 świadków!). W ten sposób bloko-wano jego powrót do życia publicznego i rozliczenie tego, co się stało ze stworzo-nym przez niego dziełem”. Lewicowo-libe-ralne media ochoczo podgrzewały temat, stosując krzykliwe nagłówki.

UPÓR ONETU

Na żadnym etapie decyzje proku-ratury nie wywołały refleksji autorów nagonki. Po drugim umorzeniu Onet nadal przekonuje, że nie ma dowodów na niewinność ks. Jacka Stryczka. „Dlaczego sprawa zakończyła się umorzeniem? Bo prokuratura wskazała, że aby doszło do przestępstwa, musiałby zostać wykazany przypadek konkretnego pracownika, wziętego na celownik, którego prawa łamane byłyby w sposób uporczywy

reakcje innych i nie zastanawiał się nad tym, że może kogoś zranić”.

W 2024 r. Szlachetna Paczka trafiła do 17 020 potrzebujących rodzin z całej Polski. Wśród nich były 572 rodziny poszkodowane przez powódź. Wartość przekazanej pomocy wyniosła prawie 72,5 mln zł. W roku 2018, gdy rozpęta-ła się medialna burza wokół ks. Jacka Stryczka, wsparcie w ramach akcji dosta-ły 16 703 rodziny.

Na portalu X ks. Stryczek napisał: „By-łem stale nękany. I to na różne sposoby. Nie mogłem się ukryć, nie mogłem się wycofać. Wbrew wszystkiemu właśnie to mnie mobilizowało do działania”. Dalej w tym wpisie czytamy: „Kiedy człowiek jest chory, to chce wrócić do zdrowia, a nie walczyć. A ja – ja walczyłem. Z łóżka. To nie jest metafora. Ja napraw-dę walczyłem z łóżka. Przez trzy lata. Prawie cały czas leżałem. Miałem łóżko i fotel obok. W tamtym czasie byłem tak słaby, że nie byłem w stanie usiąść do stolika. Laptop trzymałem na kolanach. Pracowałem na półleżąc. Bo tylko na to miałem siły...”. Wreszcie ks. Stryczek oświadczył: „Zawsze trzymałem się z dala od złych ludzi. Ale to oni weszli w moje życie, bez pytania. Dziś wciąż mierzę się z tym, co po nich zostało”.

Kapłan uruchomił internetową zrzut-kę na wsparcie w walce o swoje dobre imię i prawdę.

Spowiedź dziecięcia wieku



Piotr Semka

Ktoś, kto ze złą wolą próbowałby wyszukiwać w wypowiedziach Roberta Kostro, zdymisjonowanego dyrektora Muzeum Historii Polski, jakiegokolwiek sekciarstwa czy zaciętrzewienia, nie znajdzie zbyt wiele materiału do formułowania jakichś aktów oskarżenia o jednostronność



FOT. KRZYSZTOF ŁUCZKOWSKI/FOTUM

To książka wywiad z człowiekiem, który blisko 20 lat pracował nad stworzeniem jednego z czołowych polskich muzeów, by tuż przed otwarciem wystawy stałej zostać w bezceremonialny sposób zwolniony. Mowa oczywiście o Robertcie Kostro i jego Muzeum Historii Polski. Gdy we wrześniu 2023 r. na terenie Cytadeli Warszawskiej został uroczystie otwarty gmach muzeum, wydawało się, że Kostro jest człowiekiem sukcesu i przetrwał polityczne zawirowania. Ale rok później przestał być już szefem placówki, nad którą pracował przez tyle lat.

Ludzie, którzy przeżywają taki gwałtowny rozdział w swoim życiu, mają potrzebę opisanie okoliczności, które doprowadziły do zakończenia ich misji. Ale „Państwowiec w muzeum” to także refleksja nad losami pewnego pokolenia. Generacji, która wychowała się u schyłku istnienia PRL i która była przekonana, że nowa Rzeczpospolita właśnie po nich – 20–25-latków – sięgnie przy budowaniu nowego państwa. Te nadzieje po części się spełniły, po części nie. I trzeba przy-

znać, że Robert Kostro opowiada o tej epopei niezwykle interesująco.

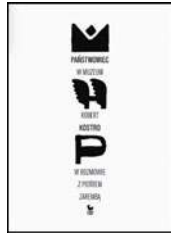
KRONIKA ZAPOWIEDZIANEJ DYMISJI

„Zasadnicza część rozmowy przeprowadzona została ze mną przez Piotra Zarembę w 2023 roku. Początkowo publikacja książki planowana była przy okazji otwarcia gmachu Muzeum, później uznaliśmy, że lepszym momentem będzie inauguracja wystawy stałej. Historia jednak przyspieszyła. We wrześniu 2024 roku zostałem odwołany z funkcji dyrektora. To jest więc moment, w którym moja misja się kończy i sama staje się historią. Postanowiłem zatem wydać tę książkę teraz, uzupełniając jej pierwotny zamysł o to wszystko, co wydarzyło się od momentu otwarcia muzeum do chwili mojej dymisji”. Ta pierwsza część książki jest opowieścią o tym, jak dyplomatyczne talenty, dzięki którym szef MHP pchał do przodu swój projekt przez burzliwe lata nowego wieku, przestały wystarczać, gdy Donald Tusk ponownie doszedł do władzy 13 grudnia 2023 r. Kostro przyznaje,

że okoliczności jego zwolnienia wciąż są dla niego „trochę tajemniczą”.

Gdy powstał nowy rząd z nowym ministrem kultury Bartłojem Sienkiewiczem, Kostro sam wystąpił o spotkanie, w którego trakcie chciał zrelacjonować stan spraw Muzeum.

„Długo nie było odpowiedzi, ale pewnego dnia odbieram telefon. Sienkiewicz mówi, że ma luźniejszą godzinę i zamierza wpaść do Muzeum. Przyjechał, chciał najpierw sam rozejrzeć się po gmachu, a dopiero później porozmawiać. Ale rozmawialiśmy długo, wypytywał o stałą ekspozycję, kiedy będzie gotowa, jak może pomóc [...]. Po dwóch tygodniach zaproszono mnie do ministerstwa. Sienkiewicz powiedział: »Panie dyrektorze, chciałbym, żeby pan dokończył budowę wystawy stałej«. Rzekł nawet, że za realizację tego projektu należy mi się nagroda. Poczułem się w miarę bezpiecznie. Wiadomo było, że minister wybiera się do Parlamentu Europejskiego, ale uznałem, że to być może decyzja nie tylko jego, lecz także rządu. Potem okazało się inaczej”.



**PIOTR ZAREMBA,
ROBERT KOSTRO
„PAŃSTWOWIEC
W MUZEUM.
ROBERT KOSTRO
W ROZMOWIE
Z PIOTREM
ZAREMBĄ”
WYDAWNICTWO
ISKRY 2025**

W maju 2024 r. Sienkiewicz został wybrany na posła do Parlamentu Europejskiego. Nowym szefem resortu kultury została Hanna Wróblewska. Kostro, jak wspomina, przyjął tę nową nominację z zadowoleniem. „Znałem ją, jesteśmy po imieniu, mieliśmy zawsze dobre, koleżeńskie relacje, jest osobą z branży muzealnej. Po ostrych działaniach politycznych Sienkiewicza ona zdawała się zadawać uspokojenie”.

Okazało się, że była to święta naiwność Roberta Kostro. Jak wynika z książki, na początku zasugerowano rozstanie się „po dobroci”. Pani minister zaproponowała Kostrze odejście z Muzeum Historii Polski, bo potrzebne miało być nowe otwarcie. Jako nagrodę pocieszenia proponowano mu funkcję dyrektora w Instytucie Pileckiego. Początkowo rozważał przyjęcie propozycji.

Ale potem zwyciężyło poczucie godności. Kostro wspomina: „Pomyślałem: »Przecież przeprowadziłem największe takie przedsięwzięcie inwestycyjne w dziedzinie kultury III RP. Robiłem to, trzymając się zasady, że to jest instytucja publiczna, chociaż nieraz miałem pokusę i możliwość, by podpisać się politycznie pod jedną czy drugą stroną [...]. Nie mogę dawać własnej twarzy do decyzji, która jest niesprawiedliwa i szkodliwa. Trzeba więc postawić kropkę nad i, doprowadzić to do końca albo odejść z hukiem«. Nie spodziewałem się, że ten huk będzie aż tak duży”.

I wtedy okazało się, że skoro Kostro nie chciał odejść po dobremu, to została wyciągnięta przeciwko niemu pałka oskarżeń o niegospodarność. W połowie września ministerstwo postawiło zarzuty finansowe i zawarto je w pismach do stowarzyszeń muzealnych i związków zawodowych, które zgodnie z ustawową procedurą poproszono o opinię na temat dymisji Kostro. Mowa była o niewykorzystaniu środków inwestycyjnych.

Jak każdy człowiek obrzucony błotem, Robert Kostro bardzo dokładnie się wytłumaczył. Zauważał, że problem niewykorzystywania środków to przypadłość większości dużych inwestycji, zwłaszcza gdy pojawiają się problemy z wykonawcami. Kiedy pojawiają się opóźnienia, pewnie części środków nie można wykorzystać. Dla urzędników to zawsze kłopot, ale

nie dramat. Kostro tłumaczy, że gdyby próbował przyznane pieniądze na siłę wydawać, zarzut mógłby być poważniejszy. Płacenie za niewykonaną pracę mogło być uznane za działanie na niekorzyść Skarbu Państwa, za co grozi prokuratura. Kostro gorzko podsumowuje tę intrygę: ktoś, kto taki zarzut wymyślił, doskonale to wie. Podpisała się pod tym pani minister.

Ten fragment książki to także opowieść o próbie zbierania podpisów pod listem w obronie Kostro. Podpisali się pod nim

bardzo różni ludzie – od prof. Andrzeja Friszkego i dr. Kazimierza Wóycickiego do Agnieszki Romaszewskiej czy prof. Wojciecha Roszkowskiego. Podpisy nic nie dały. Robert Kostro opuścił placówkę, którą budował przez blisko dwie dekady. Dobrze, że intrygę wokół jego odwołania książka opisuje tak dokładnie. Po latach będzie to przyczynek do opisanie modus operandi okresu „demokracji walczącej”.

KONSERWATYSTA BUDUJE III RP

Wybór Piotra Zaremba na osobę, która przeprowadza wywiad z byłym dyrektorem MPH, chyba nie jest przypadkowy. Zaremba ma na swoim koncie niezwykle ważną książkę „Młodopolacy”, w której opisuje fenomen Ruchu Młodej Polski, najciekawszego bodaj ugrupowania konserwatywnego w ostatniej dekadzie istnienia PRL. Teraz wywiad z Kostro to opisanie na przykładzie jednego z jego przedstawicieli losów tych młodych RMP-owców, którzy zaangażowali się w budowanie rzeczywistości nowej Polski.

Kostro jako absolwent Wydziału Historii Uniwersytetu Warszawskiego rozkochany był w dziejach ojczystych. I właśnie wśród byłych młodopolaków, na czele z ministrem Kazimierzem Michałem Ujazdowskim, rozpoczął coś w rodzaju minirewolucji konserwatywnej na rzecz zbudowania nowoczesnej narracji historycznej w postaci Muzeum Historii Polski.

Takim swoistym Rubikonem była akcja billboardowa „Bohaterowie naszej wolności” z 2000 r., gdy rządził AWS, która przedstawiała weteranów drugiej wojny światowej. Dziś brzmi wręcz symbolicznie to, że jeden z najostrejszych ataków na ten – wydawałoby się oczywisty – projekt

przypuścił „Tygodnik Powszechny” w koalicji z Magdaleną Środą, która zarzucała kampanii dekadencję. Ale książka nie opowiada jedynie o początkach idei Muzeum Historii Polski. To opowieść np. o Muzeum Powstania Warszawskiego, o aktywności Tomasza Merty, który zginie potem w Smoleńsku. O pomysłach Magdaleny Gawin na Instytut Pileckiego. O kontaktach nawiązywanych z Instytutem Historii Litwy w Wilnie. I równocześnie o ciągłej, żmudnej walce o uratowanie idei muzeum przed politycznymi zmianami. Dziś niemal wszystkie z tych inicjatyw zostały albo porzucone przez nową ekipę, albo objęte czystkami dotyczącymi wszystkich tych, których podejrzewa się o prawicowość. Ale ta książka podsumowuje ogromny wysiłek niezwykle różnych ludzi, połączonych zwykłą troską o kultywowanie pamięci.

Ostatnia część książki to rozmowa Kostro z Zarembą na temat kształtu planowanej przez niego ekspozycji stałej muzeum. I znów ten fragment przynosi jak najlepsze referencje Robertowi Kostro jako dyrektorowi placówki, która miała zamiar zauważać wszystkie wrażliwości w polskim myśleniu o historii. Ktoś, kto ze złą wolą próbowałby wyszukiwać w wypowiedziach zdymisjonowanego dyrektora jakiegokolwiek sekciarstwa czy zaciętrzewienia, nie znajdzie zbyt wiele materiału do formułowania jakichś aktów oskarżenia o jednostronność. Co więcej, ja – jako czytelnik tej książki patrzący na wiele sporów polityki historycznej z prawej strony – wiele razy irytowałem się nawet, że Kostro tak bardzo unika jednoznacznych ocen. Niezwykle ciekawe są też polemiki Zaremby z Kostro na temat rozmaitych dyalektów polskich dziejów. Na prezentacji książki w Domu Historii w Warszawie Kostro przyznał: „Stawiane mi pytania w tej książce nie były łatwe. Niekiedy musiałem nieźle się nagimnastykować, aby wybrnąć z pytań, które stawiał mi Piotr Zaremba”.

Na tymże spotkaniu Kostro gorzko podsumował swoją dymisję: „Každy kolejny rząd będzie miał w działaniach pani minister Wróblewskiej pretekst do robienia tego samego z tymi, którzy zajęli moje miejsce. Cóż więc pozostaje państwowcom? Skutecznie odsuwam od siebie pokusę wejścia w politykę. Nie tracę nadziei, że moja droga środkiem prędzej czy później się sprawdzi”.

Ratujemy maluchy!



Łukasz Zboralski

Po roku bez prac domowych nauczyciele i dyrektorzy wskazują, że to szkodzi dzieciom. Minister Barbara Nowacka uważa, że po prostu nie zrozumieli jej genialnego planu. I szykuje kolejny – zniesienie oceny z zachowania

Polska edukacja na tle innych systemów nie wypada źle. To nie znaczy jednak, że nie boryka się z pewnymi problemami. I że nie warto systemu poprawiać. Wyborcy rządzącej koalicji zapewne mieli nadzieję na reformę systemu, gdy stery w resorcie edukacji objęła Barbara Nowacka. Szybko okazało się, że nawet ci, którzy kręcili nosem na „pisowskiego” ministra Przemysława Czarnka, Nowackiej mają już dość.

Jej pomysły – od likwidacji obowiązkowych prac domowych do planowanej rezygnacji z ocen z zachowania – rozczarowują nie tylko nauczycieli, ekspertów edukacji, lecz także po prostu rodziców.

SZKODLIWY BRAK PRAC DOMOWYCH

Najgłośniejszą zmianą, którą Nowacka wprowadziła w szkołach, było zniesienie obowiązkowych prac domowych dla uczniów szkół podstawowych. Od kwietnia 2024 r. w klasach I–III zadania domowe nie mogą być w ogóle uczniom proponowane. W klasach IV–VIII nauczyciele mogą je zadawać, ale dzieci nie mają obowiązku się nimi zajmować.

Zaznaczmy od razu – z pracami domowymi był w Polsce problem. Nauczyciele zadawali je w dużych ilościach, m.in. naraz robili to nauczyciele wielu przedmiotów. W związku z tym dzieci naprawdę w domach nad książkami musiały spędzać za dużo czasu. A – co najgorsze – nauczyciele nie potrafili wpleść tych zadań dobrze w swój porządek dydaktyczny. Co oznacza, że wielu z nich nawet ich nie sprawdzało i zadawało je po prostu z przyzwyczajenia, bo „zawsze tak w szkole było”.

Nie było prostego rozwiązania tego problemu. Jak bowiem dotrzeć do nauczycieli, przekonać ich i zrewidować ich dydaktykę?

Rozwiązanie Nowackiej okazało się radykalne – koniec z pracami domowymi w podstawówce. Ekspert ostrzegali, że skończy się tym, iż dzieci z bardziej wykształconych i zamożnych rodzin będą przez rodziców mobilizowane do wykonywania nawet nieobowiązkowych prac (i znajdują u rodziców pomoc w tych zadaniach), a stracą te dzieci, które prezentują niższy poziom, bo takiego wsparcia w domu nie mają. I po roku z nowym systemem nauczyciele mówią, że ten

czarny scenariusz się ziścił. Przedstawiciele Związku Nauczycielstwa Polskiego przyznają, że teraz nawet zwolennicy zakazu prac domowych zgłaszają do ZNP skargi na tę reformę.

Zanika też wartość, którą niosły ze sobą prace domowe. Bo dzieci nie tylko powtarzały materiał przekazywany w szkole, lecz także uczyły się przecież odpowiedzialności, systematyczności i podejmowania samodzielnego wysiłku. Likwidacja prac domowych okazała się więc ciosem nie tylko w proces dydaktyczny, lecz także w kształtowanie charakteru młodych ludzi.

Krytycy zmian, w tym przedstawiciele Związku Nauczycielstwa Polskiego, podkreślają, że brak zadań domowych zaowocował spadkami wyników w nauce, szczególnie w przedmiotach wymagających regularnego ćwiczenia, takich jak matematyka czy języki obce. Rodzice również nie kryją rozczarowania – wielu z nich zauważa, że dzieci, zamiast spędzać czas z rodziną, jak obiecywała minister, marnują godziny przed ekranami smartfonów. Ironią losu jest to, że MEN, uspokajając opinię publiczną, zdaje



Barbara Nowacka wykazuje
syndrom obłożonej twierdzy
FOT. JACEK DOMIŃSKI/REPORTER

się ignorować te głosy, traktując je jako przejściowy opór wobec „postępu”.

Minister Barbara Nowacka w tej sprawie wykazuje jednak syndrom obłożonej twierdzy. W niedawnych rozmowach o pracach domowych przekonywała w Radiu Zet, że... po prostu nauczyciele cały czas nie rozumieją jej genialnej reformy. I że powinni pracować tak, by dzieci zachęcać do zadań w domu. Proste, prawda? Wielu nauczycieli zapewne chciałoby, aby minister weszła do jakiejś podstawówki i pokazała, jak zachęcić dzieci do dodatkowej pracy, której one nie muszą poza szkołą podejmować.

OCENA Z ZACHOWANIA. RELIKT CZY POTRZEBA?

Nowacka nie tylko upiera się, że rozwiązanie, które zdaniem nauczycieli zaczęło przynosić szkody, jest dobre. Zaproponowała kolejną zmianę, która może jeszcze bardziej pogрузić szkoły – tym razem w aspekcie wychowania.

Już dziś nauczyciele w podstawówkach mają bardzo ograniczony zakres oddziaływania na dzieci. Właściwie nie wolno im ich dyscyplinować. Polskie

szkoły przypominają dziś prześmiewcze sceny z amerykańskiej kreskówki „South Park” sprzed lat. Uczniowie, którzy za nic mają dyscyplinę, trafiają do szkolnych psychologów, których po prostu ignorują.

Ocena z zachowania właściwie stała się kadłubkiem czegoś, czym była kiedyś. Naprawdę przejmują się nią tylko najlepsi uczniowie, bo im zależy na świadectwie z białą-czerwonym paskiem. Reszta uczniów taką oceną w ogóle się nie przejmuje.

A to nie wszystko. Szkoły i nauczyciele przez lata tracili w Polsce autorytet, więc oceny z zachowania obudowywano regulacjami. Dziś to już nie nauczyciel może ocenić, kto zachowuje się godnie, a kto jest nicponiem – wyznaczają to ścisłe kryteria regulaminów szkół. Oceny z zachowania są punktowe. Za złe zachowania nauczyciele odejmują określone liczby punktów, a za właściwe zachowania je przyznają. Posiadanie dobrej oceny polega więc trochę na handlu. Uczniowie robią coś, np. idą na wolontariat, bo za to dostają punkty.

Ewidentnie zatem ten system przestaje działać. Tymczasem minister Barbara Nowacka proponuje znów posunięcie tak radykalne, jak z pracami domowymi. Zamierza zastąpić tradycyjne stopnie (od „nagannego” do „wzorowego”) opisywym systemem, który uczniowie mieliby opracowywać samodzielnie we współpracy z wychowawcą. Zmiana ta miałaby wejść w życie w 2026 r.

Eksperci z Instytutu Badań Edukacyjnych, cytowani w tej sprawie przez „Wprost”, proponują, by nowy system opierał się na „rozwojowym opisie zachowania” stworzonym przez uczniów. Wizja jest piękna, sięgająca tak wspólnych podejść do dzieci, jak u Janusza Korczaka. Tyle że w państwowym systemie okaże się uciążliwą utopią. Nauczyciele też czują już, czym to się dla nich zakończy – jeszcze większą papierologią. Zamiast wystawiać uschematyzowane oceny, będą spędzali godziny na opisywaniu zachowania każdego z uczniów. A przy dzisiejszych drażliwych i roszczeniowych rodzicach będzie to dla nauczycieli stąpieniem po polu minowym. Każda negatywna uwaga i sugestia będą często prowadziły do sporów z opiekunami. W efekcie pod presją dyrektorów – których posady zależą w polskim systemie

od samorządu, a także od głosu rodziców – nauczyciele mogą czuć dużą presję, by jak najłagodniej oceniać podopiecznych.

Zastąpienie dzisiejszej oceny z zachowania opisem, który w dużej mierze zależeć będzie od subiektywnej samooceny dziecka, odbierze szkole możliwość jasnego komunikowania norm i wartości. W efekcie zamiast wychowywać odpowiedzialnych obywateli, ryzykujemy wychowanie pokolenia, które nie rozumie konsekwencji swoich działań. Czy właśnie tego potrzebujemy w czasach, gdy o utrzymanie i przekazywanie wartości coraz trudniej?

QUO VADIS?

Polityka Barbary Nowackiej – likwidacja prac domowych i ocen z zachowania – wygląda jak realizacja planu, w którym na pierwszym miejscu jest komfort uczniów kosztem ich przygotowania do dorosłego życia. W imię walki z presją i stresem ministerstwo zapomina, że szkoła to nie tylko miejsce zdobywania wiedzy, lecz także przestrzeń, w której młodzi ludzie uczą się

**Szkoła to nie tylko miejsce
zdobywania wiedzy, lecz
także przestrzeń, w której
młodzi ludzie uczą się
radzić sobie z wyzwaniami,
obowiązkami i zasadami
społecznymi**

radzić sobie z wyzwaniami, obowiązkami i zasadami społecznymi.

Dlaczego chcemy to zafundować akurat pokoleniom, o których często już dziś mówimy „płatki śniegu” – młodym, nieodpornym na świat, który niesie ze sobą wyzwania, przeciwności losu, spory, różnice, trudności? Czy naprawdę chcemy zrobić to młodym Polakom, którym przychodzi żyć w czasach ciągłej zmienności, niepewności?

Minister Barbara Nowacka może zrobić coś dobrego dla szkoły jedną, równie radykalną decyzją jak pozostałe – odejść ze stanowiska i pozwolić zajmować się tą dziedziną komuś, kto ma o niej jakieś pojęcie.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

Gdy sztuka wyrwała się na mury



Piotr Semka

W sensie artystycznym paryska wystawa „Sztuka jest na ulicy” jest uczną dla oczu miłośników sztuki fin de siècle’u. W sensie pedagogiki społecznej jest kolejnym reprezentantem nurtu współczesnej, postępowej historiozofii

Pierre Bonnard, Jules Chéret, Eugène Grasset, Alfons Mucha, Théophile Steinlen, Henri de Toulouse-Lautrec. Co łączyło tych wszystkich twórców? To proste. Wszyscy oni wywindowali sztukę plakatu na artystyczny piedestał. Wielobarwne plakaty, które wdarły się w przestrzeń zbiorową przełomu wieków XIX i XX, to dzieci rozwoju sztuki poligraficznej i reklamy. Tej nowej dziedziny życia, którą przynieść musiała masowa fabryczna produkcja niedrogich towarów.

„L’art est dans la rue” („Sztuka jest na ulicy”) – tak nazywa się wielka wystawa w Musée d’Orsay. Opowiada ona o nowej sytuacji dla artystów. Ich dzieła miały być dostępne już nie tylko w salonach dla elit. Z chwilą rozpowszechnienia się plakatów ich odbiorcą miał być każdy przechodzień. Plakaty, które prócz chwytliwości cechował także artyzm, przeszły do historii sztuki. Dziś można obejrzeć je na wystawie w tej paryskiej świątyni sztuki przełomu XIX i XX w.

Na wystawie, która powstała we współpracy z Bibliothèque nationale de France, zgromadzono prawie 230 prac. Trudno uwierzyć, ale w Paryżu nie było jeszcze żadnej dużej ekspozycji poświęconej temu zjawisku społecznemu.

Autorzy ekspozycji piszą: „To uderzające zanurzenie się w wizualnym wszechświecie miasta XIX w. Wystawa odtwarza złoty wiek plakatu artystycznego, ana-

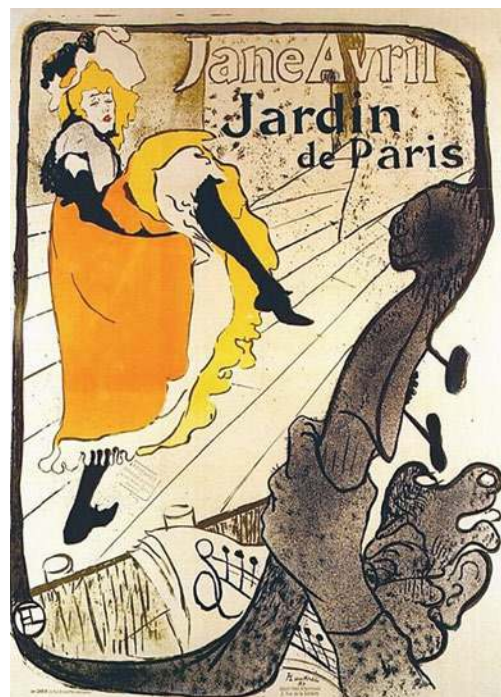
lizując zmiany społeczne i kulturowe, które sprzyjały jego rozwojowi, wchodząc w interakcję z wyjątkową kolekcją plakatów, obrazów, fotografii, kostiumów, rzeźb i przedmiotów sztuki dekoracyjnej, które przywołują pełen życia świat ulicy na przełomie wieków”.

PLAKAT ATAKUJE WSZĘDZIE

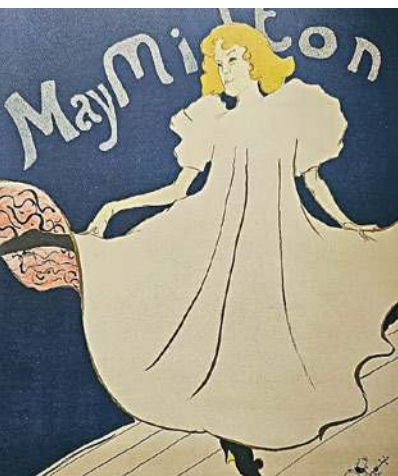
Ten, kto często odwiedza stolicę Francji, zna zapewne pojawiający się w wielu miejscach publicznych napis: „Défense d’Afficher – Loi du 21 Juillet 1888”.

Wśród zapisów tego aktu prawnego określającego wolności i obowiązki wszelkich publikacji znalazły się też przepisy regulujące kwestię przestrzeni dla plakatów. Prawa chroniące prawa właścicieli domów i kamienic były reakcją na nachalną inwazję plakatu z lat 80. XIX w. Rozlepiający afisze naklejał je gdzie popadnie. Nic dziwnego, że właściciele kamienic – lobby w Paryżu zawsze wpływowe – wywalczyli zapis prawny pozwalający im zakazywać oblepiania afiszami fasad ich domów.

Plakaty zmieniły oblicze ulic miasta. Traktowały przechodnia jako pełnoprawnego odbiorcę dóbr kultury, idei politycznych czy – w wypadku reklam komercyjnych – jako potencjalnego klienta. Przekraczały bariery stanowe i klasowe. Plakat musiał trafiać do ludzi wykształconych i tych z dołów społecznych.



Autorzy wystawy wskazują: „Na przykładzie zdjęć paryskiej ulicy z lat »belle époque« chcemy pokazać, jak nagła była w tamtym czasie »proliferaacja« obrazów”. Afisze zajmowały wszelką, najmniejszą nawet, wolną przestrzeń. Murale i bill-



Plakaty, które oprócz chwytliwości cechował także artyzm, przeszły do historii sztuki. Dziś można obejrzeć je na wystawie w paryskim muzeum

FOT. MATERIAŁY PRASOWE



boardy, a także kioski, kolumny, pisuary, metro były polem do prezentacji idei i haseł. Powstawał nowy wszechświat wizualny, który starał się uchwycić wzrok przechodniów. Przestrzeń miejska Paryża, przekształcona przez plany urbanistyczne Georges'a-Eugène Haussmanna, oczyszczona i uporządkowana, „nowoczesna” ulica paryska, była jedną z podstawowych przestrzeni ekspresji politycznej i żądań społecznych. Niekontrolowana w dużej mierze przez władzę staje się miejscem, w którym rozmieszczona jest reklama. W eseju „Les Maîtres de l’Affiche” w 1895 r. krytyk sztuki Roger Marx zauważał: „[dziś] paryska ulica jest zawsze ożywiona, tętni życiem. Staje się miejscem, gdzie powszechne prawo wyborcze jest dyskutowane i ogłaszane”.

AWANGARDA SZUKA DROGI DO MAS

Plakat z lat 1880–1900 niesie w sobie fantazje i realia epoki. Zrodzony z postępu technicznego i rodzącego się społeczeństwa konsumpcyjnego stanowi pole stopniowo zagospodarowane przez wielkich artystów. W ślad za Jules'em Chéretem, nazywanym przez prasę „królem plakatu”, podążają Henri de Toulouse-Lautrec, Eugène Grasset, Alphonse Mucha, Théophile Alexandre Steinlen, Pierre Bonnard (znany bardziej pod przydomkiem Nabis), Henri-Gabriel Ibels, Édouard Vuillard i Félix Vallotton. Krytycy dostrzegli ten nowy fenomen i docenili zarówno plastyczne cechy „nowoczesnego plakatu”, jak i jego rolę w demokratyzacji dostępu do sztuki.

Plakat stał się również przedmiotem kolekcjonerskim i eksponatem wystawowym, a wśród entuzjastów tego nowego gatunku zapanowała wręcz plakatomania. Osiągnął status dzieła sztuki, afisz uliczny wszedł do kanonu na równi z obrazami czy grafikami, ale obcować z nim mógł każdy. Pojawił się handlarze, tacy jak Edmond Sagot, którzy specjalizowali się w sprzedaży plakatów.

Najwięcej na wystawie jest oczywiście klasyków francuskiego plakatu przełomu wieków XIX i XX. Nie jest przypadkiem, że najlepsze dzieła reklamują paryskie kabarety – fenomen, który przyciągał gości spragnionych artystycznych nowinek z różnych zakątków Europy: od Londynu poprzez Berlin do Petersburga. Nie wzięło się to znikąd. Artyści bardzo często spłacali plakatami długi za alkohol kupowany

■ w kabaretach na kredyt. Z perspektywy czasu widać, że korzystały obie strony. Właściciele kabaretów odbijali sobie poprzez projekty plakatów reklamowych zaległe kwoty, a artyści oferowali im to, co mieli najlepsze – swój talent.

Na wystawie rzucają się w oczy plakaty Jules'a Chèreta (1836–1932) na czele z jego reklamami rewii „Les Folies Bergère”. Jego mistrzowska kreska stała się symbolem początków tamtej epoki. Założył własną manufakturę plakatową, aby osobiście decydować o jakości wydawanych plakatów. Zresztą Chèret był jednym z niewielu twórców uhonorowanych za życia przez Republikę. Już w 1890 r. prezydent Sadi Carnot odznaczył go Legią Honorową.

O takich zaszczytach mógł tylko marzyć inny autor najwspanialszych dzieł na wystawie w Musée d'Orsay – Henri de Toulouse-Lautrec. Ten zubożały arystokrata nieśmiertelnie świat kabaretowych tancerek. Mikrokosmos mniej lub bardziej podejrzanych lokali Montmartre'u. Niewysoki malarz pełne uznanie zdobył dopiero po swojej śmierci w 1901 r.

Plakaty, które oprócz chwytliwości cechował także artyzm, przeszły do historii sztuki. Dziś można obejrzeć je na wystawie w paryskim muzeum

I wreszcie bliski nam pobratymca – paryski Czech Alfons Mucha – klasyk plakatowej secesji. Jego prace to niezwykle zmysłowe wizerunki kobiet. Artysta chronił się przed potępieniem takich przedstawień, ubierając kobiety na swych działach w symboliczne kostiumy bohaterek sztuk wystawianych na paryskich scenach, szczególnie dla teatru La Renaissance. To plakat spektaklu „Medea” ze słynną wtedy Sarah Bernhardt czy reklama sztuki „Lorenzaccio” Alfreda de Musseta w wykonaniu tejże gwiazdy z 1896 r.

Przegląd dzieł zgromadzonych na wystawie uruchamia impresje zapamiętane z podręczników historii sztuki. Co rusz łapiemy się na wrażeniu „gdzieś, kiedyś już ten plakat widzieliśmy”.

Oto plakat reklamujący słynny kabaret paryskiej bohemy „Le chat noir” (Czarny

kot) autorstwa Théophile'a Alexandre'a Steinlena – innego mistrza paryskiego plakatu. Pomysłodawcą i założycielem kabaretu w 1881 r. był Louis Rodolphe Salis, który chciał stworzyć miejsce spotkań artystów, pisarzy, muzyków i intelektualistów, którzy mieliby gdzie eksponować swoje dzieła. „Le Chat Noir” prezentował różne formy sztuki, a jego bywalcami byli Aristide Bruant, Claude Debussy, Emile Goudeau, Henri de Toulouse-Lautrec czy Erik Satie.

PLAKAT JAKO POLITYCZNA PAŁKA

I znów oddajmy głos twórcom ekspozycji: „Pod koniec XIX wieku rodzący się mit »belle époque« miał tendencję do unikania prezentowania zamieszek i nędzy, zastępując je idylliczną ulicą pełną przyjemności, rozrywki i dostępnej konsumpcji. Plakaty były miejscem, w którym potwierdzano nowe zliberalizowane obyczaje społeczne: uczęszczanie do kabaretów, udział i kibicowanie sportom i emancypacja kobiecości. Wszystkie te nowe trendy lansowane poprzez swoją uliczną ekspozycję niosły ze sobą ambicje społeczne i stawały się preferowanym medium »sztuki dla wszystkich«. Kręgi anarchistyczne i liberalne odegrały wiodącą rolę w pojawianiu się pierwszych plakatów politycznych na murach. Początkowo były one skoncentrowane w reklamie prasy zaangażowanej politycznie. Na początku XX w. artyści tacy jak anarchista Jules Grandjouan (1875–1968) wymyślili język plakatów-murali, mający na celu emocjonalne uderzenie w opinię publiczną w przestrzeni miejskiej. Zrywając z intymną wizją karykatur prasowych, ta nowa retoryka wywarła trwały wpływ na plakaty polityczne”.

Jak to często we Francji bywa, autorzy wystawy uprzywilejowują lewicę i antyklearykalnych liberałów. Artyści jako niespokojne duchy sympatyzowali raczej z „obozem postępu”. Na wystawie obejrzeć można plakat Gustave'a-Henri Jossota z 1903 r. z hasłem „Precz z piuskami” (żargonowe określenie walki z Kościołem). Obok księdza, któremu władca ręka wypycha lewicowe pisemko w gardło, widać innych przedstawicieli „reakcji” – burżuja w cylindrze, utożsamianego z rojalizmem oficera armii francuskiej czy sędziego jako obrońcę starego myślenia. Ten ostatni symbol blokowania zmian pokazuje, że postrzeganie w sędziach obrońców „tego, aby było, jak było” nie jest tylko polską przypadłością.

Tuż obok plakat wspomnianego już Jules'a Grandjouana „Rewolucja” z 1906 r. Ogromne tłumy obalają obelisk ze sztandarem „Tricolore” z literkami RF, czyli Republique Francaise. Grandjouan był płodnym karykaturzystą prasowym od 1900 r., w którym przeprowadził się do Paryża, ilustrując i popularyzując swoje rewolucyjne przekonania syndykalistyczne. Jego ulubionymi tematami były antymilitaryzm, antypatriotyzm i antyklearykalizm.

Plakaty prawej strony są bardziej tradycyjne. Chyba nieprzypadkowo dla zilustrowania plakatów z prawej strony wybrano te najbardziej antysemityczne. Ich kreska tkwi w kanonach stylu rysowników z połowy XIX w. Plakat kandydata w wyborach do parlamentu francuskiego z 22 września 1889 r. reklamuje kandydata A. Wilette'a jako „kandydata antysemitycznego” i krzyczy hasłem „Judaizm – oto wróg”. Na plakacie antyczny Gall, typowy robotnik i student z karabinem stoją nad popękany tablicami z napisem „Talmud”. Inny plakat z 1910 r. pokazuje masona w fartuszkach z symbolami Wielkiego Wschodu Francji, który jak marionetkami steruje politykami. Napis głosi: „To on jest wrogiem”.

W sensie artystycznym wystawa jest uczcą dla oczu miłośników sztuki fin de siècle'u. W sensie pedagogiki społecznej jest kolejnym reprezentantem nurtu współczesnej, postępowej historiozofii, która postrzega dzieje jako punkty na drodze do emancypacji społecznej. Z tego punktu widzenia plakat uliczny był czynnikiem demokratyzacji społeczeństwa. Sztuka przestała być przywilejem „klas posiadających” i zaczęła docierać do szerokich kręgów społeczeństwa. Ta dość nachalna łopatologia to niestety znak firmowy wielu współczesnych ekspozycji.

Ale wszystko to rekompensują urok i czar paryskiej „belle époque”. Dodatkowo ta ekspozycja plakatu to skrótna ilustracja powikłanych francuskich dziejów z lat sprzed pierwszej wojny światowej. Choć – ściśle rzecz biorąc – najpóźniejsze ekspozyty to plakaty propagandowe z lat pierwszej wojny światowej. Pocucie narodowej dumy wygrało wówczas u wielu artystów z postępowymi ideałami kolejnych międzynarodówek. © © Wszelkie prawa zastrzeżone

Wystawa „L'art est dans la rue” w Musée d'Orsay w Paryżu będzie czynna do 6 lipca br. Szczegóły na: www.musee-orsay.fr.



Krzysztof Masłowski



ONR-owiec Rzecki

Ignacy Rzecki uchodził za starego safandulę, choć był ledwie kilka lat starszy od swego przyjaciela, bardziej znanego bohatera „Lalki” Bolesława Prusa – Stanisława Wokulskiego. Był Rzecki romantykiem, kombatantem Wiosny Ludów, fanatycznym miłośnikiem Napoleona i całej dynastii Bonapartych. „Mam metternichowskie sposoby i rozumiem naturalny bieg rzeczy” – puszył się w nieczestych przytykach dobrego humoru. Kiedy jednak w czerwcu 1879 r. dowiedział się, że w Afryce w walce z Zulusami zginął książę Ludwik Napoleon, syn cesarza, przestał czytać gazety i z goryczą zapisał w pamiętniku: „Głupia jest polityka!”. Pocieszali go jedynie publicyści zachowawczych tytułów: „Gazety Warszawskiej” i „Gazety Polskiej”. I wszystko jasne; dziś byłby pewnie Ignacy Rzecki działaczem Klubu „Gazety Polskiej”, a w domu w towarzystwie swego jednookiego pudła Ira oglądałby od rana do nocy Telewizję Republika.

Nie przywiązywał wagi do pieniędzy, wymagania miał więcej niż skromne („kielisek anyżówki i kawalek śledzia przy bufecie, a do stołu porcja flaków i ćwiartka portera – oto bal!”), a jego garderoba (nankinowe spodnie, aksamitna kamizelka i cylinder sprzed 10 lat) była przedmiotem kpin, podobnie jak bródka, „hiszpanka” mająca upodobnić go do Napoleona III. Na świat, w którym i subiecki, i politycy starają się być modni, patrzył ze smutkiem. „Skromny subiekt co kwartał ubiera się w spodnie nowego fasonu, w coraz dziwniejszy kapelusz i coraz inaczej wykładany kołnierzyk.

Podobnie dzisiejsi politycy co kwartał zmieniają wiarę: onegdaj wierzyli w Bismarcka, wczoraj w Gambettę, a dziś w Beaconsfelda, który niedawno był Żydkiem”. Tak, tak, to nie pomyłka – język Aleksandra Głowackiego dla niepoznaki używającego pseudonimu Bolesław Prus woła o pomstę do nieba i doprawdy wielkim niedopatrzaniem ze strony pani Barbary Nowackiej, najbardziej wyedukowanej spośród ministrów rządu Donalda Tuska, jest utrzymywanie tego przesiąkniętego antysemityzmem i mizoginizmem poronionego dzieła wśród lektur szkolnych. Wiem, oczywiście, że o „Lalce”, najczęściej tłumaczonej na świecie polskiej powieści, pozytywne zdanie ma nawet sama namaszczone Noblem Olga Tokarczuk. Ale w końcu kto powiedział, że nasze dzieci muszą czytać książki polskich autorów? Jakby niemieckich było mało.

Ale wróćmy do Rzeckiego. „Szkoda mi węgierskiej piechoty, ale też i dzisiejsi Węgrzy diabła warci” – konstatował nie bez racji (Orbán!), a sam się na Węgrzech nawojował, służąc pod gen. Bemem. Obruszał się natomiast, kiedy pewien kupiec wywodził, że jego ukochany Stach Wokulski jest złym patriotą, ponieważ tanimi perkalami z Rosji psuje interesy fabrykantom łódzkim.

„Nie mogę pojąć – komentował – czym perkaliki niemieckie są lepsze od moskiewskich?”. Ręce opadają, ruska onuca była z tego starego subiekta i tyle.

Sniło mu się, że Żydzi kupili sklep (co i się stało), a on „aby nie umrzeć z głodu, chodził po podwórzach z katarynką, na której był napis: »Ulitujcie się nad biednym, starym oficerem węgierskim!«”. Stawiał też retoryczne raczej pytanie, czy lepszy jest spryt Szlangbaumów czy marzycielstwo Wokulskich i Ochockich. I niby idealista, a jednak gdy radca Węgrowicz odgraża się, że wprowadzie Żydów „nie przesachrujemy, to darmo, ale jak przyjdzie na gołe łby i pięści, zobaczymy, kto kogo przetrzyma”, zapowiada, że „jeżeli nasz sklep kupią Żydzi, to i ja się z wami połączę; jeszcze moja się pięść coś zaważy...”. Istny oenerowiec!

Był Rzecki starym kawalerem. Nie bez powodu. „Przez kilka lat kochałem się jak półgłówek – wspominał – a tymczasem moja Heloiza romansowała z innymi. Boże mój!...”. Durzył się w Małgorzacie Pfeifer; ta jednak wybrała Jasia Mincla, by po jego śmierci poślubić Stanisława Wokulskiego. Już u schyłku życia pokochał Rzecki Helenę Stawską, ale wyrzekł się jej na korzyść tegoż Wokulskiego, nie ustając w staraniach wyswatania jej

przyjacielowi. Nie wykluczał także pan Ignacy, że – jak pisał w pamiętniku – „może dlatego nie mam odwagi do małżeństwa, że ciągle widuję damy w sklepie”.

Ostatnie dni starego subiekta usiłują umilić mu kompani od kufelka, nachodząc w domu z koszem wypełnionym butelkami piwa i nieodzownym trybuszonem. Niestety, doktor Szuman przerywa mile zapowiadającą się biesiadę. A po śmierci pana Ignacego radca Węgrowicz utrzymuje, że gdyby nieboszczyk pił radzika, osiągnąłby stu lat”. Bardzo być może, ale miał wadę serca...

Dla stojących nad grobem Ignacy Rzecki ma twarz Tadeusza Fijewskiego z ekranizacji „Lalki” dokonanej w 1968 r. przez Wojciecha Jerzego Hasa, dla jeszcze jako tako trzymających się emerytów – fizjonomię Bronisława Pawlika z telewizyjnego serialu Ryszarda Bera (1977). Młodszy czekają na kolejną wersję „Lalki”, w reżyserii Macieja Kawalskiego. Twórcy – cytuję – „zapowiadają śmiało podejście do klasyki literackiej”, a cała historia „ma zyskać nowoczesną formę i świeże spojrzenie na społeczne podziały, które mimo upływu lat pozostają aktualne”. Wiemy, że nowym Wokulskim będzie Marcin Dorociński, a Izabelą Kamila Urzędowska. Odnośnie do postaci Rzeckiego, to nie potwierdzają się przypuszczenia, że wcielił się w nią któryś z topowych aktorów afroameerykańskich. W tej roli wystąpi Marek Kondrat. Możemy za to spodziewać się wyeksponowania wątku gejoskiego. Bo czyż to nie on skrywał się za wieloletnim afektem pana Ignacego do Wokulskiego?

Jak będzie, tak będzie, w każdym razie starego subiekta z wykazu lektur obowiązkowych należy wygumkować od zaraz. ©

Matthew Goode jako detektyw
Carl Mørck FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Detektywi od spraw beznadziejnych



Piotr Gociek

„Departament Q” to wreszcie ekranizacja, na którą bestsellery Jussiego Adlery-Olsena zasługują

Zanim został pisarzem, był wydawcą, miał więc okazję przeczytać niezliczoną liczbę maszynopisów od żądanych publikacji kandydatów. Z tych dobrych uczył się fachu, nad złymi kręcił głową i mruczał, że sam zrobiłby to lepiej. Czyni to z duńskiego autora bestsellerów fachowca praktyka, który wreszcie nie zdzierzył i zaczął pisać takie książki, jakie sam chciałby przeczytać (nie inaczej było z Lee Childem). Jussi Adler-Olsen zadebiutował jako autor kryminałów, zbliżając się do pięćdziesiątki. Świętej pamięci Maciej Parowski zwykł mawiać, że ma zaufanie do późnych debiutów. Miał rację.

Thrillery Adlery-Olsena sprzedawały się na tyle dobrze, że mógł utrzymywać się już tylko z pisania. Popularność jego książek wzniosła się na nowy poziom,

kiedy po tytuły z serii „Departament Q” sięgnęli filmowcy. W latach 2013–2020 powstały ekranizacje pięciu powieści: „Kobieta w klatce”, „Zabójcy bażantów”, „Wzbawienie”, „Kartoteka 64”, „Co ukrywa Marco”. W wywiadzie dla polskiego „Newsweeka” duński pisarz mówił: „Gdy sprzedawałem prawa do ekranizacji moich książek, postawiłem tylko jeden warunek: żeby nie robił tego Lars. Nie mam nic do Larsa, ale książki są wystarczająco ponure, a on pozbawiłby je całkowicie humoru”. Chodziło o Larsa von Triera.

SCOTT FRANK DAŁ RADĘ

Filmy okazały się kasowymi przebojami, ale sam autor nie był zbyt zadowolony z adaptacji, zwłaszcza pierwszych dwóch. Uważał, że odbiegają zbyt mocno od powieści, że nie oddają ich specyficznego czarnego humoru, nie miał przekonania do obsady. W roku 2014 prawa do amerykańskiej adaptacji nabył Scott Frank. Jak bardzo ekscytujący był to fakt, rozumiemy dopiero wówczas, gdy przypomnimy sobie, jak wpływowa i utalentowana jest to postać. Scott Frank nakręcił w ostatnich latach dla Netflixu hitową serię „Gambit królowej” oraz jeden z najlepszych westernów ostatniej dekady, czyli miniserię „God-

less”. W Polsce bez echa przeszedł świetny serial „Monsieur Spade” o losach emerytowanego bohatera głośnych powieści noir Dashiella Hammetta.

Frank pisał scenariusze filmowe dla Stevena Spielberga, Sydneya Pollacka, Kennetha Branagha czy Stevena Soderbergha. Za dwa z nich otrzymał nominacje do Oscara („Co z oczu to z serca”, „Logan”). Krótko mówiąc, jest to fachowiec pierwszej klasy. A co ważniejsze w przypadku nowej adaptacji serii „Departament Q”, uwielbia policyjne thrillery, z kultowym brytyjskim serialem „Cracker” na czele. Początkowo Scott Frank przymierzał się, by przenieść akcję bestsellerów Jussiego Adlery-Olsena do Bostonu, ostatecznie stanęło na Szkocji, i tak detektyw Carl Mørck z Kopenhagi zamienił się w Carla Mørcka z Edynburga. Co wywołało wściekłość duńskiej prasy, która uznała, że Dania traci swój narodowy skarb tylko dlatego, że Adler-Olsen postanowił trochę więcej zarobić. Nie tylko o pieniądze chodzi: Scott Frank zapowiedział bowiem, że ekranizować będzie wierniej i że chce nakręcić 10 sezonów, przenosząc na mały ekran wszystkie powieści serii (zamykający cykl „Mężczyzna w celi” ukazał się po polsku w ubiegłym roku).

Scott Frank dał radę, nowa adaptacja zamyka usta niedowiarkom. Powstał serial bardzo dobry, jedna z najlepszych oryginalnych produkcji Netflixu tego roku, a może i ostatnich paru lat. Scandinavian noir zamienił się w UK noir, co ułatwia bez wątpienia serialowi pozyskiwanie nowych fanów na całym świecie, bo przecież brytyjskie seriale kryminalne to od dekad klasa sama dla siebie. Wszystko się tu zgadza: klimat, obsada, scenariusz. Zacznijmy od obsady – decyzja, by w rolę główną zagrał Matthew Goode, to strzał w dziesiątkę. Pamiętamy go z „Downton Abbey” i wielu innych seriali, niedawno chwaliłem go za rolę C.S. Lewisa w filmie „Ostatnia sesja Freuda”; na pewno wielu ma też w pamięci jego kreację w filmie „Watchmen”, gdzie zagrał Adriana Veidta/Ozymandiasa.

DETEKTYW, KTÓRY WIDZI WIĘCEJ

W „Departamencie Q” Goode łączy w sobie urok Davida Tennanta, którego pamiętamy choćby z „Broadchurch”, z arogancją Petera Capaldiiego (który zresztą w ubiegłym roku zagrał szkockiego detektywa w serii „Kartoteka policyjna”). Jako Carl Mørck jest odpowiednio przemyślany i strauumatyzowany zarazem; jak należy, osobny i nieufny, ale do bólu wymagający (najwięcej od siebie). Detektyw, który widzi więcej niż inni i którego irytuje tępota innych, to najważniejsza z brytyjskich tradycji kryminalnych. Czyż nie taki był Sherlock Holmes?

Pycha kroczy jednak przed upadkiem: rutynowa interwencja zamienia się w tragedię. Zamiast czekać na wsparcie, detektyw Mørck wkracza do mieszkania zamordowanego staruszka, by dokonać szybkich oględzin i czym prędzej wydać odpowiednie polecenia innym. Postrzelony cudem unika śmierci. Jego partner zostaje sparaliżowany, a towarzyszący im młody policjant – zabity. „Sprawa, która skruszyła jego pancerz” – pisał Jussi Adler-Olsen w powieści „Kobieta w klatce”, na podstawie której powstał pierwszy sezon serialu. Sprawa, która miała spowodować, że „w Carlu zgaśnie ten ogień, który był absolutnie niezbędny, by być detektywem w Wydziale Zabójstw”.

A co sprawi, że ogień zapłonie znowu? Tu wreszcie dochodzimy do powstania Departamentu Q, czyli wydziału, który dał tytuł serii powieści. Zmagająca się z kryzy-



sem budżetowym i wizerunkowym policja powołuje grupę do rozwiązywania starych, porzuconych bez efektu spraw. Będzie to miejsce zesłania dla Mørcka, który z jednej strony chce za wszelką cenę dowiedzieć się, co doprowadziło do tragicznych wydarzeń, w których brał udział, a z drugiej uwielbia wyzwania. Nie mówiąc o tym, że rozwikłanie zagadek, od których odpadli kiedyś inni detektywi, przyniesie Mørckowi jakże potrzebne paliwo dla podbudowania jego wybujałego ego.

Ci, którzy pamiętają powieść „Kobieta w klatce” oraz jej duńską ekranizację, wiedzą doskonale, o co chodzi. Tym, którzy o oryginale nie mają pojęcia, nie chcę zdradzać zbyt wiele, aby nie pozbawiać ich przyjemności. Zasygnalizuję jedynie, że Departament Q nabierze ostatecznie kształtu dość nietypowego (myślę, że mocno inspirował się tym Mick Herron, pisząc „Kulawe konie”), że także tragedia, która strauumatyzowała Mørcka, nie była zwykłą przypadkową strzelaniną. No i że stara, nierozwiązana sprawa, w którą wbił zęby na początek, to zniknięcie przed laty prokuratora Merritt Lingard. Wszyscy uważają, że została zamordowana, pozostaje tylko znaleźć ciało. A co, jeśli było to porwanie i ofiara nadal żyje?

Na sprawę Lingard uwagę zwraca były syryjski policjant Akram Salim, obecnie uchodzący w Szkocji i niespodziewany filar nowego Departamentu Q. Grający go Alexej Manvelov miał trudne zadanie, by dorównać Faresowi Faresowi znanemu z duńskich adaptacji kinowych (tam ów bohater zwał się Assad, tak jak w powieściach). Fares miał wielką ekranową charyzmę i był ulubieńcem widzów. Manvelov bliżej jest wizerun-

kowi powieściowemu (niski, śniady facet o wielkich oczach – tak opisywał go Adler-Olsen) i podobnie jak literacki pierwowzór obdarzony jest nieco sarkastycznym poczuciem humoru.

WYSOKA PÓŁKA

W ogóle obsada „Departamentu Q” jest trafiona: szefową Mørcka gra Kate Dickie (Lysa Arryn z „Gry o tron”), jego terapeutkę – świetna jak zawsze Kelly Macdonald (gwiazda m.in. „Zakazanego imperium”), na drugim planie także widzimy wiele znanych twarzy. Najważniejsze jest jednak to, że dzięki serialowej formie (pierwszy sezon liczy dziewięć odcinków) jest tu miejsce na powolne budowanie relacji między bohaterami, że policyjna robota nie jest pośpieszana na siłę, by zmieścić się w fabule jednego filmu. No i to, że Scott Frank, wytrawny spec od filmu i telewizji, pilnuje, by wszystko to zostało opowiedziane jak należy. Wiele kryminalnych opowieści powstaje w Wielkiej Brytanii, ale „Departament Q” można postawić na tej samej półce co „Broadchurch” czy „Luthera”. A to półka wysoka.

Niestety, sam Jussi Adler-Olsen może nie doczekać kolejnych sezonów. Kilkanaście lat temu zwalczył raka prostaty, wcześniej raka jelita grubego, ale na początku tego roku usłyszał inną, druzgocącą diagnozę: rak szpiku kostnego. W czasie gdy Scott Frank pracował nad adaptacją „Kobiety w klatce”, Adler-Olsen przechodził wielomiesięczną chemioterapię w kopenhaskiej klinice. „Umrę z powodu tej choroby. Jest nieuleczalna, przynajmniej na razie” – mówił w poruszającym wywiadzie dla „Politiken” w lutym.



**SCOTT FRANK,
CHANDNI
LAKHANI
„DEPARTAMENT Q”
(„DEPT. Q”)
WIELKA
BRYTANIA 2025**



FOT. MATERIAŁY PRASOWE



PIOTR GOCIEK

OGLĄDANIE NA ŻĄDANIE

Grzechy przeszłości



się uczucia, a nie odcyfrowanie wymyślnych planów prowincjonalnych królów zbrodni. Nie ma tu takich; są za to pogrążeni w żałobie bliscy, żywiący do siebie urazę sąsiedzi, kryjący tajemnice przed dziećmi rodzice itd.

Wszystko to zręcznie opowiedziano i dobrze zagrano, przy czym w obsadzie wyróżniają się Charlie Vickers grający Kierana (to on zagrał Saurona w serialu „Władca Pierścieni: Pierścienie władzy”) oraz Damien Garvey jako jego ojciec. Całą adaptację wymyślił i za sterami stanął Tony Ayres, reżyser i scenarzysta o dużym dorobku filmowym i serialowym, który kilka lat temu nakręcił (również dla Netflix) prowokacyjny odcinkowy thriller „Clickbait”.

Z pięciu napisanych przez Jane Harper powieści już tylko dwie pozostają niezekranizowane; zapewne wkrótce się to zmieni. Formuła stworzona i powtarzana przez brytyjsko-australijską pisarkę, czyli dramat rodziny plus bóle dorastania, plus elementy kryminalne, idealnie pasuje do rozrywki czasów streamingu. ©©



★★★★★
MINISERIA
„OCALENI”
(„THE SURVIVORS”)
NOWA ZELANDIA
2025

wyst. Charlie Vickers, Yerin Ha, Shannon Berry

To jest telewizyjna konfekcja, ale konfekcja tak zręcznie wykonana, że może uchodzić przez chwilę za coś więcej. Autorka bestsellerów Jane Harper dała nam już detektywa Aarona Falka z australijskiego pustkowia, którego w ekranizacjach grał Eric Bana („Susza”, „Siła natury”). Teraz jej powieść „Ocaleni” została zamieniona w sześcioczęściową serię Netflix, a widzowie wraz z głównym bohaterem trafiają na Tasmanię, więc miejsce bardzo malownicze, choć chwilami jest to urok nazbyt podkreślony CGI.

Piętnaście lat wcześniej dramatyczne wydarzenia podczas sztormu połączyły ze sobą losy czworga

młodych ludzi. Dwóch chłopaków zginęło, zniknięcie dziewczyny pozostaje zagadką, a jedyny ocalały – Kieran Elliott – powraca na stare śmieci już jako ojciec rodziny, z żoną i dziećmi. Na plaży znalezione zostaje ciało dziewczyny, która prowadziła na własną rękę dochodzenie w sprawie wydarzeń sprzed lat, wszystko więc jest ze sobą połączone.

„Ocaleni”, podobnie jak „Susza”, to bardziej powieść obyczajowa z elementami kryminału niż typowa historia detektywistyczna. Najważniejsze są obraz niewielkiej społeczności i buzujące pod powierzchnią emocje. Kluczem do rozwiązania zagadki także okażą

GRA TYGODNIA: „MARIO KART WORLD”

Nintendo Switch 2 jest bezpieczną i udaną (ach, gdybyśmy jeszcze tylko dostali OLED-owy wyświetlacz) kontynuacją poprzedniczki. Tytułów startowych na nową konsolę na razie nie ma zbyt wiele, ale kompatybilność wsteczna sprawia, że po zakupie nie

będzie nudy. Nowy sprzęt sprzedaje się rekordowo i zbiera dobre recenzje. Jeśli się wahacie, czy brać wersję z „Mario Kart World” czy bez niego, to nie wahajcie się dłużej. Nowy „Mario Kart” to perełka. Koncepcja walkowa na po stołeczka za 101. razem przynosi



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

★★★★★
tę samą frajdę i jakimś cudem – wciąż powiew świeżości. ©©

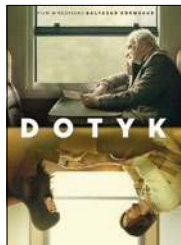
Radosław Wojtas

- **Gatunek:** zręcznościowe, wyścigi
- **Platforma:** Nintendo Switch 2
- **Producent, dystrybutor:** Nintendo; ConQuest

Hiroszima, moja miłość

Rok 1969 był rokiem cudów. Amerykanie spacerowali po Księżycu, Pelé strzelił tysięcznego gola, BBC wyemitowała pierwszy odcinek „Latającego cyrku Monty Pythona”. Na polach Woodstock pół miliona młodych ludzi słuchało muzyki i tańczyło w błocie. Charles de Gaulle podał się do dymisji, John Lennon poślubił zaś Yoko Ono. To ostatnie wydarzenie najwyraźniej natchnęło autorów fabuły o niesformym islandzkim studencie, który ni stąd, ni zowąd zatrudnił się w restauracji Nippon. Komuś innemu robota na zmywaku raczej obrzydziłaby kulturę Kraju Kwitnącej Wiśni, lecz nasz bohater wchłania ją jak gąbka i wkrótce już wie, co znaczy słowo „hibakusha”.

Kormákur to reżyser wszechstronny. Tym razem nakręcił film zaadresowany do nieuleczalnych romantyków tudzież ludzi, którym Japonia kojarzy się bardziej z haiku, sake i karaoke niż z pracoholizmem i kamikadze. Zachód lubi przeglądać się w dalekowschodnim zwierciadle i za każdym razem odkrywa, że jest za mało uduchowiony, by zrozumieć naturę Azjaty.



★★★★★

REŻ. BALTASAR KORMÁKUR
„DOTYK”
ISLANDIA 2024

wyst. Egill Ólafsson, Kóki, Pálmi Kormákur
Baltasarsson

Kristófer też kapituluje, jednak po 50 latach, idąc za radą lekarza, wyruszy w długą podróż, której celem będzie „zamknąć niezakończonych spraw”, czyli wyjaśnić zagadkę związaną z rodziną niedysiejszego szefa. W krainie stereotypów obowiązują proste zasady. Jak się nordyk uprze, nie zatrzyma go nic – nawet światowa pandemia.

„Dotyk” jest melodramatem z wyższej półki również dlatego, że zgrabnie łączy dwa popularne motywy: kuchenny i geriatryczny. Kino, po dekadach schlebienia nastolatkom, przypomniało sobie, że nieźle pieniądze można zarobić także na dziadersach.

Kierunek wytyczyły „Schmidt” z ostatnią wielką rolą Jacka Nicholsona i animowany „Odlot”. Filmy o podróżujących seniorach pozwoliły rozwinąć skrzydła aktorom weteranom, często o brytyjskim rodowodzie. Moim zdaniem do sukcesu jeszcze bardziej przyłożyli się scenarzyści pamiętający, że widzów należy wzruszać, lecz za żadne skarby nie wolno pozbawiać ich nadziei. „Dotyk” ten warunek spełnia z nawiązką, ponieważ przemyca tezę, że z naprawianiem błędów młodości można poczekać do późnej starości. Oczywiście, jeśli się jej doczeka. © © **Wiesław Chelminiak**

ZGODNIE Z PLANEM

KINO

Autora powieści kryminalnych odwiedza nieproszony gość. Zna prawdziwe nazwisko gospodarza i domaga się szczerzej rozmowy. Twierdzi, że książki sygnowane pseudonimem Cameron Graves z realizmem są na bakier... Wróć! Wszystko to ściema, gra dwóch szubrawców, której stawkę poznamy dopiero w akcie przedostatnim. Rzecz jest utrzymana w konwencji PRL-owskiej „Kobry”; jednak twórcy „Punktów zwrotnych” wolą się powoływać na Hitchcocka. No cóż, mistrz zwykle szanował porządek chronologiczny, nie mnożył twistów ponad miarę i kpił z wiary w istnienie zbrodni doskonałej. Hiszpanie natomiast lansują teorię, że co 10 lat stajemy się innymi ludźmi. Bardziej przekonuje diagnoza stanu współczesnej literatury. Pisarze grzeszą brakiem inwencji, kochają natomiast kraść cudze pomysły oraz gapić się w lustro. © ©



★★★★★

REŻ. DAVID MARQUÉS
„PUNKTY ZWROTNE”
HISZPANIA 2024

wyst. Diego Peretti,
José Coronado,
Cecilia Suárez



RADOSŁAW
WOJTAS

DO ZOBACZENIA

Naturalne piękno

Na tej wystawie prezentowane są dzieła natury. Materiał – sól. Mineral, który potrafi zachwycić swoim pięknem. Są sole niebieskie, zielone, różowe, w kształcie choinek, sopli, kalafiów... I takim okazom poświęcona jest wystawa „Piękno soli”.

Ciekawsze od soli kamiennej, wydobywanej w kopalniach, są sole wtórne, bo to one przybierają różne ciekawe kształty.



FOT. DARIUSZ KOŁAKOWSKI

„Powstają współcześnie, w wyniku krążącej w skałach solanki. W zależności od panujących wa-

runków mogą to być różnorodne formy, m.in. solne kalafiory, czyli gąbczaste narosty soli. Przy stropie wyrobiska mogą powstawać solne stalaktyty [...]. Natomiast na dnie można spotkać stalagmity podobne do choinek. Szczególnie ciekawie prezentuje się sól w postaci włókien, zwanych »włosami św. Kingi«.

W odnowionych salach Zamku Żupnego prezentowanych jest ponad 80 geologicznych okazów. © ©

GDZIE? Zamek
Żupny – Muzeum
Żup Krakowskich
Wieliczka
KIEDY?
do 31 października

KRZYSZTOF
MASEŁ

MOJA PÓŁKA

Nazywam się Dzidziuś...

Przylgnęło do nich miano tułaczycy dzieci. Wygnano je z domów, wywieziono z Polski na nieludzką ziemię, gdzie miały, nie umrzeć – zdechnąć, z głodu, chorób, katorżniczej pracy, która ich czekała, gdyby jakimś cudem przetrwały dzieciństwo. Na szczęście dla nich Hitler zaatakował sowiecką Rosję i Stalin udzielił łaskawie „amnestii” Polakom, także tym w wieku przedszkolnym. Dotarli do formującej się armii gen. Władysława Andersa. Wyrwane śmierci w komunistycznym piekle rozpieczęły się po świecie. Siedemset trzydzieści troje dotarło do Nowej Zelandii.

Na początku zawieziono je do Krasnowodzka nad Morzem Kaspijskim. Do Pahlevi w Iranie płynęli stamtąd trzy dni: „To nie był wyjazd. To była ucieczka”. Stanisław Manterys wspominał: „W porcie zobaczyłem okręty. Nie zrobiły na mnie wrażenia. Cały czas coś się zmieniało i ja to obserwowałem z poziomu mrówki. Najważniejsze było, co teraz zjemy”.

Na plaży w Pahlevi z dnia na dzień powstała Mała Polska. W sumie przybyło tam prawie 70 tys. Polaków, w tym 9633 dzieci. Wygłodzonych, obdartych, zawszonych. Chorym udzielano pomocy medycznej, nie zawsze skutecznej. Ubrań z Czerwonego Krzyża też nie wystarczyło dla wszystkich, ale nie było już czubaryków, jak często nazywano Sowietów, i to była namiastka szczęścia. Z niektórymi dziećmi był kłopot przy ewidencji. Jakiś chłopczyk mówił, że nazywa się Dzidziuś i tylko tego można się było od niego dowiedzieć. Na oko miał sześć lat, młodsza od niego dziewczynka w ogóle znała jedno słowo: „matuła” i tak też zostaje zarejestrowana.



FOT. MARTA RIBECCA

Czternastolatków zapraszano do junaków, młodszym trzeba było znaleźć zastępczy dom. Tylko gdzie? Po ewakuacji z Rosji polskie dzieci rozmieszczone w zorganizowanych ośrodkach, m.in. w Indiach, Libanie, Meksyku i Tanzanii. Do Nowej Zelandii nie zgłaszano się ochoczo, najdalej było stamtąd do Polski, a przecież, gdy tylko wojna się skończy, mieli do niej wrócić. W końcu jednak zdecydowano się i na ten kierunek, tyle że długo trzeba było czekać, bo aż rok, od zaproszenia do Nowej Zelandii do dnia wyjazdu. W 1944 r. popłynęli najpierw do Bombaju, a tam prześiedli się na „Generała Randalla”: „To było po prostu niebo – opowiadał Józef Jagiełło. – Kuchni nigdy nie zamykano. Mogliśmy tam przyjść, kiedy nam się podobało [...]”. Na statku nauczyłem się, jak siedzieć przy stole z talerzem, widelcem i nożem. Pierwszy raz jadłem lody. Amerykanie mieli na tym statku każde jedzenie, o jakim człowiek zamarzył. Bekon, jajka...”. Ale i problemów nie brakowało, także takich, o jakich mówiła Irena Iwan: „Nie widzieliśmy, jak obsłużyć nowoczesne ustępy. Że należy przycisnąć i woda spłucze nieczystości. Wsadzaliśmy tam swoje pupy, dla ochłody”.

W obozie w miejscowości Pahiatua zmroziły ich wieże strażnicze i ogrodzenie z drutu. To była pozostałość po internowanych tam Niemcach. Polskim dzieciom

zapewniono godne warunki, szkołę i rozrywkę. Wciąż jednak powtarzały: „Kiedy wrócimy do Polski...”. I niektóre z nich rzeczywiście wróciły. Niestety, pytały potem: „Po co?”. Decydowały więzy rodzinne, ale warunki życia były nieporównywalne. Jedenastoletnia Oleńka po przyjeździe do wyteśsknionej Polski przekonała się od razu, że nic nie pasuje do tego, co sobie o niej wyobrażała. Ludzie okazali się nieżyczliwi, kłótlivi, nie chcieli wierzyć w ich opowieści o przeżyciach w Rosji. I to się nie zmieniało z upływem lat. Ci znów, którzy zostali w Nowej Zelandii na stałe, nie chcieli się pogodzić z tym, że ich dzieci odwracają się od polskości, nie chcą chodzić na sobotnie zajęcia do polskiej szkoły, zapominają języka, upodabniają się do swych rówieśników w Wellington czy Auckland.

Stanisław Manterys bardzo jednak, widać, tęsknił za ojczyzną, skoro po upadku komuny przyjechał do Polski, chciał się tu przydać, ale... „w ludziach nie widział miłości do kraju, choć miał gdzie jeździć i kogo odwiedzać. Po siedmiu latach Stanisław znów wyjechał z Polski. Biurokracja doprowadziła go do granic wytrzymałości”.

Martyna Wojtkowska dotarła do nielicznych żyjących „tułaczycy dzieci”, rozmawiała z ich potomkami, przewertowała wspomnienia i roczniki starych gazet.

Traf chciał, że niemal w tych samych dniach ukazała się inna, ale jakże podobna książka, „Domy na piasku” Katarzyny Rodackiej, o Polakach w Iranie w latach 1942–1945. Pogłębiają one naszą wiedzę o losach Polaków w czasie wojny. O gehennie, którą przeszli, i o trudnych wyborach, przed którymi stanęli w momencie, gdy decydowała się ich przyszłość. ©



★★★★★

MARTYNA M. WOJTKOWSKA
„W NOWEJ ZELANDII WSCHODZI SŁOŃCE. WOJENNA TUŁACZKA POLSKICH DZIECI”
CZARNE, WOŁOWIEC 2025



PIOTR GOCIEK

POCZYTANKI

Teologia narodu

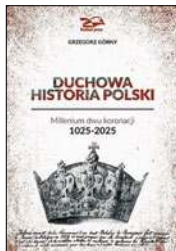
Chrześcijaństwo nie dotarło do nas jak do wielu innych krajów na świecie – jak do gotowego, ukształtowanego już organizmu państwowego, ale współkonstytuowało go od samego zarania. To katolicyzm nadał polskości jej formę” – pisze Grzegorz Górny. Jego zwięzła, a przecież tak bogata w materiał do przemyslenia książka opatrzona jest podtytułem „Milenium dwu koronacji 1025–2025”.

Rekomendowałem niedawno pracę prof. Przemysława Urbańczyka „Co się stało w 1025 roku?”. Urbańczyk barwnie opowiadał o królewskich ambicjach Chrobrego, o dyplomatycznych zabiegach, militarnych starciach i politycznych knowaniach. Górny przyjmuje inny punkt widzenia: opisuje to, co wydarzyło się w latach 966–1025, nie tylko jako efekt nawrócenia Mieszka I, lecz także jako moment, gdy dzięki wierze coś nowego wyłania się z bezkształtu. „Nie istnieje coś takiego jak polska tożsamość pogańska” – wskazuje Górny, natomiast to katolicyzm „stał się najgłębszym zrębem” polskości, a „polska wspólnota polityczna bierze swój początek w sakramencie”.

Przyjęcie takiej perspektywy daje autorowi moż-

liwość opowiedzenia polskich dziejów z zaskakującą spójnością. W kilkudziesięciu krótkich rozdziałach nie tylko przypomina polskich władców, świętych i duchownych, lecz także wskazuje, jak „ład wewnętrzny polegający na poznaniu Boga” (pogląd Kopernika, widzącego w Stwórcy źródło wszelkiego dobra) kształtował serca i umysły Polaków. Rozdziały są krótkie, ale erudycja autora – ogromna. A duchowa historia Polski bardzo często staje się historią Europy, co dziwić nie powinno, bośmy przecież z jednej republica christiana. A skoro historią Europy, to i historią wyrzeczenia się przez Stary Kontynent swoich korzeni – proces, który próbuje się nam narzucić, a który będzie miał dla Polski skutek destrukcyjny – nie można bowiem pacjentowi wymienić układu całego układu krwionośnego i liczyć, że wyjdzie z tego cało.

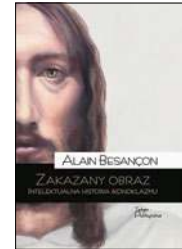
Książka Górnego na tle tego, czego uczą dziś w szkołach, jest dziełem wręcz wywrotowym, więc tym bardziej potrzebnym. W finale sięga przecież po „Pamięć i tożsamość” Jana Pawła II oraz przywołuje w tej pracy termin „teologia narodu”, który rozsiedzi... No właśnie, kogo bardziej? Wrogów Kościoła czy wrogów polskości? ©©



★★★★★
GRZEGORZ GÓRNY
„DUCHOWA HISTORIA POLSKI”
ROSIKON PRESS
2025

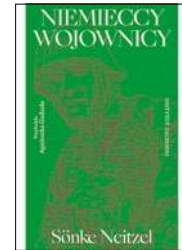
NOWOŚCI KSIĄŻKOWE

Nie tylko sowietolog i politolog; tym razem francuski myśliciel przedstawia intelektualną historię ikonoklazmu, sporów w łonie cywilizacji europejskiej o przedstawienia boskości. Wprowadzenie: Magdalena Garnczarska.



ALAIN BESANÇON
„ZAKAZANY OBRAZ”
TEOLOGIA
POLITYCZNA

Imponująca dbałością o szczegóły historia militarna Niemiec, od Cesarstwa do Republiki Berlińskiej. Rozdziały o Bundeswehrze w XXI w. są ponure: zgadnijcie, ile wagonów do transportu czołgów ma dziś państwo niemieckie.



SÖNKE NEITZEL
„NIEMIECCY WOJOWNICY”
INSTYTUT
ZACHODNI

Kryminalne zagadki Mazur, czyli dwa trupy nad jeziorem Bełdany, dziwne znalezisko w lesie, tropy wiodące w przeszłość, tajemnicza żeglarska legenda i młoda muzealniczka Jagoda Matusiak, która próbuje rozwiązać zagadkę.



WOJCIECH WÓJCİK
„SZANTA”
ZYSK I S-KA

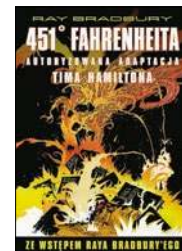
Klasyka weird fiction, tom opowiadań, które zachwyciły Lovecrafta. Pierwsze pełne wydanie w Polsce, przekład Tomasza S. Gałązki. Motyw z opowiadania Chambersa odgrywa ważną rolę w pierwszym sezonie serialu „Detektyw”. **Piotr Gociek**



ROBERT W. CHAMBERS
„KRÓL W ŻÓŁCI”
ARTRAGE

KOMIKS TYGODNIA: ŻYCIE W DYSTOPII

„Stworzyłem metaforę i nie narzucając sobie ograniczeń, pozwoliłem, by podświadomość podsuwała mi wszelkie szalone pomysły” – pisze Ray Bradbury we wstępie do komiksowej ekranizacji jego najsłynniejszej książki. Powieść o świecie, w którym płoną książki, a obywatele mają nakaz oglądania telewizji, jest



RAY BRADBURY,
TIM HAMILTON
„451° FAHRENHEITA”
REBIS 2025

zadziwiająco aktualna w czasach obrazkowej internetowej nadprodukcji wszystkiego.

Piotr Gociek

JACEK PRZYBYLSKI: Śledził pan kampanię prezydencką w Polsce?

DR JÁNOS BÓKA: Sądzę, że na Węgrzech każdy wyjątkowo uważnie śledził losy wyborów prezydenckich w Polsce. Wierzę bowiem, że ich wynik będzie miał istotny wpływ nie tylko na nasz region, lecz także na całą Unię Europejską. Te wybory były papierkiem lakmusowym pokazującym, czy w politycznym sporze między federalistami a patriotami patrioci mogą utrzymać zwycięską passę i w konsekwencji kształtować politykę w całej Unii. To był również test dla tzw. planu Tuska mający pokazać, czy Polacy rzeczywiście są gotowi zrzec się suwerenności w zamian za wsparcie finansowe i polityczne z Brukseli. Mój wniosek z wyborów w Polsce jest więc taki, że plan Tuska nie działa, ponieważ ani Polacy, ani Węgrzy, ani inne narody Unii Europejskiej nie są na sprzedaż.

A może Węgrom lepiej byłoby jednak poza UE?

Węgry należą do Unii Europejskiej i wcale nie zamierzamy jej opuszczać. Nigdy nie występujemy przeciw Europie, opowiadamy się za Europą. Jasno i otwarcie mówimy jednak: chcemy zmian w Unii Europejskiej. Wzywamy europejskich konserwatystów do okupacji Brukseli i odbicia unijnych instytucji. Wyniki kolejnych wyborów, w tym ostatnich wyborów do Parlamentu Europejskiego, pokazują, że jest to możliwe i że większość mieszkańców Europy podziela nasze poglądy i ma już dość tego, w jaki sposób przez ostatnie lata działały unijne instytucje. Głęboko wierzę w to, że konserwatywni politycy mogą wkrótce przejąć władzę w Brukseli. Już obecnie stanowimy trzecią co do wielkości grupę polityczną w Parlamencie Europejskim. Jednocześnie mamy potencjał do zdobycia większości w europarlamencie. I nie tylko w europarlamencie. Również w kolejnych krajach członkowskich, takich jak Polska, Włochy, Francja czy Czechy, Austria, wyborcy jasno wskazują na politykę konserwatystów.

Węgry pozostają więc w Unii Europejskiej nie dlatego, że jest taka, jak obecnie, ale dlatego, że dostrzegamy, jaką Unią może się stać w niedalekiej przyszłości. Chcemy, aby znów była to organizacja, która wzmacnia państwa członkowskie, a nie, jak obecnie, paraliżuje je ciągłym



Z węgierskim ministrem do spraw europejskich dr. Jánosem Bóką rozmawia Jacek Przybylski

Wzywamy do okupacji Brukseli

FOT. MINISTERSTWO DS. UE WĘGIER

wtrącaniem się w ich sprawy wewnętrzne i bezprawnym forsowaniem coraz głębszej centralizacji i federalizacji.

Z powodu węgierskich poglądów w Brukseli od miesięcy co rusz słychać wezwania do pozbawienia rządu w Budapeszcie prawa głosu na forum UE. Wielu europejskich polityków mówi zaś wprost: jeśli tak bardzo nie podobają się wam zasady panujące w Unii Europejskiej, to Węgry powinny ogłosić hunxit.

Rzeczywiście czasem słyszę takie głosy w Brukseli. Wówczas wskazuję na wyniki wyborów, w których partie konserwatywne, narodowościowe i prawicowe – tak bardzo nie lubiane przez obecnych unijnych przywódców – w wielu krajach mają już poparcie ponad połowę wyborców. Wówczas pytam unijnych polityków: Co chcecie powiedzieć tym ludziom? Czy większość mieszkańców Unii Europejskiej myślących tak jak Węgrzy też ma ją opuścić? Skoro Europejczycy chcą istotnych zmian w UE, to Unia Europejska musi się zmienić. Kropka.

Prezydent elekt Karol Nawrocki udzielił pierwszego zagranicznego wywiadu po wygranych wyborach węgierskiemu tygodnikowi „Mandiner”. Podkreślił w nim potrzebę wzmocnienia Grupy Wyszehradzkiej i Bukareszteńskiej Dziewiątki. Z kolei węgierski premier Viktor Orbán, gratulując Nawrockiemu, zauważył, że władzę w Polsce „sprawuje obecnie proukraiński, prowiojenny i prounijny rząd liberalny”. Czy widzi pan realną możliwość powrotu do ścisłej współpracy między Polską a Węgrami?

Pierwsze wypowiedzi nowego prezydenta są rzeczywiście obiecujące i węgierski rząd przyjmuje je z dużą nadzieją. Ścisła współpraca między Polską a Węgrami – zarówno na szczeblu międzypaństwowym, jak i w ramach Unii Europejskiej – jest bowiem absolutnie niezbędna. Przyjaźń między naszymi narodami ma już 1000 lat i to nie jest przypadek, że przetrwała wiele historycznych i politycznych wydarzeń. Sądzę, że również Unia Europejska potrzebuje polsko-węgierskiej współpracy, ponieważ Warszawa i Budapeszt mogą zbudować istotną przeciwwagę dla centralistycznych i federalistycznych tendencji forsowanych przez Berlin oraz Paryż.

Moim zdaniem ważne dla interesów naszego regionu są zarówno Grupa Wyszehradzka (V4), jak i Inicjatywa Trójmorza czy Bukareszteńska Dziewiątka.

Grupa V4 ma jednak największe znaczenie polityczne na forum Unii Europejskiej i historycznie wiele razy pozwalała forsować rozwiązania korzystne dla Polski, Węgier i innych krajów regionu. W czasach, gdy Grupa Wyszehradzka jeszcze funkcjonowała, osiągała największe sukcesy wśród wszystkich grup interesów działających w ramach Unii Europejskiej. Wystarczy spojrzeć na dawne wspólne sukcesy w takich obszarach jak polityka energetyczna, migracje, rolnictwo czy polityka klimatyczna. Również obecnie nie widzę żadnego strategicznie ważnego obszaru, w którym nasze interesy nie byłyby zbieżne.

Plan Tuska nie działa, bo ani Polacy, ani Węgrzy, ani inne narody Unii Europejskiej nie są na sprzedaż

Premier Donald Tusk nie kryje jednak niechęci wobec obecnego węgierskiego rządu czy Grupy Wyszehradzkiej.

Niechęć wobec współpracy polsko-węgierskiej nie leży jednak po naszej stronie, lecz po stronie rządu Donalda Tuska. Wierzmy, że choć są tematy, w których się różnimy, to jest też wiele kwestii, w których moglibyśmy efektywnie współpracować w ramach UE. Niewykorzystanie szans na współpracę byłoby ogromnym błędem.

Donald Tusk może tłumaczyć niechęć wobec współpracy tym, że Węgry udzieliły azylu posłowi Marcinowi Romanowskiemu. Nie żałujecie teraz tego ruchu?

Absolutnie nie. Nie sądzę, żeby akurat ta sprawa była rzeczywistą przyczyną napięć między rządami w Warszawie i w Budapeszcie. Miałem okazję odbyć długą rozmowę z Marcinem Romanowskim, podczas której wyjaśnił mi dokładnie całą sytuację. Przy tak upolitycznionej pod rządami Tuska prokuraturze i innych organach konstytucyjnych trudno mi sobie wyobrazić, że w Polsce mógłby on liczyć na uczciwy proces.

Rząd Polski i Węgier dzieli nie tylko sprawa posła Romanowskiego, lecz także kwestia

członkostwa Ukrainy w Unii Europejskiej. Mówił pan o „politycznej hysterii” w Brukseli wywołanej stanowiskiem Budapesztu, które opiera się na „węgierskich interesach narodowych”. Czy pozostające pod ogromną presją Węgry rozważają rozwiązanie kompromisowe, czyli sprzeciwienie się członkostwu Ukrainy w NATO, ale zgodę na jej członkostwo w UE?

Ewentualne członkostwo Ukrainy w Unii Europejskiej to zbyt poważna kwestia dla przyszłości Europy, aby była przedmiotem tego typu politycznych targów. Na Węgrzech toczymy obecnie intelektualną, a często również bardzo emocjonalną debatę, otwarcie informując o potencjalnych korzyściach, a także o kosztach przyłączenia Ukrainy do UE. Uważam, że w tak poważnej kwestii decyzję powinni podjąć sami obywatele podczas specjalnych narodowych konsultacji. Ich wyniki będą decydować o węgierskim stanowisku.

Nie obawia się pan, że w przypadku odrzucenia przez Węgrów możliwości integracji Ukrainy z Unią Europejską władze w Budapeszcie znów zostaną oskarżone o to, że są rosyjskim koniem trojańskim w UE?

W sprawie migracji to Węgry z góry ostrzegają o niebezpieczeństwach i mieliśmy rację. Podobna sytuacja ma miejsce teraz, jeżeli chodzi o członkostwo Ukrainy w UE. Nie patrzymy na tę kwestię ani z punktu widzenia Rosji, ani Ukrainy, ale z punktu widzenia Węgier. Bronimy naszych narodowych interesów i interesów Europy. Władze w Kijowie walczą z kolei o interesy ukraińskie. To naturalna kolej rzeczy.

To znaczy, że Węgry nie podzielają obaw, że w razie klęski Ukrainy Rosja może pójść za ciosem i zaatakować kraje bałtyckie, Polskę czy też Węgry?

Chcę jasno zaznaczyć, że podzielam pogląd, iż Rosja stanowi wyzwanie dla europejskiej architektury bezpieczeństwa. Musimy więc skończyć z outsourcingiem i zbudować własne, europejskie zdolności obronne. Odpowiedzi na rosyjskie zagrożenie należy szukać w ramach NATO, a także we współpracy między naszymi krajami w ramach UE.

O potrzebie budowy europejskich zdolności obronnych słyszymy od co najmniej dwóch lat. Czy poza pięknymi frazesami widzi pan jakieś konkretne działania?

Podzielam pańskie obawy. Idea wzmocnienia europejskiego bezpieczeństwa i obrony jest słuszna, ale zaplanowane w tej sprawie działania powinny wzmacniać zdolności obronne państw członkowskich, a nie skutkować jedynie przejmowaniem kolejnych kompetencji poszczególnych krajów przez unijne instytucje. Niestety, zauważam, że unijne instytucje wykorzystują tego typu wielkie projekty, aby wcielić w życie swój program federacyjny i wzmocnić unijne instytucje zarówno politycznie, jak i finansowo oraz prawnie. Jednocześnie te same unijne instytucje nie realizują tych działań, z powodu których przyznano im nowe kompetencje. Obserwujemy to w wielu obszarach, w tym niestety w kwestii europejskiego bezpieczeństwa. Dla unijnych polityków realizacja ich ideologicznych celów jest ważniejsza niż realne wzmocnienie europejskich armii.

Europejczycy zmienili już podejście do unijnej polityki migracyjnej. Spodziewa się pan, że wreszcie również politycy w Brukseli dostrzegą, że to Węgrzy i Polacy mieli w tej sprawie rację? Na razie, choć Donald Tusk deklaruje, że nie wdroży w Polsce tzw. paktu migracyjnego, niemiecka policja i tak odwozi do Polski kolejne grupy migrantów.

Większość Europejczyków już jest po naszej stronie i zgadza się z poglądem, że Unia Europejska musi być w stanie strzec swych zewnętrznych granic, a kraje członkowskie powinny móc same decydować, kogo wpuścić na swój teren, a kogo nie. To podstawa. Bez niej nie da się prowadzić polityki migracyjnej i azylowej ani odpowiednio bronić europejskich granic. Efektem są problemy związane z nieudaną integracją, z zagrożeniami dla bezpieczeństwa Europejczyków, z niewydolnymi systemami opieki społecznej i z poczuciem utraty narodowej tożsamości. Europejczycy dawno to już wiedzą. Zaczynam obserwować również kompletną zmianę podejścia do kwestii migracji u europejskich polityków i – co za tym idzie – powolną zmianę w unijnych instytucjach. Potrzebujemy pilnej zmiany traktatów międzynarodowych i np. wprowadzenia zasady, że wnioski o azyl rozpatrywane są w ośrodkach poza terytorium UE, aby Europa mogła odzyskać kontrolę nad migracją.

W przeciwnym razie będziemy nadal obserwować jedynie fikcję prawną dotyczącą ochrony granic.

Węgry od 2015 r. skutecznie strzegą zewnętrznej granicy i dzięki temu nie mamy potrzeby masowych deportacji ani problemów, o których wspominałem przed chwilą. Jednocześnie wiemy, że gdybyśmy zaczęli kluczyć po prawnych labiryntach unijnego prawa, to przegralibyśmy tę walkę. Zdecydowaliśmy się więc na to, aby nie wdrażać w ogóle tzw. paktu migracyjnego. Nie wykonaliśmy też wyroku Trybunału Sprawiedliwości UE, który skazał nas za „utrudnianie dostępu do ochrony międzynarodowej”. Aby nas złamać, za każdy dzień zwłoki nałożono na nas aż 1 mln euro kary. I to mimo że obecnie inne kraje idą w kierunku przyjętych przez Węgry rozwiązań. Mimo to posta-

Komisja Europejska stała się organem politycznym. Jej liderzy przyznają to już nawet publicznie

nowiliśmy nie składać broni. Uważamy bowiem, że jeśli za milion euro dziennie możemy ochronić nasze granice przed nielegalnymi imigrantami i bezpieczeństwo naszych obywateli, to jest to cena warta zapłacenia.

Chyba rzeczywiście lubicie płacić te unijne kary. Przecież łatwo było przewidzieć unijne oburzenie, a mimo to węgierski rząd przyjął w tym roku zakaz organizowania w Budapeszcie tzw. Parady Pride, uderzając w ten sposób w świętą dla Brukseli ideologię LGBT. W ten sposób znów stanęliście pod pręgierzem dla krajów „łamających praworządność”...

Te ideologiczne konflikty między unijnymi instytucjami a węgierskim rządem rzeczywiście mają już długą historię. Procedury związane z tzw. praworządnością („rule of law”) zostały przyjęte wyłącznie po to, aby wywierać ciągłą presję polityczną i gospodarczą na rząd Węgier. Przyczyny tego konfliktu dotyczą naszych poglądów na suwerenność Węgier, a także żądania przestrzegania zapisanych w traktatach zasad obowiązujących

między krajami członkowskimi a unijnymi instytucjami. Uważamy, że każdy kraj członkowski ma prawo chronić swoje dzieci. I nasze prawo zostało skonstruowane właśnie w tym celu.

Ta polityczna histeria dotycząca „Parady Pride” to więc tylko nowy pretekst do atakowania Węgier. Gdyby unijni urzędnicy byli naprawdę zainteresowani rządami prawa, to dogłębnie przyjrzeliby się krytykowanemu przez nich węgierskiemu przepisom lub poczekali na to, jak nowe prawo jest stosowane zarówno przez policję, jak i sądy. Wówczas zobaczyliby, że nie ma tu nic sprzecznego z praworządnością. Niestety, Unia nie wycofa się z karanias nas, mając nadzieję, że w końcu nas złamie.

Dowodem na to, że mechanizmy tzw. praworządności zostały przyjęte tylko w celach politycznych i ideologicznych, jest choćby to, że Unia nie wspominała o nich słowem, gdy np. premier Polski przejmował polskie media. Na szczęście wyborcy w Polsce zrozumieli na czas, na czym polega plan Tuska, który w zamian za uległość wobec Brukseli miał dostawać unijne wsparcie i zielone światło na rozprawienie się z krajową opozycją w dowolnie wybrany sposób. Ten model nie zdobył większości w Polsce i jestem przekonany, że nie przejdzie również na Węgrzech.

A nie boi się pan, że lewicowe elity w Brukseli zdają sobie sprawę z panujących w Europie nastrojów i w obawie przed utratą władzy jeszcze docisną śrubę?

Bezsprzecznie Komisja Europejska stała się organem politycznym. Sami jej liderzy przyznają to już nawet publicznie. Organ polityczny ma zaś własny polityczny program i cele, do których zmierza przy użyciu wszelkich dostępnych środków. Wierzę, że obecnie Komisja Europejska analizuje, czy ewentualna eskalacja napięć będzie na jej korzyść czy też nie. Spodziewam się, że dojdą do wniosku, że istnieje potrzeba eskalacji i Komisja zwiększy jeszcze naciski na państwa, które nie chcą się jej całkowicie podporządkować. Na szczęście na Węgrzech mamy silne polityczne wsparcie naszych wyborców, więc nadal będziemy reprezentować w Brukseli interesy Węgier, a nie interesy Brukseli na Węgrzech.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Zwalczani przez Polskę



Wilno, 4 maja 2019 r. Po obchodach Dnia Polonii i Polaków za Granicą, święta Konstytucji 3 maja oraz 30-lecia Związku Polaków na Litwie

FOT. IREK DOROŻAŃSKI/FORUM



Marcin Skalski

Podejście elit III RP wobec Polaków na Litwie to modelowy przykład szkodenia własnym rodakom. Polacy na Wileńszczyźnie są wręcz utwierdzani w przekonaniu, że na Polskę nie mają co liczyć, a swej dyskryminacji jako mniejszość narodowa winni są sobie sami

Metody, do których potrafią się uciekać warszawscy urzędnicy, aby rozbijać niezależne polskie struktury na Litwie, ukazały się w pełnej krasie po ujawnieniu tzw. e-maili Dworczyka. Wprawdzie politycy PiS się bronią, że jest to prowokacja obcych służb, a część e-maili jest sfalszowana, jednak w przypadku niniejszego wątku autentyczność ujawnionej korespondencji sprawia wrażenie stuprocentowej. Opisywana

■ sekwencja zdarzeń znalazła bowiem odzwierciedlenie w rzeczywistości.

W lipcu 2018 r. Michał Dworczyk miał wysłać do premiera Mateusza Morawieckiego wiadomość, w której wprost przyznał, że polskie organizacje na Litwie, ale nie tylko tam, zmuszane są ze względów formalnych do kreatywnej księgowości. Według opublikowanych wiadomości z premedytacją wykorzystał to Mikołaj Falkowski, wciąż aktualny prezes Fundacji „Pomoc Polakom na Wschodzie”.

„Falkowski wykrył patologie w Związku Polaków na Litwie, zawyżanie/fałszowanie faktur na druk polskiej gazety. Według mojej wiedzy ZPL robił to po to, aby odkładać pieniądze na pierwsze miesiące każdego kolejnego roku, tak aby móc wydawać polską prasę, ponieważ dotacja z Polski przychodzi dopiero w maju, czerwcu. To wynik naszego zasranego systemu i gdyby polskie organizacje chciały być święte, przez pierwsze pół roku żadna gazeta by się nie ukazywała. Sami ich tego jako państwo nauczyliśmy i wiele lat to akceptowaliśmy” – miał opisywać Dworczyk.

„BANDA OBŁUDNIKÓW”

W efekcie złożonego przez Fundację „Pomoc Polakom...” donosu skazany przez polski sąd został sekretarz zarządu Związku Polaków na Litwie Paweł Stefanowicz, choć głównym celem operacji był ówczesny prezes ZPL Michał Mackiewicz. Ten ostatni jako szef polskiej struktury konsekwentnie odmawiał bowiem podporządkowania się kursowi politycznemu narzucanemu przez rząd PiS, który zachęcał Polaków na Litwie do stopniowej asymilacji. Od Andrzeja Dudy nasi rodacy mogli wręcz usłyszeć, że mają „zbyt wygórowane żądania”, a najważniejsza jest przede wszystkim ich lojalność wobec Republiki Litewskiej.

Tymczasem wedle opublikowanej korespondencji Falkowski jako prezes fundacji miał sobie doskonale zdawać sprawę z tego, że wina za kreatywną księgowość w rozliczaniu projektów polonijnych spoczywa na państwie polskim, a nie na przymuszonych do tego beneficjentach dotacji.

„Ta sytuacja jest oczywiście zła, ale cała banda obłudników w MSZ, Senacie i Fundacji »Pomoc Polakom na Wschodzie« doskonale wie o tym i przez lata akceptowała to, bo nie chciało im się

wprowadzić systemowego rozwiązania likwidującego problem finansowania mediów za granicą. Albo druga możliwość: są debilami, którzy nie potrafią ani czytać, ani pisać” – można przeczytać w ujawnionych wiadomościach.

Nawet jeśli przyjąć odważną tezę, że przytaczana korespondencja Dworczyka z Morawieckim jest całkowicie zmyślona, to temat zakulisowych działań przeciwko polskości na Litwie i tak nie jest wyczerpany. Jak podawał w 2018 r. tamtejszy portal L24.lt, prezes Falkowski za plecami miejscowych Polaków uzgadniał z wiceministrem oświaty Litwy Kazakevičiusem projekty prawa oświatowego, które były niekorzystne dla polskich szkół na Wileńszczyźnie. Co więcej, portal informował również o wywieraniu przez Falkowskiego nacisku na magistrat Lublina, by z okazji 700-lecia miasta nie wręczać pamiątkowych medali przedstawicielom Polaków z Wileńszczyzny. Z kolei w innej wypowiedzi prezes fundacji w dwuznaczny sposób sugerował też rodakom na Wileńszczyźnie, by porzucili „trwanie przy swoim”, co przez tamtejszych Polaków zostało odebrane jako zachęta do stopniowego zasymilowania się z Litwinami.

ZWALCZANI NA POLECENIE LITWINÓW

Nie mniej szkodliwe dla Polaków na Litwie było urzędowanie ambasador RP w Wilnie Urszuli Doroszewskiej. Zgrzyt nastąpił już na początku trwającej od 29 maja 2017 r. kadencji. Doroszevska nie uznała obrony miejscowego szkolnictwa polskiego za priorytet, więcej uwagi poświęcając dość nieznacznemu z punktu widzenia tamtejszych Polaków sojusznikowi z Litwą, na którego ołtarzu są oni składani. Ówczesna ambasador w dość specyficzny sposób wyraziła bowiem zrozumienie dla litewskiego ustawodawstwa oświatowego, mówiąc: „Na Litwie istnieje najwięcej szkół polskich wśród wszystkich krajów, gdzie zamieszkuje polska mniejszość. Zupełnie naturalne i słuszne jest, że odbywa się także nauczanie w języku państwowym”. Warto przypomnieć przy tym, że od 2011 r. na Litwie funkcjonuje ustawa oświatowa, która zmniejszyła liczbę godzin lekcyjnych wykładanych w języku polskim. Miejscowi Polacy zebrali wówczas 60 tys. podpisów przeciwko wprowadzanym rozwiązaniom, co przy ich ogólnej liczebności 200 tys. jest

wynikiem imponującym. Niestety, na władzach Polski ten zryw rodaków nie zrobił większego wrażenia.

Tymczasem Doroszevska jeszcze jako doradca prezydenta Dudy ubolewała w kwietniu 2016 r. nad losem szkół krymskich Tatarów po przejściu półwyspu przez Rosję: „Szkoly, które były szkołami z krymskotatarskim językiem wykładowym, zmieniane są na szkoły z rosyjskim językiem” – rozwoździła się późniejsza ambasador w Wilnie. Tego typu postawę celnie scharakteryzował badacz polskiej mniejszości na Litwie, prof. Zbigniew Kurcz, który stwierdził w swoim studium: „Postulat wielkoduszności, rozumienia lęków małych narodów i ustępowania im pola nie mógł zostać powszechnie zaakceptowany na Wileńszczyźnie. A to dlatego, że okazało się, iż mały naród – szukający potwierdzenia odrębności i suwerenności – sięga po środki panowania właściwe w tradycji wielkim narodom. Takiej sytuacji nie aprobeje polska mniejszość narodowa, od której w wyniku zmiany granic »odeszło« własne państwo”. Charakterystyczne jest przy tym, że polska ambasador w Wilnie wydatnie akcentuje lęk o wynarodowienie krymskich Tatarów niż obawy własnych rodaków mieszkających od wieków na swej ojczyźnie.

Osobliwie rysują się natomiast za kadencji Doroszewskiej relacje ze Związkiem Polaków na Litwie. Zwalczany przez preza Fundacji „Pomoc Polakom na Wschodzie” Michał Mackiewicz, który ubiegał się wówczas o szefostwo w ZPL, miał usłyszeć od ambasador: „Jako przedstawiciel państwa polskiego mam ogłosić, że nie może pan kandydować”. Warto zatem odnotować: jeśli III RP promuje standardy demokracji na obszarze postradzieckim, to dotyczy to wszystkich, tylko nie Polaków na Kresach. Z kolei pierwsza za urzędowania Doroszewskiej Parada Polskości, którą ZPL tradycyjnie zorganizował w Wilnie 5 maja 2018 r., została przez urzędniczkę zignorowana. Taki stosunek wobec własnych rodaków podsumowała konsul w Wilnie Irminda Szmalec. Jak stwierdziła: „Akcja Wyborcza Polaków na Litwie jest zwalczana przez państwo polskie na polecenie Litwinów”. Ta jedna z nielicznych dyplomatów, którzy rzeczywiście przejmują się polskimi interesami na Kresach, dodała, że z perspektywy władz w Warszawie „pol-

skość jako program polityczny jest czymś złym i należy to zwalczać”.

Również za rządów obecnej większości parlamentarnej wygasza się żywotność polskiej wspólnoty na Litwie. Pretekstem ku temu są względy formalnoprawne. W konkursie „Senat-Polonia 2025” odrzucono bowiem wszystkie wnioski Związku Polaków na Litwie, w tym ten dotyczący dofinansowania wspomnianej Parady Polskości. III RP postanowiła nie wspierać także m.in. organizacji obchodów 81. rocznicy operacji „Ostra Brama”, a więc ostatniej zbrojnej manifestacji polskości Wilna, której nieliczni już żyjący uczestnicy wciąż mieszkają na Wileńszczyźnie. Projekty te rzekomo nie spełniły bowiem tzw. kryteriów punktacyjnych.

ZNISZCZYĆ TOMASZEWSKIEGO

Jest 9 maja 2014 r., na Litwie zbliżają się wybory. Waldemar Tomaszewski, lider Akcji Wyborczej Polaków na Litwie (AWPL), podczas rocznicy obchodów zakończenia drugiej wojny światowej na wileńskim cmentarzu Antokolskim wpina w klapę marynarki, obok tej biało-czerwonej, także wstążkę georgijewską. Jest to symbol bliski Rosjanom i innym narodom świętującym „tryumf nad faszyzmem”, odniesiony przez ZSRS w roku 1945. Tymczasem o ile dla Polaków na Kresach Wschodnich wydarzenia te oznaczały nie tylko uwolnienie spod niemieckiej okupacji, lecz także aneksję ich ojczyzny przez Sowietów, o tyle samym Litwinom stworzyły warunki do kolonizacji Wileńszczyzny i zasiedlenia jej jako części sowieckiej wprawdzie, ale jednak Litwy. Po wojnie wraz Rosjanami byli oni na tej etnicznie polskiej ziemi coraz liczniejszą ludnością napływową, jeszcze bowiem w 1939 r. stanowili 1 proc. (słownie: jeden procent) ludności Wilna. Bez ekspansjonistycznej polityki Związku Sowieckiego nie byłoby więc nigdy mowy o „litewskim Wilnie”, gdyż jego rdzenną ludnością są tam dziś prawie wyłącznie Polacy. Są to przedwojenni jeszcze, choć nieliczni już obywatele polscy albo ich współcześni potomkowie. Gdyby nie druga wojna światowa, nadal żylibyśmy w jednym państwie, jak przystało na członków tego samego narodu.

Tymczasem gest wobec Rosjan, stanowiących ok. 6 proc. ludności Litwy, podyktowany był matematyką wyborczą. Mniejszości narodowe na Litwie również

Obecność Polaków autochtonów na Wileńszczyźnie obnaża fałsz tezy o „polskiej okupacji Wilna”, która według Litwinów miała miejsce w okresie międzywojennym

są bowiem objęte obowiązkiem przekroczenia progu wyborczego w wyborach parlamentarnych – siłą rzeczy społeczności te łączą swe potencjały, podlegając takiej samej presji asymilacyjnej narodu tytularnego Litwy. Tym samym na Wileńszczyźnie Polacy autochtoni na zasadzie obrony przed wspólnym zagrożeniem zabiegają o głosy jednego narodu napływowego (Rosjanie) przeciwko dyskryminacyjnej polityce drugiego narodu napływowego (Litwini).

Stawiania spraw w powyższy sposób, a więc wyrażania językiem interesu politycznego, nie rozumieją w Polsce ludzie uchodzący za ekspertów od spraw wschodnich. Ówczesna dyrektor publicznej Telewizji Biełsat, Agnieszka Romaszewska, skierowała pod adresem Tomaszewskiego uwagę, że „to poważny błąd – wspieranie tego człowieka, któremu najwyraźniej za mało jest Polaków i stara się o względy Rosjan litewskich”. Taką dyskredytację badacz zagadnienia prof. Mirosław Karwat scharakteryzował zaś jako „kwestionowanie tożsamości, autentyczności wynikającej z samookreślenia”. W ujęciu Romaszewskiej zabieganie o polskie interesy na Litwie to zatem u Tomaszewskiego po prostu kwestia jego fanaberii, a identyfikacja z polsnością jako by nie jest u lidera AWPL autentyczna.

Tego typu wypowiedzi jest zresztą więcej. Ich autorką jest chociażby Maria Przełomiec, była dziennikarka TVP. W jednym z wywiadów nawoływała, by „odciąć Tomaszewskiego od pieniędzy”, tj. od pieniędzy z Polski. „Mniej Tomaszewskiemu – więcej dla innych” – mówiła Przełomiec, zupełnie tak, jakby Akcja Wyborcza Polaków na Litwie kiedykolwiek mogła w świetle tamtejszego prawa legalnie otrzymywać pieniądze z zagranicy jako partia polityczna. „Niestety, także władze

Polski widzą przede wszystkim Akcję Wyborczą Polaków oraz jej przywódcę Waldemara Tomaszewskiego, nie skupiając się na całokształcie, czyli prawdziwej sytuacji oraz przyszłości Polaków na Litwie” – dodawała. Tymczasem to właśnie AWPL monopolizuje niemal każde wybory w polskim elektoracie na Litwie, uzyskując silny demokratyczny mandat do reprezentowania tamtejszych rodaków.

O krok dalej poszedł zaś w 2018 r. portal wPolityce.pl, który bez uzasadnienia podał, że Tomaszewski rzekomo „wsparł agresję Rosji na Ukrainę”. Tak zwane media niepokorne potrafią przy tym zarzucać ośrodkom lewicowo-liberalnym uprawianie przemysłu pogardy wobec śp. Lecha Kaczyńskiego, nierządkiem nie szczędząc tego samego liderowi społeczności własnych rodaków na Litwie. Miało to miejsce chociażby na łamach „Gazety Polskiej”, która następująco określiła AWPL i Tomaszewskiego: „Głosem polskiego środowiska są przedstawiciele miejscowej partii putinowskiej”. Słowa te skomentował następnie prof. Zdzisław J. Winnicki, określając je mianem „odrealnionej polonofobii” oraz „szczuciem na litewskich Polaków”.

ANTYPOLONIZM FUNDAMENTEM LITWY

Jak stwierdził tymczasem prof. Piotr Łossowski, po odzyskaniu niepodległości przez Litwę wrócono do starej tezy, że mniejszość polska to w rzeczywistości spolonizowani Litwini, których wszelkimi sposobami należy sprowadzić ponownie na łono litewskości. Przed wojną pod podobnym pretekstem Litwa zniszczyła zresztą polsność w Kownie oraz na Łaudzie.

W istocie obecność Polaków autochtonów na Wileńszczyźnie obnaża fałsz tezy o „polskiej okupacji Wilna”, która według Litwinów miała miejsce w okresie międzywojennym – trudno wszak okupować samego siebie. Co więcej, to właśnie Polacy na północno-wschodnich kresach są potomkami historycznych, mickiewiczowskich Litwinów, co czyni Litwinów współczesnych uzurpatorami cudzej spuścizny.

Zapamiętałość w zwalczaniu miejscowych Polaków przez Republikę Litewską nie może więc dziwić. Podobne usprawiedliwienie trudno jednak znaleźć dla elit III RP.

O słabianym kulty Eucharystii



Paweł Chmielewski

Nie ma Kościoła bez Komunii Świętej. Jednak od czasów Soboru Watykańskiego II część katolików dla Eucharystii stopniowo zanika. Czy da się to powstrzymać?



FOT. ANDRZEJ STOK

Kościół żyje dzięki Eucharystii – napisał św. Jan Paweł II w encyklice „Ecclesia de Eucharistia”. Miał rację. Jeżeli katolik traktuje Eucharystię poważnie, to musi postrzegać ją w kategoriach największego cudu. To przecież sam Stwórca świata ukryty pod postacią chleba, ofiarowany na ołtarzu podczas każdej Mszy Świętej dla naszego zbawienia. Sobór Trydencki naucza, że wierni oddają Najświętszemu Sakramentowi kult, który należy się prawdziwemu Bogu. Stąd klękanie do Komunii Świętej, stąd adoracja Eucharystii. Niestety, od kilkudziesięciu lat część dla tego cudu systematycznie spada. Zanika rozumienie prawdy, że w sakramencie rzeczywiście obecny jest Chrystus, zanika więc nabożna część.

Kościół tymczasem naprawdę „żyje z Eucharystii”. Uczniowie Jezusa gromadzili się na jej celebracji od samego początku. „Sine dominico non possumus” (Bez niedzieli [żyć] nie możemy) – takie poruszające słowa zapisano w aktach męczenników z początku IV stulecia. Chrześcijanie byli gotowi złożyć ofiarę

z własnego życia, byle tylko przystąpić do Komunii Świętej. Kościół zawsze pieczołowicie dbał o poprawne rozumienie Eucharystii. Zdecydowanie zwalczał poglądy, które godziły w jej świętość. W XI stuleciu francuski teolog Berengariusz dowodził np., że Pana Jezusa w Eucharystii naprawdę nie ma. Pogląd musiał porzucić. Na polecenie papieża Grzegorza VII publicznie wyznał: „Ja, Berengariusz, wierzę, że chleb i wino są istotowo zmieniane w prawdziwe, właściwe i życiodajne Ciało i Krew naszego Pana”.

BRAK SZACUNKU WOBEC STWÓRCY

Katolickie nauczanie o Eucharystii w XVI stuleciu odrzucili protestanci: luteranie w części, kalwini niemal w całości. Kościół zareagował na to bardzo zdecydowanie. Sobór Trydencki ogłosił dekret o Najświętszym Sakramencie, który na długo pozostał podstawowym wykładem autentycznej chrześcijańskiej wiary. Wielką pracę w zakresie teoretycznego wyjaśnienia tej wiary wykonali także pa-

pieże po Soborze Watykańskim II, przede wszystkim Jan Paweł II i Benedykt XVI. Opublikowano encykliki i adhortacje, rzetelnie opracowano naukę eucharystyczną w katechizmie. Niestety, można odnieść wrażenie, że katolicka Tradycja w odniesieniu do Eucharystii w coraz większej mierze istnieje dziś tylko na papierze, względnie w umysłach drastycznie malejącej liczby wiernych. Dlaczego? Czy chodzi tylko o brak zainteresowania dokumentami soborów i papieży?

Problem jest dalece głębszy, a dotyczy życia liturgicznego w ogóle. Eucharystii nie celebrować się w izolacji. Z racji jej świętości towarzyszyć temu musi cały obrzęd. Stąd Sobór Watykański II słusznie powiada, że okalająca Eucharystię liturgia jest „szczytem, do którego zmierza działalność Kościoła, i zarazem jest źródłem, z którego wypływa cała jego moc”. Poważna zmiana w obrzędzie liturgicznym nie może pozostawać bez wpływu na to, jak postrzega się Najświętszy Sakrament. To zależność widoczna we wszystkich przejawach

ludzkiej aktywności. Kiedy słyszymy na ulicy śpiewaka, może nam się to nawet spodobać, ale nie czujemy się raczej skonfrontowani z czymś naprawdę wzniosłym i uroczystym dotyczącym jakby najwyższych rejonów piękna. Ten sam śpiewak wywoła zupełnie inne wrażenie w operze. Odbierzemy jego występ z powagą i należnym respektem.

Tak jest również z liturgią. Celebracja w obiektywnie brzydkim kościele, z kępską muzyką, pospieszna, po prostu byle jaka nie może nas sama z siebie poprowadzić ku uroczystej powadze. Tymczasem pełna nabożności powaga jest koniecznym warunkiem naszego spotkania z Bogiem, jako że Bóg jest nieskończenie większy od nas. Jeżeli otaczamy Najświętszy Sakrament bylejakością, to wykazujemy się rażącym brakiem szacunku wobec Stwórcy. Inaczej, niż nakazał Sobór Trydencki, nie czcimy Eucharystii w sposób należyty prawdziwemu Bogu. Lekceważenie wyrażane w architekturze, muzyce, stroju i obrzędzie negatywnie oddziałuje na nasze myślenie. Eucharystia przestaje być w naszych oczach Ciałem Boga. Staje się jakimś niedzielnym symbolem emotywnego przywiązania do Tradycji, niczym więcej.

CZYM SIĘ PRZEJMOWAĆ?

Do czego to prowadzi? Spójrzmy za Odrę. Bez spowiedzi, bez żalu za grzechy, bez czci – wszyscy ustawiają się podczas Mszy w kolejce, wyciągają rękę i biorą sobie hostię. Dlaczego? Bo tak się robi – i już. Nie dziwi nikogo, gdy po Eucharystii sięgają ludzie żyjący w związkach nieformalnych i jednopłciowych albo protestanci czy muzułmanie zaangażowani w dialog międzyreligijny. Komunia jest przecież dla każdego. To taka pamiątka miłości Jezusa. Czym się przejmować?

W encyklikach, adhortacjach i katechizmach można przedstawiać wiele ważnych prawd. Można powtarzać kategoryczne anatemy Soboru Trydenckiego. Jeżeli jednak za słowem nie będzie szła praktyka życia liturgicznego, to wszystko na nic. Najgorzej dzieje się wtedy, kiedy do lekceważenia Najświętszego Sakramentu przyczyniają się ci, których życiową misją jest dbałość o ten sakrament, to znaczy księża i biskupi. Nie wspominam już nawet o rażących nadużyciach litur-

gicznych, choć przecież i tych nie brakuje. Nie chodzi mi też o nierzadką nędzę rutyny, w której kapłan traktuje Mszę Świętą tak, jak zapalenie papierosa – coś, co trzeba odbębnić, bo tak już w życiu się ułożyło. Największym problemem są strukturalne decyzje; strategiczne rozwiązania, które skutkują wywołaniem zgorszenia wśród wiernych albo mimowolnym osłabieniem wiary w rzeczywistość eucharystyczną.

Mowa przede wszystkim o dwóch zjawiskach: Komunii Świętej na rękę oraz manipulowaniu tekstami liturgicznymi. Wbrew temu, co często się dziś mówi, udzielanie wiernym Eucharystii na rękę nie ma wcale starożytnego pochodzenia. W pierwszych wiekach obrzędowość liturgiczna była całkowicie odmienna od naszej. Komunię na rękę, tak jak my ją znamy, wprowadzili protestanci rewolucjoniści w XVI stuleciu, chcąc zademonstrować, że nie podziеляją katolickiego kultu dla Najświętszego Sakramentu. W XX w. tę praktykę w Kościele zaczęli promować progresywni teologowie z obszaru nadreńskiego. Udało im się przekonać do jej zaakceptowania Pawła VI, choć papież był bardzo krytyczny. Uwierzył jednak, że nowy obyczaj zakorzeni się już tak bardzo, iż nie da się go wyeliminować. Kiedy w latach 70. zaczęto w całym Kościele wprowadzać nową Mszę Świętą, często towarzyszyło temu właśnie udzielanie Komunii Świętej na rękę. Uważano, że nowa liturgia, bliższa protestanckiej niż Msza trydencka, powinna odejść od form wyrazu wiary postrzeganych jako „średniowieczne”. Dojrzałym i świadomym siebie chrześcijanie – sądzono – nie kłękają przed Eucharystią, a tym bardziej nie przyjmują jej od kapłana do ust.

WZIĄĆ CIAŁO BOGA DO RĘKI

W Polsce ta wyrastająca z protestantyzmu praktyka udzielania Komunii Świętej długo była nieobecna. Pod wpływem strachu przed koronawirusem polscy biskupi zalecili jej wprowadzenie i wielu wiernych już przy tym zostało. Po odwołaniu zagrożenia COVID-19 nie podjęto niestety starań na rzecz przywrócenia normalnego sposobu przyjmowania Komunii Świętej. Uznano chyba, że skoro prawo kanoniczne dopuszcza obie formy, to są równoważne. Tak nie jest, co obrazuje zarówno historia wprowadzania Komunii na rękę,

jak i sama rzeczywistość: ukłęknięcie to zupełnie inny znak niż stanięcie w kolejce, by wziąć Ciało Boga do ręki.

Drugi problem to teksty liturgiczne. Podam jeden szczególnie istotny przykład. Po Soborze Watykańskim II w niektórych krajach na świecie zmieniono słowa konsekracji. Kapłan powinien powiedzieć: „[...] to jest bowiem Kielich krwi mojej, nowego i wiecznego przymierza, która za was i za wielu będzie wylana na odpuszczenie grzechów”. W nowej wersji „za wielu” zastąpiono wyrażeniem „za wszystkich”. Innowatorzy twierdzili, że zbawcza ofiara Chrystusa została w końcu złożona za każdego człowieka, więc tak będzie lepiej. Problem w tym, że sam Jezus powiedział „za wielu”, a nie „za wszystkich”. Tak mówią nie tylko łaciński przekład Pisma Świętego, Wulgata, lecz także grecki oryginał Ewangelii. Zmiana nie czyni wprawdzie Mszy z automatu nieważną, ale jest bardzo myląca. Może prowadzić do błędnych wniosków teologicznych. Wiąże się z lekceważeniem słów Zbawiciela. Poprawia się Jezusa, tak jakby nie do końca wiedział, co chciał przekazać. Benedykt XVI prosił biskupów na świecie, by wrócili do dawnej wersji. Niestety, nie wszyscy się do tego zastosowali. Na przykład Włosi przeinaczyli słowa konsekracji już po apelu papieża, ignorując jego argumenty. W Polsce nie wprowadzono nigdy tej niedobrej zmiany. Od kilku lat trwają jednak w naszym kraju prace nad nowym tłumaczeniem Mszału Rzymskiego, czyli głównej księgi z tekstami liturgicznymi. Część katolików obawia się, że autorzy zdecydowali się na zmianę słów konsekracji. Stałoby się to niewątpliwie powodem wielkiego zamieszania, a znaczna część wiernych odebrałaby taką decyzję jako akt niewierności wobec słów Chrystusa.

W obecnej sytuacji, kiedy część dla Najświętszego Sakramentu powszechnie zanika, trzeba przecież dołożyć wszelkich starań, by ją umacniać. Obejmuje to przypomnienie o realnej obecności Chrystusa w Eucharystii, staranie o godną formę przyjmowania Komunii Świętej i wreszcie wierność wobec ewangelicznego oryginału słów Chrystusowych. To wszystko powinno być fundamentalną troską wszystkich pasterzy Kościoła na świecie.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest publicystą portalu PCh24.pl.



Rafał Łatka

Konrad Straszewski bez wątpienia należał do najbardziej skutecznych funkcjonariuszy aparatu bezpieczeństwa. Miał na koncie wiele werbunków agenturalnych duchownych wysokiego szczebla

Kościół katolicki przez niemal cały okres istnienia Polski „ludowej” był traktowany przez komunistów jako jeden z największych wrogów dla ich władzy. Z tego też względu od samego początku tworzono instytucje, które miały odpowiadać za jego inwigilację, represjonowanie oraz kontrolę. Za działania jawne odpowiadał Urząd do spraw Wyznań – instytucja wzorowana na sowieckiej Radzie do spraw Kultów Religijnych. Za tajne działania wymierzone w Kościół odpowiedzialny był aparat bezpieczeństwa, który posiadał przeznaczone do tego struktury (od 1962 r. był to już osobny Departament IV MSW). Konrad Straszewski był w tym zakresie postacią istotną, gdyż jako naczelnik, wicedyrektor, a później dyrektor pionu antykościelnego odpowiadał za programowanie i wdrażanie działań przeciwko Kościołowi katolickiemu. W bezpieczeństwie przeszedł całą ścieżkę kariery od funkcjonariusza niskiego szczebla aż do rangi podsekretarza stanu w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych.

CZŁOWIEK Z POLECENIA

Straszewski urodził się 19 lutego 1927 r. w Czarniejewie w powiecie gnieźnieńskim. Pochodził z rodziny chłopskiej; był synem Marcina i Zofii z domu Bachmann. Szkołę powszechną ukończył we Wszemborzy koło Wrześni w 1933 r., a następnie pracował w zakładzie kołodziejskim ojca. W 1947 r. zdał małą maturę; dwa lata później został absolwentem Liceum Pedagogicznego Towarzystwa Przyjaciół Dzieci w Poznaniu. W latach 1949–1951 pracował jako kierownik pedagogiczny w prewentorium TPD w Jeziorach. Od stycznia 1951 r. do czerwca 1952 r. był zatrudniony w Ośrodku Szkoleniowym Prezydium

Esbek od inwigilacji Kościoła



Konrad Straszewski, fotografia z akt osobowych, 1952 r. FOT. AIPN

Rady Ministrów w Poznaniu, a po tym, jak ośrodek został zlikwidowany, trafił do Ośrodka Szkoleniowego Prezydium Rady Ministrów w Józefowie pod Otwociem. Z tego względu w ankietach personalnych bezpieki podawał jako zawód wyuczony: nauczyciel. 3 maja 1952 r. wziął ślub z Eleonorą z domu Brzezińską (ur. 1928). Rok później urodziła się ich jedyna córka, Hanna.

Podanie o przyjęcie do Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego złożył w czerwcu 1952 r. Był już wówczas (od 1950 r.) członkiem PZPR. Do bezpieki trafił z polecenia swojej siostry Saby Kwiecińskiej i jej męża Stanisława Kwiecińskiego – oboje byli funkcjonariuszami aparatu bezpieczeństwa. Kwieciński był wówczas zastępcą naczelnika Wydziału VI Departamentu V MBP, a więc osobą pełniącą funkcję kierowniczą, i jego rekomendacja z pewnością przyczyniła się do zatrudnienia Straszewskiego.

Bohater tego tekstu został zatrudniony w MBP 21 sierpnia 1952 r. na stanowisku starszego referenta w Sekcji 1 Wydziału V. Kilka miesięcy później trafił do Departamentu XI odpowiedzialnego za zwalczanie Kościołów i związków wyznaniowych – i od tego momentu zaczął się specjalizować w inwigilacji duchowieństwa. Pracował tam jako starszy referent w Sekcji 3 Wydziału II. W lutym 1954 r. objął swoją pierwszą funkcję kierowniczą. Został wtedy kierownikiem Sekcji 3 Wydziału II Departamentu XI. Wtedy też po raz pierwszy przełożeni Straszewskiego dostrzegli coś, co miało być jego późniejszą specjalnością, czyli umiejętność pracy z agenturą. W charakterystyce z 16 grudnia 1953 r. wskazywano, że wykazuje on „samodzielność i inicjatywę w wykonywaniu poważniejszych przedsięwzięć operacyjnych /werbunki i opracowanie kandydatów/. Z agenturą pracuje dobrze, starannie przygotowuje się do spotkań, tak jak do innych przedsięwzięć operacyjnych”.

Po rozwiązaniu MBP Straszewski został 1 kwietnia 1955 r. kierownikiem sekcji 1 Wydziału II Departamentu VI Komitetu do spraw Bezpieczeństwa Publicznego. Już wówczas był postrzegany jako pracownik perspektywiczny i dobrze obeznany z pracą operacyjną. W dalszej karierze nie przeszkodziło mu nawet śledztwo prokuratury miasta stołecznego Warszawy z lat 1956–1957 w sprawie



Ojciec Mieczysław Albert Krąpiec
(TW ps. Józef w latach 1958–1990) FOT. KUL

zaginięcia z depozytu 105 rubli w złocie, w którym był jednym z głównych podejrzanych. Sprawa, choć formalnie zakończona, wróciła po kilku latach. W dokumencie dotyczącym tej problematyki z 1966 r. wskazywano: „Sprawa ta mimo jej zakończenia do dnia dzisiejszego budzi poważne wątpliwości, ponieważ nikt z pracowników, a zwłaszcza ppłk Straszewski, jako bezpośrednio odpowiedzialny za depozyt, nie został ukarany. Z tytułu tego wśród funkcjonariuszy naszego ministerstwa krążą różne pogłoski na temat ppłk. Straszewskiego, jakoby on miał być głównym sprawcą kradzieży tych rubli. Pogłoski te są kojarzone z posiadaniem trzech samochodów osobowych kupionych przez ppłk. Straszewskiego w ciągu czterech lat”.

Po ustanowieniu Służby Bezpieczeństwa jako pionu podporządkowanego Ministerstwu Spraw Wewnętrznych Straszewski został 1 stycznia 1957 r. starszym oficerem operacyjnym w Wydziale V Departamentu III (odpowiedzialnym m.in. za inwigilację Kościołów i związków wyznaniowych), w stopniu porucznika MO. Bardzo szybko awansował, już rok później został zastępcą naczelnika we wspomnianym wyżej wydziale. Równocześnie został awansowany do stopnia kapitana MO. Przełożeni byli zadowoleni z jego pracy, a szczególnie z pomysłowości w działaniach operacyjnych. Z tych względów w czerwcu 1961 r. został mianowany majorem, a od 1 marca 1962 r. miał objąć funkcję starszego inspektora w grupie operacyjnej podporządkowanej

bezpośrednio dyrektorowi Departamentu III, Stanisławowi Morawskiemu.

Wspomniana specjalnie wydzielona grupa oficerów SB miała się specjalizować w inwigilacji Kościoła katolickiego, ze szczególnym uwzględnieniem jej kierowniczych struktur. W MSW nastąpiła jednak kolejna reorganizacja, utworzono osobny antykościelny Departament IV. To właśnie tam został przydzielony Konrad Straszewski. Wynikało to z tego, że wspomniany już wyżej ppłk Morawski bardzo wysoko oceniał aktywność bohatera tego tekstu w działaniach operacyjnych wymierzonych w duchowieństwo.

Z tego też względu zaproponował w 1962 r. ministrowi spraw wewnętrznych Władysławowi Wisze, by mianować Straszewskiego wicedyrektorem nowo powstałego departamentu. Wniosek ministra nie zyskał jednak aprobaty KC PZPR. Wydaje się, że mógł o tym zdecydować stosunkowo młody wiek Straszewskiego, który miał wówczas zaledwie 35 lat i nie posiadał wykształcenia wyższego. Ostatecznie został naczelnikiem Wydziału I Departamentu IV MSW 15 czerwca 1964 r.; w lipcu mianowano go podpułkownikiem. Wydział I był bez wątpienia najważniejszy w antykościelnym departamencie, gdyż odpowiadał za inwigilację struktur kierowniczych Kościoła katolickiego, w tym również za działania wymierzone w Katolicki Uniwersytet Lubelski.

OFICER PROWADZĄCY

Straszewski już wówczas dał się poznać jako funkcjonariusz niezwykle operatywny, mający wiele nowatorskich pomysłów na rozpracowywanie duchowieństwa. W latach 60. prowadził także wiele istotnych osobowych źródeł informacji, w tym m.in. trzech wybitnych księży profesorów: późniejszego rektora KUL o. Mieczysława Alberta Krąpca (TW ps. Józef w latach 1958–1990); ks. Jana Stępnia, rektora Akademii Teologii Katolickiej w latach 70. (TW ps. Stolarski w latach 1953–1987) i ks. Aleksa Petraniego, cenionego wykładowcę KUL (TW ps. Kwiatkowski i Kwieciński w latach 1955–1978).

Warto zatrzymać na chwilę przy tym pierwszym, gdyż jego przypadek został już opisany w publikacjach Dariusza Rosiaka i o. Józefa Puciłowskiego. Obydwaj nie mieli żadnych wątpliwości co do tożsamości

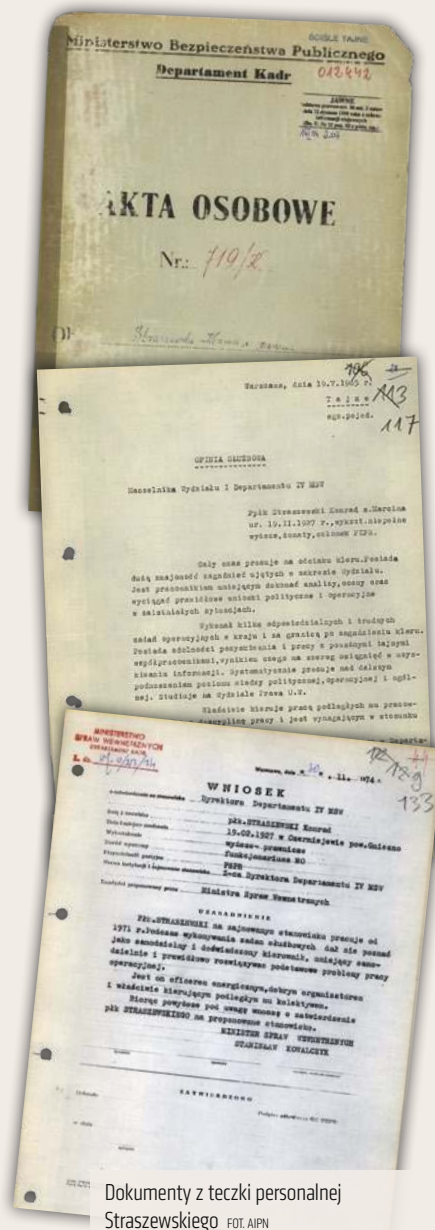
■ TW „Józefa” i jego szkodliwości jako tajnego współpracownika SB. Ojciec Krąpiec nie był jednakże zwyczajnym osobowym źródłem informacji, gdyż nie tylko przekazywał istotne dla aparatu bezpieczeństwa informacje, lecz także korzystał ze wsparcia bezpieki w karierze (poniekąd dzięki dużej pomocy SB został dwukrotnie rektorem KUL). Sugerował, jakie działania aparat bezpieczeństwa powinien podejmować, by zmarginalizować środowiska opozycyjne na katolickiej uczelni, a także prezentował pomysły dogodne dla niego osobiście – jak połączenie KUL i ATK (bez wątplenia siebie widząc w roli rektora tak powstałej uczelni).

Ojciec Krąpiec brał udział także, obok m.in. ks. Stępnia, w akcji specjalnej aparatu bezpieczeństwa przeprowadzonej podczas drugiej sesji Soboru Watykańskiego II, czyli przygotowaniu memoriału o kulcie maryjnym w Polsce. Wspomniany dokument przekazany ojcom soborowym miał pokazywać rzekome zacofanie polskiego Kościoła i kard. Stefana Wyszyńskiego, „ulegających” heretyckim nieomalże tendencjom. Memoriał przyniósł bez wątpienia nadwzajemne autorytetu polskich biskupów, choć szybka reakcja Episkopatu Polski i przygotowanie odpowiedzi przekazanej biskupom zgromadzonemu w Rzymie zapobiegły poważniejszym stratom wizerunkowym w Stolicy Apostolskiej.

Nieprzypadkowo w grupie autorów wspomnianego memoriału znalazła się spora reprezentacja duchownych, tajnych współpracowników SB, których oficerem prowadzącym był Straszewski. Edward Kotowski – jeden ze współpracowników bohatera tego tekstu, z okresu, gdy pracował w SB – trafnie zauważył w korespondencji wysłanej w 2013 r. do Dariusza Rosiaka: „Konrad Straszewski wywiera na ludziach bardzo dobre wrażenie, tak sposobem bycia, jak i używaną argumentacją. Bardziej pasuje określenie »wybitny dyplomata« aniżeli »oficer specśłużb«. W dodatku jest to człowiek bardzo samodzielny w podejmowanych decyzjach. Miał wielkie uznanie u Stanisława Kani, z którym od wielu lat pozostawał w bezpośrednim kontakcie”.

ROZMOWY NA SZCZYCIE

W dekadzie rządów Władysława Gomułki Straszewski zadbał o wykształ-



Dokumenty zteczki personalnej Straszewskiego. FOT. AIPN

cenie. W 1966 r. uzyskał magisterium na Wydziale Prawa Uniwersytetu Warszawskiego na podstawie pracy „Sytuacja prawna wyższych uczelni katolickich i seminariów duchownych w Polsce”. Bez wątplenia wiedział dokładnie, o czym pisze, gdyż tą problematyką zajmował się jako naczelnik w Departamencie IV MSW. Stąd pewne zaskoczenie musi budzić ocena – zaledwie dobra – na dyplomie magisterskim. W 1968 r. Straszewskiego awansowano na pułkownika MO. 1 czerwca 1971 r. został wicedyrektorem Departamentu IV – władze centralne PZPR tym razem nie wyraziły żadnych zastrzeżeń.

Jego i tak już znaczący wpływ na antykościelne działania aparatu bezpieczeństwa wzrósł jeszcze bardziej. Straszewski korygował metody działania Departamentu IV w kierunku wzrostu znaczenia metod dezintegracyjnych i manipulacyjnych. W listopadzie 1973 r. był współtwórcą i pierwszym kierownikiem Grupy „D” w Departamencie IV, prowadzącej działania dezintegracyjne wobec duchowieństwa, przestępście nawet z punktu widzenia prawa PRL.

Osiągnięcia Straszewskiego były doceniane przez kierownictwo MSW, dlatego już 1 grudnia 1974 r. awansował na dyrektora Departamentu IV MSW, w październiku 1975 r. zaś został generałem brygady MO. Wspomnianą strukturą kierował w latach 1974–1981. Jednym z jego istotnych osiągnięć było rozbudowanie sieci tajnych współpracowników. W czasie, gdy był wicedyrektorem i dyrektorem antykościelnych struktur, odpowiadał także za aktywność w zakresie lojalizowania hierarchii kościelnej.

Nieprzypadkowo właśnie w 1971 r. rozpoczęła się szeroka zakrojona akcja rozmów z biskupami w całej Polsce. Chodziło nie tyle o pozyskanie ich do współpracy agenturalnej (to był oczywiście cel maksimum), ile o spowodowanie, by hierarchia kościelna nie włączała się do działań opozycyjnych wobec władz. Udało się w tej kwestii aparatowi bezpieczeństwa osiągnąć dość istotne efekty. Warto to wyjaśnić na dwóch konkretnych przykładach: bp. Bolesława Pyłaka oraz bp./abp. Henryka Gulbinowicza.

Biskup Pylak, wówczas już od 1975 r. ordynariusz lubelski, był długoletnim tajnym współpracownikiem SB o ps. Teolog i Bolesław (współpraca trwała w latach 1959–1965 i 1971–1990). W okresie swoich rządów biskupich prezentował wobec władz postawę niezwykle uległą. Wydział IV SB w Lublinie wskazywał nawet w 1978 r., że kuria biskupia nie sprawa bezpieczeństwa żadnych problemów. Wiele wskazuje na to, że w latach 1975–1985 bp. Pyłak prowadził osobiście właśnie gen. Straszewski.

Drugi przykład wiąże się z dialogiem operacyjnym, który funkcjonariusze SB prowadzili z bp. Gulbinowiczem od 1969 r. Kierownictwu Departamentu IV

niewątpliwie bardzo zależało w 1975 r. na doprowadzeniu do spotkania Straszewskiego z ówczesnym administratorem apostolskim w Białymstoku. Biorąc pod uwagę koincydencję czasową i późniejsze wydarzenia, można postawić hipotezę, że tematem spotkania mogła być kwestia warunków, na których władza komunistyczna wyraziłaby zgodę na nominację hierarchy na metropolitę wrocławskiego. Dla władz był on osobą do zaakceptowania ze względu na trwającą od ponad sześciu lat rozmowę z SB, które hierarcha ukrywał przed kard. Wyszyńskim i episkopatem, oraz umiarkowane stanowisko w zakresie relacji państwo – Kościół. W przeciwieństwie do kandydatów wysuwanych wcześniej przez stronę kościelną Gulbinowicz nie był oceniany przez władze jako człowiek bezwzględnie lojalny wobec kard. Wyszyńskiego. Ostatecznie, 2 grudnia 1975 r., władze wyraziły zgodę na nominację tegoż hierarchy na metropolitę wrocławskiego, a w styczniu 1976 r. ogłoszono ją publicznie.

Arcybiskup Gulbinowicz spotykał się jeszcze przynajmniej trzykrotnie z gen. Straszewskim. Spotkania z przyszłym podsekretarzem MSW odbyły się z inicjatywy aparatu bezpieczeństwa i toczyły się w przyjaznej atmosferze. Mimo początkowych obiekcji abp Gulbinowicz godził się na rozmowy z szefem pionu odpowiadającego za inwigilację Kościoła. Ostatnie udokumentowane spotkanie Straszewskiego z Gulbinowiczem odbyło się pod koniec kwietnia 1977 r., w willi MSW w Konstancinie, i tym razem atmosfera również była serdeczna, a metropolita wrocławski „starał się przedstawiać siebie jako człowieka, który nie zamierza prowadzić do konfliktów i zdrażeń, pragnie mieć dobre stosunki z władzami, a wszystkie sprawy załatwiać legalnie. Podkreślał, że nie ma żadnych nadzwyczajnych żądań i wymagań, a zwraca się z prośbą jedynie o to, co jest naprawdę konieczne”. W dalszej części rozmowy hierarcha deklarował się jako rzecznik procesu normalizacji relacji państwo – Kościół.

Należy też zwrócić uwagę, że rozmowy bp. Gulbinowicza ze Straszewskim nie były jedynymi przypadkami bezpośrednich spotkań hierarchów Kościoła katolickiego z tym wysokim rangą funkcjonariuszem SB. 8 grudnia 1971 r.



Oficjalne kontakty z Kościołem były często wykorzystywane w pracy operacyjnej SB. Na zdjęciu: delegacja partyjno-rządowa w rozmowie z biskupami. Uroczystości pogrzebowe prymasa Polski kard. Stefana Wyszyńskiego w maju 1981 r. FOT. ZBIGNIEW MATUSZEWSKI/CAF/PAP

doszło do rozmowy bohatera tego tekstu (występującego pod nazwiskiem Dąbrowski) z bp. Lechem Kaczmarkiem, świeżo mianowanym przez papieża Pawła VI ordynariuszem gdańskim (stało się to 2 grudnia). Rozmowa dotyczyła ograniczenia wszelkich inicjatyw kościelnych związanych z pierwszą rocznicą rewolty Grudnia '70. Nie był to jednak jedyny ani najważniejszy temat, bo ten stanowiła kwestia awansu kościelnego bp. Kaczmarka. Wicedyrektor Straszewski sugerował, że jego nominacja nie dokonała się bez wsparcia MSW. Ten wpływ rzeczywiście mógł mieć miejsce, gdyż początkowo władze PRL nie zamierzały się zgodzić na jego kandydaturę, ale w lipcu zmieniły decyzję w tej sprawie. W dokumentach źródłowych – zarówno z zasobów kościelnych, archiwum narodowego, jak i Archiwum IPN, nie ma śladów innych rozmów bp. Kaczmarka z funkcjonariuszami SB tego szczebla, co Straszewski. Biskup Kaczmarek na indagację wicedyrektora Departamentu IV odpowiedział zupełnie inaczej niż bp. Gulbinowicz w analogicznej sytuacji: „Nikomiu nie pragnę zawdzięczać biskupstwa, jak tylko Panu Bogu i papieżowi. Nie uważam tej nominacji za powód do wielkiej radości, lecz za okazję do cierpienia”.

DROGA DO BIZNESU

Sukcesy w zarządzaniu antykościelnym pionem SB przyczyniły się

do dalszych awansów Straszewskiego. W listopadzie 1981 r. został dyrektorem generalnym MSW, nieco ponad rok później, w lutym 1983 r., mianowano go zaś podsekretarzem stanu w tym samym ministerstwie (we wrześniu 1984 r. został generałem dywizji). Na tym drugim stanowisku nadzorował Biuro Śledcze i Organizacyjno-Prawne. Ze stanowiska wiceministra został odwołany 2 sierpnia 1985 r., a 5 kwietnia 1986 r. przeszedł na emeryturę. Usunięcie z funkcji w MSW sam bohater tego tekstu wiązał z niechęcią do niego gen. Czesława Kiszcza. Straszewski w 1988 r. został doradcą w firmie Hodak-Baum, a następnie wiceprezesem spółki nomenklaturowej Gromada Tourist. Zmarł 9 października 2019 r. w Warszawie.

Konrad Straszewski bez wątpienia należał do najbardziej skutecznych funkcjonariuszy aparatu bezpieczeństwa. Miał na koncie wiele werbunków agenturalnych duchownych wysokiego szczebla, odpowiadał także za wdrożenie metod dezintegracyjnych i manipulacyjnych w działaniach SB wobec Kościołów i związków wyznaniowych. Przyczynił się z pewnością do zwiększenia poziomu lojalizacji hierarchii kościelnej w latach 70. XX w., gdy był wicedyrektorem, a następnie dyrektorem antykościelnego Departamentu IV MSW.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

Doktor habilitowany Rafał Łatka, profesor UKSW, pracownik BBH IPN.



LESZEK ŻEBROWSKI

KOMUCHOŻERCA

Sitwa 5. Brygady



Dziś słowo „sitwa” bardzo źle się nam kojarzy – z polityką i korupcją. Kiedyś to słowo miało pozytywne skojarzenia. Tak było np. w wojsku, gdzie sitwa oznaczała szacunek i solidarność. W 1946 r. środowisko 5. Wileńskiej Brygady Żubrów wydało okolicznościową księgę pamiątkową, poświęconą własnej jednostce. Dziś o tym zapominamy, ale 2. Korpus Polskich Sił Zbrojnych (PSZ) we Włoszech słynął z licznych publikacji i albumów sławiących polski oręż w walce z Niemcami. Pozostawił po sobie imponującą spuściznę literacką i pamiątnikarską.

Publikacja Sitwy to był trzeci tom Wydawnictwa Pamiątkowego Zgrupowania 5. Wileńskiej Brygady (Rzym, 1946). Jest to zbiór wspomnień i relacji z niedawnych walk, zredagowany przez towarzyszy broni „na wieczną rzeczy pamiątkę”. Inicjatywa ze wszech miar godna przypomnienia, tym bardziej że obecne Wojsko Polskie ma mieszany (niestety) rodowód i związany z tym ethos.

Miano „Żubrów” jednostka otrzymała na pamiątkę Wileńszczyzny, skąd wywodziło się bardzo wielu jej żołnierzy, którzy trafili do Polskich Sił Zbrojnych z Syberii po sowieckich wywózkach w latach 1940–1941. Chodziło bowiem o „żubry kresowe”. Przewodniczącym Komitetu Redakcyjnego był płk dypl. Wacław Jacyna, m.in. szef sztabu 5. Wileńskiej Brygady Piechoty, która wchodziła

w skład 5. Kresowej Dywizji Piechoty. Brała udział w kampanii włoskiej, walcząc m.in. pod Monte Cassino, kończąc walki w kampanii bolońskiej.

Członkami Komitetu Redakcyjnego byli wyłącznie żołnierze PSZ, oficerowie i podoficerowie. Mieli oni dbać nie tylko o ethos jednostki, lecz także o odpowiedni poziom merytoryczny. Zaletą wydawnictwa są zamieszczone w nim zdjęcia. I o nie tu właśnie chodzi.

Wśród nich są też zdjęcia dokumentujące... Brygadę Świętokrzyską NSZ. Po zakończeniu działań wojennych na stosowne szkolenia do 2. Korpusu przyjmowane były grupy liczące nawet po kilkudziesięciu żołnierzy NSZ. Nic dziwnego, BŚ miała bowiem wejść w skład przewidywanej do sformowania 4. Dywizji Pancerniej, jako jej trzon. Dopływ polskich partyzantów byłby czymś zupełnie naturalnym, tak samo, jak to miało miejsce w przypadku jednostek komandosów 2. Korpusu, gdzie przyjmowani byli oni z entuzjazmem.

Warto odnotować fakt, że w dokumentacji zdjęciowej Żubrów znalazły się też fotografie żołnierzy NSZ. Na zdjęciach widać bardzo wyraźnie ich mundury i oznaczenia na rękawach świadczące o tym, że są to żołnierze NSZ. Dziś prostowanie tego typu wpadek i pomyłek nie ma sensu. Ale może warto o tym pamiętać w obliczu negatywnej kampanii wobec nich? ©



SŁAWOMIR KOPER

HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Koronacja Jagiellończyka

Wprawdzie naturalnym następcą poległego pod Warną Władysława Warneńczyka wydawał się 17-letni Kazimierz, panujący na Litwie, ale jego kandydatura wzbudzała poważne kontrowersje. Pamiętano, że pozwolił miejscowym bojarom ogłosić się wielkim księciem wbrew woli brata. Uznano jednak, że nie ma wyboru, i wysłano do Wilna poselstwa oferujące młodocianemu księciu tron w Krakowie.

Kazimierz odmówił, tłumacząc, że wciąż nie ma pewności w sprawie śmierci Władysława, wobec czego nie należy się spieszyć z wyborem kolejnego monarchy. Było to jednak działanie na czas, wielki książę nie zamierzał bowiem potulnie zgadzać się na polskie warunki. Odmowa Kazimierza wywołała wśród polskich możnych konsternację. Nie było żadnego innego sensownego kandydata. Nie spodziewano się też, że Kazimierz odmówi. Przez ostatnie lata możni przyzwyczaili się do słabych władców na Wawelu. Początkowo był to stary Jagiełło, potem nieletni lub nieobecny Warneńczyk. Teraz natomiast pojawiał się młody, ambitny i cierpliwy członek dynastii, który potrafił też wyciągać wnioski z błędów innych.

Cztery lata spędzone na Litwie były dla młodego Kazimierza dobrą szkołą życia. Przyjechał tam jako 13-letni

chłopiec i z bliska przyglądał się metodom sprawowania władzy przez bojarów. Zapewne dlatego po śmierci brata zachował się w sposób nadzwyczaj dojrzały. Gdy pojawiło się u niego kolejne polskie poselstwo z Oleśnickim na czele, znów odroczył sprawę, zobowiązując się do odpowiedzi w ciągu roku. Jednocześnie zapowiedział, że w przypadku obioru innej osoby na króla w Polsce będzie zwalczał nowego monarchę wszelkimi dostępnymi środkami, gdyż władzę w Krakowie traktuje jako swój naturalny spadek.

W tej sytuacji małopolscy magnaci szukali innego kandydata, zainteresowanie polskim tronem wyrazili Fryderyk Hohenzollern i dwaj książęta mazowieccy: Bolesław i Władysław. Nie mieli jednak szans na rywalizację z Kazimierzem, którego rycerstwo uznawało za naturalnego następcę ojca i brata. Wreszcie Jagiellończyk uznał, że dalsza zwłoka nie przyniesie już nic dobrego, i prawie dwa lata po bitwie pod Warną zgodził się przyjąć polską koronę. Koronacja odbyła się 25 czerwca 1447 r., chociaż datę i godzinę uroczystości astrologowie uznali za nie-szczęśliwą. Z tego powodu złe wróżyono nowemu panowaniu. Na szczęście tym razem specjaliści od czytania w gwiazdach nie mieli jednak racji. Kazimierz Jagiellończyk okazał się jednym z najwybitniejszych polskich władców. ©

PRZEWODNIK TURYSTYCZNY PO I RZECZYPOSPOLITEJ

Miasto unii kozacko-polskiej



JACEK KOMUDA

Hadziacz na Ukrainie zadnieprzańskiej, dziś blisko linii frontu, w czasach XVII-wiecznych wojen kozackich znany był przede wszystkim z zawarcia ugody 16 września 1658 r. Miał to być akt kończący krwawe walki na Ukrainie, których początkiem stał się bunt Bohdana Chmielnickiego w 1648 r.

Ugoda hadziacka powoływała po raz pierwszy Księstwo Ruskie złożone z trzech kresowych województw – kijowskiego, braclawskiego i czernihowskiego. W założeniu miał to być trzeci, po Koronie i Litwie, człon Rzeczypospolitej. Wspólni mieli być król, sejm i senat, natomiast księstwo miało dysponować własnym skarbem i aparatem urzędniczym

podległym hetmanowi wojska zaporoskiego zatwierdzanemu przez króla, ale wybieranego przez Kozaków. Ich liczbę ustalono ostatecznie na 30 tys., przy czym 1 tys. miał otrzymać nobilitację od

razu, a co roku kolejnych 100 miało być zaliczone do grona herbowych każdego roku. Unia na terenie księstwa miała zostać zniesiona, a metropolita kijowski i pięciu władków uzyskiwali stałe miejsca w senacie Rzeczypospolitej. W Kijowie miała powstać akademii ciesząca się podobnymi przywilejami co krakowska. Mieli jednak z niej zostać wykluczeni protestanci i arianie: „Aby w tej Akademii żadnych sekt: ariańskiej, kalwińskiej, luterskiej profesorów, mistrzów i studentów nie było”. Oprócz tego zapowiadano powstanie także drugiej akademii cieszą-

cej się podobnymi przywilejami. Na terenie księstwa można było zakładać gimnazja, kolegia, szkoły i drukarnie, a ugoda gwarantowała wolność słowa, wyjąwszy druki obrażające króla. Dodatkowo obiecywała amnestię dla Kozaków, a szlachta mogła wrócić bezpiecznie do swoich dóbr.

Porozumienie uchroniło Rzeczpospolitą, wciąż zajętą wojną ze Szwecją, od ataku moskiewskiego, gdyż armie carskie skierowały się teraz przeciwko Ukrainie. W następnym roku hetman Iwan Wyhowski, wsparty posiłkami tatarskimi i polskimi, pobił Moskali pod Konotopem, jednak nie dał rady ocalić unii. Największy cios zadała mu sama Rzeczpospolita, Sejm zatwierdził bowiem porozumienie, ale bez niektórych punktów – przede wszystkim nie zgodził się na utworzenie Księstwa Ruskiego i pełne prawo do wybierania hetmana przez Kozaków. To wszystko sprawiło, że na Ukrainie wybuchły bunt, a już we wrześniu, rok po Hadziaczu, czarna rada pozbawiła Wyhowskiego buławy, a właściwie regencji, gdyż hetmanem był małoletni syn Chmielnickiego – Jurij. Gdy rada zatwierdziła go na tym stanowisku, odnowił on układ perejasławski z Moskwą, który jednak okazał się bardziej niekorzystny niż okrojona ugoda hadziacka. Tak rozpoczął się na Ukrainie okres wyniszczających wojen domowych znanych jako „ruina”, który doprowadził do podziału na Prawobrzeże, zależne od Rzeczypospolitej, i Lewobrzeże – od Moskwy.

Historia Hadziacza przed zawarciem ugody była równie burzliwa. Miasteczko było królewską przysługą, którą trzymał w dożywotnim władaniu hetman Stanisław Koniecpolski. Po jego śmierci okazało się, że zarówno książę Jeremi

Wiśniowiecki, jak i syn hetmana – Aleksander – posiadają królewskie nadania tego miejsca. Kiedy ten ostatni zablokował w kijowskim sądzie wpisanie intromisji przez urzędnika królewskiego, Wiśniowiecki zebrał do 7 tys. uzbrojonych ludzi, przydał im artylerię i zajął szturmem nie tylko Hadziacz, lecz także przyległe włości. Ostatecznie sprawa miała zostać rozstrzygnięta na sejmach; jednak na pierwszy kniaź Jarema się nie stawił, na kolejnym wymógł się chorobą, przyjechał dopiero na ten 29 kwietnia 1647 r., wkraczając do Warszawy na czele czterotysięcznego orszaku zbrojnych. Tydzień później do stolicy przybył na czele mniejszego hufca Aleksander Koniecpolski. Zażądał jednak od Wiśniowieckiego przysięgi, że na poprzednim sejmie nie stawił się naprawdę z powodu choroby. To rozwścieczyło księcia tak bardzo, że zebrał swoich ludzi, po czym przemówił do nich, prosząc, że jeśli zostanie zmuszony do przysięgania, aby „kończyli to, co zaczęli”, co oznaczało, jak sam oświadczył: „Z tym się deklarował, że jeśli przysiężne, zaraz wstawszy, chorążego szablą miał ciąć i wszystkich sieć, którzyby się przy nim opowiadali, by i króla samego. A wy – powiada – wszyscy co do jednego, do senatorskiej izby wciśnijcie się, a posiłkujcie mnie!”. Wiśniowiecki namawiał po prostu do przelania krwi w czasie sejmku, pod boki króla. Na szczęście senatorowie prawie siłą zmusili Koniecpolskiego do tego, aby darował przeciwnikowi przysięgę. W sumie opłaciło mu się to, bo wyrokiem sądu sejmowego Wiśniowiecki musiał zwrócić Hadziacz Koniecpolskiemu. Czy jednak kniaź Jarema uczynił to przed wybuchem rok później powstania Chmielnickiego – nie wiadomo. ©



RYS. J. B.

Netanjahu marzy o hegemonii



Jacek Przybylski

Izraelski premier próbuje przekonywać, że atak na Iran miał zapobiec wyprodukowaniu przez ten kraj broni atomowej. Różne raporty pokazują jednak, że to tylko zasłona dymna. Prawdziwym celem nowej wojny jest obalenie reżimu ajatollahów, będącego głównym regionalnym rywalem Izraela

Izrael zbombardował m.in. siedzibę Irańskiego Państwowego Radia i Telewizji (IRIB) w Teheranie

FOT. BERNO/SIPA/EAST NEWS

Po rozpoczęciu w nocy z 12 na 13 czerwca zmasowanych ataków bombowych i raketowych na obiekty oraz główne miasta w Iranie izraelski rząd tłumaczył oficjalnie, że dokonał ataku prewencyjnego. Władze w Tel Awiwie oskarżyły wówczas reżim w Teheranie, że ten przyspieszył prace nad zdobyciem broni atomowej, która miałaby stanowić egzystencjalne zagrożenie dla izraelskiej państwowości.

W ciągu pierwszego tygodnia nowej wojny na Bliskim Wschodzie izraelskie siły zbrojne uszkodziły m.in. największą fabrykę wzbogacania uranu w Natanz (zniszczona została prawdopodobnie

zdecydowana większość z ok. 15 tys. wirówek wzbogacających), zakład konwersji uranu w Isfahanie, zakład produkcji paliwa reaktorowego w Teheranie, dwa ośrodki produkujące komponenty do wirówek wzbogacających uran (w Teheranie i Karadżu). Izraelskie lotnictwo uderzyło również w reaktor z ciężką wodą w Arak. Izrael dokonał także egzekucji co najmniej 10 czołowych irańskich naukowców zajmujących się programem atomowym.

Aby zwiększyć prawdopodobieństwo całkowitego unicestwienia irańskiego programu jądrowego, Izrael musiałby jednak jeszcze zniszczyć zakład wzo-

gacania uranu Fordo. Kłopot w tym, że Irańczycy, spodziewając się izraelskich nalotów, zbudowali ten ośrodek w górach, na głębokości ok. 80–100 m pod powierzchnią ziemi. Głęboko ukryty i dodatkowo wzmocniony obiekt jest więc odporny na wszelkie konwencjonalne bomby, które znajdują się w arsenale sił zbrojnych Izraela, i chroniony przez wyprodukowane w Rosji systemy raketowe ziemia–powietrze. Te ostatnie zostały już prawdopodobnie zniszczone przez izraelskie lotnictwo. Aby jednak zniszczyć z powietrza sam ośrodek znajdujący się głęboko wewnątrz góry, władze w Tel Awiwie potrzebują bezpośredniego



jedna za drugą, dzięki czemu są w stanie dostawać się coraz głębiej i głębiej.

Amerykanie nie mogą jednak po prostu przekazać takich bomb izraelskiej armii. Zdolne do jej przenoszenia są bowiem wyłącznie amerykańskie bombowce strategiczne B-2 Spirit. Te zaś stoją jedynie w hangarach sił powietrznych USA. Teoretycznie jest tu jeszcze jeden problem: Northrop Grumman, producent bombowców B-2, podaje oficjalnie, że mogą one przenosić ładunek o maksymalnej wadze 18 000 kg. W praktyce jednak Amerykanie testowali już z sukcesem loty bombowcami B-2 z dwoma bombami GBU-57 A/B jednocześnie. W razie wydania przez amerykańskiego prezydenta stosownego rozkazu te supernowoczesne bombowce mogą zaś znaleźć się nad dowolnym celem na świecie w ciągu zaledwie kilku godzin (ich zasięg bez konieczności międzylądowania wynosi ok. 11 tys. km lub nawet 18,5 tys. km z jednym tankowaniem w powietrzu).

W amerykańskim arsenale znajduje się też inna bomba, o której dyskutuje się w kontekście wojny z Iranem: to 10-tonnowa bomba GBU-43/B MOAB, znana też jako „matka wszystkich bomb”, użyta po raz pierwszy w Afganistanie 13 kwietnia 2017 r., podczas próby zniszczenia podziemnych tuneli tzw. Państwa Islamskiego.

Gdyby Amerykanie ostatecznie odmówili włączenia się do wojny po stronie Izraela (co wydaje się wyjątkowo mało prawdopodobne), władze w Tel Awiwie mogą próbować doprowadzić do zniszczenia ośrodka w Fordo. Jak poinformował „The Times of Israel”, siły zbrojne Izraela mają opracowane awaryjne plany ataku na irańskie instalacje, np. przy użyciu oddziału komandosów.

IRAŃSKA BROŃ JĄDROWA?

– Nie chcemy zawieszenia broni, chcemy kompletnego i totalnego zwycięstwa, czyli braku broni jądrowej Iranu – oświadczył w środę amerykański prezydent Donald Trump, który w ubiegłym tygodniu z powodu wojny izraelsko-irańskiej skrócił swój udział w spotkaniu przywódców klubu G7 w kanadyjskim Calgary, by pilnie udać się na strategiczną naradę do Białego Domu.

Jeszcze wcześniej izraelski premier Benjamin Netanjahu w języku angielskim przemówił do świata (czytaj: do Amerykanów), przekonując, że izraelski naród

wyciągnął wnioski z historii i europejskiej polityki appeasementu wobec Hitlera, dlatego tym razem izraelskie oddziały nie czekały na „atomowy Holocaust”, ale pierwsze przystąpiły do zmasowanego ataku.

Niestety, opowieści premiera Netanjahu o złych ajatollahach i ryzyku rychłego „atomowego Holocaustu” można włożyć między bajki. Doskonale wiedzą o tym nie tylko publicyści i analitycy zachodnich think tanków, specjalizujący się w rejonie Bliskiego Wschodu – oni informację o tym, że Iran już za kilka miesięcy będzie miał w arsenale broń jądrową, słyszą od co najmniej dwóch dekad. Sam Netanjahu o tym, że Iran już za kilka, kilkanaście miesięcy zagrozi światu swą bombą atomową, mówił publicznie już wielokrotnie, choćby na forum ONZ. Na przykład we wrześniu 2012 r. (słownie: dwa tysiące dwunastego). To właśnie wówczas światowy retorycznie premier Izraela miał ze sobą planszę z narysowanym konturem symbolizującym irańską bombę, ostrzegając wówczas, że do dokończenia prac nad najgroźniejszą bronią ludzkości Irańczykom pozostał... niespełna rok.

Analitycy wskazują także na to, że Netanjahu cyklicznie rozpoczyna nowe wojny w regionie, gdy tylko zagrożona jest koalicja rządowa, na której czele stoi. Utrata władzy mogłaby bowiem kosztować go również utratę osobistej wolności – i to nie z powodu nakazu aresztowania wydanego przez Międzynarodowy Trybunał Karny za zbrodnie wojenne na narodzie palestyńskim, ale z powodu formułowanych od lat przez izraelską prokuraturę zarzutów o korupcję na wielką skalę oraz nadużycia władzy.

Wróćmy jednak do oficjalnego casus belli, czyli zagrożenia, które stanowić miałyby irańska broń atomowa. Według dostępnych publicznie najnowszych raportów zachodnich wywiadów nie ma żadnych dowodów na to, że Irańczycy rzeczywiście pracowali w ostatnich miesiącach czy latach nad skonstruowaniem bomby atomowej (choć zdaniem zachodnich dyplomatów istnieją silne poszlaki, iż władze w Teheranie prowadziły tajny program jądrowy do roku 2003). Irańczycy od ponad dwóch dekad zapewniali, że ich program jądrowy ma mieć jedynie pokojowe zastosowanie. I te informacje z Teheranu zdają się potwierdzać zachodnie służby wywiadowcze,

włączenia się Stanów Zjednoczonych do wojny z Iranem. Tylko Amerykanie dysponują bowiem odpowiednimi militarnymi środkami, aby przeprowadzić skuteczny atak z powietrza na tak dobrze ukryte cele. Do zniszczenia tego typu instalacji zostały zaprojektowane bomby penetrujące znane jako „bunker buster”.

Bomba typu GBU-57 A/B waży 13 600 kg i została skonstruowana w celu przeprowadzania precyzyjnych ataków na strategicznie ważne bunkry i tunele. Według ekspertów przed potężną eksplozją bomba tego typu jest w stanie przedostać się ponad 60 m w głąb ziemi. Precyzyjnie kierowane bomby mogą być zrzucone

■ w tym szpiedzy z USA. Dyrektor amerykańskiego Wywiadu Narodowego Tulsi Gabbard – sprawująca nadzór nad 18 agencjami wywiadowczymi, w tym nad CIA, NSA i FBI – w marcu obecnego roku oznajmiła przed Kongresem, że Iran nie wznowił programu broni jądrowej. I podkreśliła, że projekt mający na celu wojskowe wykorzystanie atomu pozostaje w zawieszeniu od roku 2003. Donald Trump zapytany w ubiegłym tygodniu o wypowiedź dyrektora Gabbard, odpowiedział w swoim stylu: „Nie obchodzi mnie, co ona powiedziała”. I dodał, że jego zdaniem Iran był już „bardzo blisko” wyprodukowania broni atomowej.

Problem w tym, że nie była to tylko ocena pani Gabbard. „Iran nie dążył w aktywny sposób do uzyskania broni jądrowej” – przekonywali w ubiegłym tygodniu czterej anonimowi informatorzy związani z amerykańskim wywiadem, cytowani w materiale telewizji CNN. Według tych źródeł Iran potrzebowałby jeszcze co najmniej trzech lat, aby zyskać zdolność do produkcji broni atomowej. To, co mogło budzić niepokój, to szybko przyrastająca ilość wzbogaconego uranu. Według ekspertów decyzja o budowie bomby jądrowej wcale jednak nie zapadła, a nawet gdyby Teheran taką decyzję podjął, to na jej realizację potrzebowałby kilkudziesięciu miesięcy.

Również Rafael Grossi, szef Międzynarodowej Agencji Energii Atomowej (MAEA), powiedział w czwartkowym wywiadzie dla telewizji Al-Dżazira, że „nie ma dowodów na to, że Iran buduje broń jądrową”. To właśnie inspektorzy MAEA odgrywają kluczową rolę w monitorowaniu programów jądrowych, w tym programu atomowego Iranu. Rafael Grossi stanowczo oznajmił również, że opublikowaną 12 czerwca rezolucję Międzynarodowej Agencji Energii Atomowej (MAEA), która uznała, iż Iran nie wypełnia swoich zobowiązań w sferze nuklearnej, można było potraktować jako zielone światło do przeprowadzenia ataków na Iran (izraelskie lotnictwo rozpoczęło bombardowanie w ciągu 24 godzin od opublikowania tego dokumentu). Na mocy układu o nierozprzestrzenianiu broni jądrowej, ratyfikowanego przez 189 krajów w tym przez Iran w roku 1970, władze poszczególnych państw są zobowiązane do zadeklarowania



Izraelskie władze nie ukrywają już, że chcą zmiany reżimu w Iranie. Przywódcę tego kraju, ajatollaha Alego Chamenei, porównują do „współczesnego Hitlera” FOT. ABEDIN TAHERKENEH/EPAP/PAP

wszystkich substancji i całej działalności nuklearnej. Inspektorzy MAEA są zaś uprawnieni do sprawdzania, czy nie są one wykorzystywane w celach innych niż pokojowe.

Komentatorzy zauważają, że choć kwestia zdolności Iranu do budowy broni atomowej jest kwestią dyskusyjną, to pewne jest, że poza jakąkolwiek kontrolą Międzynarodowej Agencji Energii Atomowej pozostaje Izrael. Tajemnicą poliszynela jest zaś to, że reżim w Tel Awiwie jako jedyny kraj na Bliskim Wschodzie dysponuje bronią jądrową. Tajny program atomowy ruszył w połowie ubiegłego roku. Władze w Tel Awiwie nie potwierdzają ani nie zaprzeczają, że kraj ten dysponuje śmiertelnościami arsenałem. Izrael nie podpisał nigdy układu o nierozprzestrzenianiu broni jądrowej i mimo wielu międzynarodowych apeli nie dopuszcza do swych obiektów nuklearnych międzynarodowych inspektorów. Szacuje się, że izraelska armia posiada obecnie ok. 90 głowic jądrowych w gotowości do operacyjnego użycia oraz dodatkowo zapas od 300 do 500 głowic.

BUDZĄCY SIĘ LEW

Premier Netanjahu – który w ostatnich miesiącach skutecznie unicestwił swoich wrogów w Libanie (udało mu się tam zlikwidować lidera Hezbollahu Hasana Nasr Allaha oraz większość dowódców tej organizacji), Syrii (doprowadzając do upadku reżimu Baszara al-Asada i bombardując cele na terenie tego kraju nawet po zmianie władzy), Jemenie (niszcząc dużą część zdolności wojskowych Ruchu Huti) i w Strefie Gazy (nie tylko likwidując bojowników Hama-

su, lecz także doprowadzając do zbrodni wojennych na skalę niespotykaną we współczesnym świecie) – postanowił teraz wykorzystać czas słabości władz w Teheranie i zawalczyć o tytuł władcy Bliskiego Wschodu.

Prawdziwym celem ataku na Iran nie jest więc jakaś tam atomowa bomba, ale obalenie reżimu ajatollahów, będącego głównym regionalnym rywalem Izraela. Plan B to zaś przynajmniej doprowadzenie do głębokiej destabilizacji politycznej, która w praktyce uniemożliwiłaby Iranowi sprawne funkcjonowanie i spowodowałaby Iran na bliskowschodniej szachownicy do roli zwykłego pionka.

Do realizacji tak postawionego zadania nie wystarczą jednak ani izraelskie bomby i rakiety (choć likwidacja tak wielu wysokich rangą oficerów wywołała zapewne potężny strach wśród członków irańskich elit), ani bolesne sankcje gospodarcze (które doprowadziły do potężnego skurczenia się irańskiej gospodarki i znaczącego spadku dochodu narodowego zwłaszcza z eksportu ropy naftowej).

Premier Izraela Benjamin Netanjahu oficjalnie oznajmił, że nie wyklucza ataku na irańskiego przywódcę Alego Chamenei. Minister obrony Izraela, Israel Kac, stwierdził zaś, że ajatollah Chamenei „nie może dłużej istnieć”. I dodał, że Siły Obronne Izraela (IDF) otrzymały w tej kwestii stosowne „instrukcje”. – Porównuję to do scenariusza, w którym gdyby podczas strasznego Holocaustu istniały Państwo Izrael i silne Siły Obronne Izraela, a my wiedzielibyśmy, że możemy wysłać Siły Obronne Izraela do bunkra, aby pojmać wroga narodu żydowskiego, Hitlera, i uda-

remnić jego plan zagłady Żydów, to byśmy to zrobili – zaznaczył minister Kac.

Do zmiany reżimu nie wystarczy kolejne izraelskie egzekucje. Potrzebne jest też współdziałanie irańskiego narodu. Zapewne dlatego operacji polegającej na ataku na Iran stratedzy w Tel Awiwie nadali kryptonim Budzący się Lew. Ta nazwa to zwiastun tego, że działający na terenie Iranu agenci izraelskich służb będą starali się wykorzystywać nie tylko niezadowolone społeczne, wynikające z gwałtownego pogorszenia się jakości życia w kraju coraz bardziej zniszczonym w wyniku izraelskiego ataku, lecz także odwoływać się do korzeni antysystemowej opozycji. Do czasu rewolucji islamskiej 1979 r. to właśnie lew (z mieczem w prawej łapie) był oficjalnym symbolem państwowym Iranu. Przez kilkaset lat symbolizował siłę i potęgę rządzącej krajem monarchii i stanowił element irańskiej tożsamości narodowej. Symbole lwa i słońca są więc nadal używane przez irańskich opozycjonistów. I właśnie to próbuje teraz wykorzystać Izrael. Wydaje się jednak, że Persowie to zbyt dumni i zbyt mądrzy ludzie, aby dać się tak łatwo rozegrać. Wielu Irańczyków – również z młodego pokolenia – jest zaś od lat negatywnie nastawionych zarówno do USA, jak i do izraelskich agresorów.

SCENARIUSZE WOJENNE

Tak wyznaczony cel oznacza, że wojna potrwa prawdopodobnie co najmniej wiele tygodni. Podczas pierwszych siedmiu dni od agresji na Iran izraelscy piloci oraz członkowie służb specjalnych zdołali wyeliminować większość baterii irańskiej obrony antyrakietowej, a także zabić kilkudziesięciu najwyższych rangą irańskich dowódców i oficerów. Udało im się też zlikwidować Alego Szamchanię, czyli doradcę ajatollahów odpowiedzialnego za negocjacje ze Stanami Zjednoczonymi (nie może on więc dłużej kusić Donalda Trumpa wizją rozwiązania dyplomatycznego i dotrzymania najważniejszej przedwyborczej obietnicy obecnego gospodarza Białego Domu, którą było niewpłytywanie Ameryki do nowych wojen). W ostatnich tygodniach negocjacje amerykańsko-irańskie w Omanie nabrały tempa, a Izrael nie ukrywał, że jest przeciwny próbie rozwiązania problemu irańskiego programu nuklearnego za pomocą dyplomacji.

Kilkudniowa wymiana rakietowych ciosów między Izraelem a Iranem sprawiła, że powrót do stołu rokowań wydaje się mało realny. Wprawdzie 86-letni przywódca Iranu Ali Chamenei z pewnością nie chce podzielić losu Hasana Nasr Allaha lub Saddama Husajna, ale nie po to całe życie stawiał opór presji, aby teraz potulnie się ukorzyć przed „wielkim i małym Szatanem” (i w konsekwencji stracić władzę i życie). Przebywający najprawdopodobniej w podziemnym bunkrze Chamenei na wszelki wypadek zrzekł się już części władzy na rzecz Rady Najwyższej Korpusu Strażników Rewolucji Islamskiej. Mimo to Teheran nadal postępuje w tym konflikcie wyjątkowo ostrożnie. Irańskie władze robią, co tylko mogą, aby nie prowokować Stanów Zjednoczonych: do zamknięcia tego numeru nie tylko nie atakowali więc amerykańskich baz w regionie, lecz także nie zamknęli kluczowych szlaków handlowych w Zatoce Perskiej. Choć irańska armia dysponuje również pociskami hipersonicznymi, które są w stanie przedostać się przez wyjątkowo nowoczesny system obrony powietrznej znany jako Żelazna Kopuła, wspierany przez amerykańskie systemy Patriot oraz THAAD, to władze w Teheranie w zeszłym tygodniu wykorzystywały je bardzo wstrzemięźliwie (dodatkowym powodem są też stosunkowo niewielkie zapasy tego typu rakiet).

Izrael z kolei w pierwszym tygodniu wojny umiejętnie wykorzystał swoją przewagę militarną i dyplomatyczną. Cytowany przez Agencję Reutera przedstawiciel irańskiego wojska powiedział pod koniec ubiegłego tygodnia, że według szacunków armii Izraelowi udało się już zniszczyć dwie trzecie irańskich wyrzutni rakiet balistycznych. Irano- wi miały pozostać jeszcze ponad 100 sprawnych wyrzutni oraz tysiące rakiet i pocisków zdolnych razić m.in. amerykańskie bazy na Bliskim Wschodzie.

Bez wsparcia Amerykanów Netanjahu nie uda się jednak zmienić władzy w Teheranie. Dlatego wbrew zapowiedzi Białego Domu, zgodnie z którą Donald Trump dał sobie dwa tygodnie na odpowiedź, czy USA zaangażują się bezpośrednio w atak na Iran, decyzja o dołączeniu Ameryki do wojny wydaje się wielce prawdopodobna.

Wprawdzie zdolność do precyzyjnego komunikowania się ze światem nie jest najsilniejszą stroną obecnego gospodarza Białego Domu, ale kolejne wypowiedzi Donalda Trumpa wskazują, że pozostaje pod ogromnym wpływem izraelskiej narracji. A także pod wpływem proizraelskich współpracowników. Gospodarz Białego Domu ujawnił w zeszłym tygodniu w mediach społecznościowych rzut ekranowy wiadomości SMS, którą miał otrzymać od obecnego ambasadora Stanów Zjednoczonych w Izraelu (i byłego kandydata Partii Republikańskiej na prezydenta w 2016 r.). „Panie Prezydencie, Bóg oszczędził pana w Butler w Pensylwanii, aby mógł pan zostać najważniejszym prezydentem od stulecia, a może i w historii [...]. Nie chciałbym, aby ktokolwiek inny podejmował decyzje, które leżą na twoich barkach. Wiele osób zwraca się do ciebie, ale jest tylko JEDEN głos, który się liczy. JEGO głos” – pisał do prezydenta ambasador Mike Huckabee, przekonując, że od czasów prezydentury Harry’ego Trumana w roku 1945 żaden amerykański przywódca nie był w podobnej sytuacji jak obecnie Donald Trump (najprawdopodobniej Huckabee nawiązywał w ten sposób do decyzji Trumana o zrzuceniu bomb atomowych na Hiroszimę i Nagasaki). Przekaz ambasadora poparł publicznie republikański senator Lindsey Graham. „Od 1979 r. religijni naziści, którzy tworzą reżim ajatollahów, sięją spustoszenie w Izraelu i na świecie” oznajmił. I dodał: „Oby Bóg nadal błogosławił Izraelowi, Stanom Zjednoczonym i prezydentowi Trumpowi w tym historycznym momencie”.

Gospodarz Białego Domu opublikował zaś własny post, w którym zwrócił uwagę, że Stany Zjednoczone wiedzą, gdzie przebywa ajatollah Ali Chamenei, i że „jest to łatwy cel”, choć „na razie” Ameryka nie zamierza likwidować irańskiego przywódcy. Wezwał także Irańczyków mieszkających w Teheranie do ewakuacji i zażądał od irańskich władz „bezwartunkowej kapitulacji”. Czy to sygnał, że Trump zamierza spełnić marzenia Netanjahu o hegemonii na Bliskim Wschodzie? Przekonamy się już wkrótce. Niebawem dowiemy się też, jak wysoką cenę za to zapłaci Ameryka i jej sojusznicy.



Z dr. Michałem Krupą,
historykiem i politologiem
rozmawia Ryszard Gromadzki

Nie potrzebujemy z nikim świętej wojny

RYSZARD GROMADZKI: Zwycięstwo Karola Nawrockiego daje szansę na uelastycznienie polskiej polityki wobec Ukrainy? Od rozpoczęcia rosyjskiej inwazji na Ukrainę opiera się ona na założeniach, z których przynajmniej część nie wytrzymuje próby rzeczywistości. Mam na myśli dogmat o przyjęciu Ukrainy do NATO czy zakończenie wojny z Rosją, tylko pod warunkiem przywrócenia stanu terytorialnego sprzed 2014 r., a więc m.in. zachowania Krymu przez Ukrainę. Nie wspominając o braku rozsądnej równowagi we wzajemnych relacjach.

DR MICHAŁ KRUPA: Wydaje się, że na razie Warszawa nie ma nowego pomysłu na politykę wobec Ukrainy. Chociaż prezydent elekt, jeszcze przed wyborami, po rozmowie ze Sławomirem Mentzenem podpisał się pod jego postulatami, że nie zgodzi się na akces Ukrainy do NATO i przystąpienie jej do Unii Europejskiej, przynajmniej do czasu, kiedy nie zostaną przeprowadzone ekshumacje ofiar zbrodni wołyńskiej. Generalnie rzecz ujmując, dopóty, dopóki sprawa zbrodni wołyń-

skiej nie zostanie rozwiązana zgodnie z polskimi oczekiwaniami.

Myślę, że do tej sprawy konieczne jest podejście z dwóch perspektyw. Pierwsza zakłada, że jeśli Nawrocki jest szczerzy w swoich obietnicach, to jest to bardzo znaczące odejście od linii, którą reprezentował wcześniej rząd PiS, a obecnie Platformy, a także prezydent Andrzej Duda. W myśl tej linii mieliśmy być „rzecznikiem Ukrainy” w Unii Europejskiej oraz w NATO.

W drugiej perspektywie, nawet jeśli przyjmemy, że jeśli kwestia wołyńska zostanie rozwiązana zgodnie z naszymi oczekiwaniami, to nadal nie znaczy, że Ukraina powinna się znaleźć w Unii Europejskiej czy w NATO. Uważam, że niezależnie od losów sprawy wołyńskiej, która ze względów czysto moralnych, etycznych, dyktowanych chrześcijańską wrażliwością powinna być rozwiązana, to miejsce Ukrainy na pewno nie jest w NATO ani w Unii Europejskiej.

Bo to nie leży w strategicznym polskim interesie?

Tak samo w naszym strategicznym interesie nie było włączenie się do wojny irackiej w 2003 r. Niestety, to myślenie nadal pokutuje w kręgach rządzących Polską. Dlatego nie zaskoczyło mnie to, co powiedział w niedawnej rozmowie radiowej z Bogdanem Rymanowskim były premier Mateusz Morawiecki, który po raz kolejny wcielił się w rolę rzecznika amerykańskich neokonserwatystów i izraelskiego rządu, stwierdzając z entuzjazmem, że całkowicie popiera działania militarne Izraela i naszych sojuszników wymierzone w irański program nuklearny. Morawiecki, jakby kompletnie zapomniał, że ta sama narracja, jak się po czasie okazało – kłamliwa, była pretekstem do rozpoczęcia wojny w Iraku w 2003 r. Wiemy doskonale, jakie skutki przyniosło to dla regionu Bliskiego Wschodu, a także dla Europy. Morawiecki stale straszy imigrantami, ale bez waha-



Są sprzeczne narracje, czy Donald Trump (na zdjęciu z premierem Benjaminem Netanjahu) wiedział o izraelskim ataku
FOT. YURI GRIPAS/EPA/PAP

rzecz Rosji. Teraz sytuacja uległa zasadniczej zmianie. Globalny ciężar narracyjny jest na Bliskim Wschodzie. Konflikt na Ukrainie zszedł na dalszy plan. Było to dobrze widoczne podczas niedawnego szczytu Grupy G7 w Kanadzie, gdzie Zełenski miał błagać Trumpa o nowe dostawy broni. Tym razem już nie na zasadzie przekazania, lecz za pożyczki, które – jak się okazuje – spłaca też Polska, czyli my wszyscy.

Wracając do implikacji wojny Izraela z Iranem, uważa się, że jeśli Trump przystąpi do wojny i dojdzie do bezpośredniego udziału USA w atakach na Iran, złamie to całkowicie jego prezydenturę. Wszelkie gesty dobrej woli ze strony Chin, nawet jeśli miały one wymiar symboliczny, ale przede wszystkim ze strony Rosji w sprawie dialogu strategicznego i odprężenia we wzajemnych relacjach, to wszystko ulegnie załamaniu. Jeśli Trump posłucha głosu swojej bazy elektorальной, czyli takich postaci jak Tucker Carlson czy Steve Bannon, a także większość internetowych influencerów, którzy przyczynili się do jego zwycięstwa w wyborach zarówno w 2016, jak i w 2024 r., to nie wplącze Ameryki w nową wojnę.

Mamy do czynienia z bezprecedensowym przebudzeniem prawicowej Ameryki, mówię nie tylko o liderach ruchu MAGA, lecz także republikanach w Kongresie przeciwko uwikłaniu USA w kolejną wojnę w interesie Izraela. Pierwszą taką wojną był Irak. Teraz mamy podobną sytuację. Ostatnio były minister obrony Izraela Jo'aw Galant powiedział wprost na antenie CNN, że „Stany Zjednoczone mają obowiązek przystąpić do wojny Izraela przeciw Iranowi”. Wracając do pana pytania, jeśli Trump nie zaatakuje Iranu razem z Izraelem, to istnieje możliwość, zresztą sam Trump zasugerował to w jednym ze swoich wpisów w mediach społecznościowych, a mianowicie, że pozwoli wejść Putinowi do gry w roli mediatora. Trzeba pamiętać, że Putin ma dobre relacje nie tylko z Iranem, ale też z Izraelem. W Rosji zresztą istnieje, o czym mało kto mówi, istotne lobby izraelskie, rosyjskich Żydów, którzy generalnie kibicują Izraelowi, ale może w sposób mniej radykalny niż ich pobratymcy z USA, bo nie wiąże się to co jakiś czas z wywoływaniem wojen z adwersarzami Izraela.

Gdyby taki scenariusz się ziścił, Putin mógłby odegrać kluczową rolę. Prowadząc kuliarną politykę, której efektem byłoby

doprowadzenie do zawieszenia broni. Rosja ma doskonały aparat dyplomatyczny, szczególnie doświadczony w kwestiach bliskowschodnich. Wyobrażam sobie, że to Putin faktycznie doprowadza do zawieszenia broni między obydwojema stronami, a Trump obwieści to jako swoje zwycięstwo.

Ten wariant będzie miał swoją cenę. Putin może mediuować między Iranem a Izraelem w zamian za konkretne benefity, przede wszystkim na Ukrainie.

Oczywiście. To zrozumiałe, chodzi o gre interesów. Pytanie brzmi: Co Trump da Putinowi w zamian? Trump potrzebuje zwycięstwa dyplomatycznego w związku ostrym kryzysem na Bliskim Wschodzie. Sytuacja szybko się zmienia. „Washington Post” napisał, a potwierdziły to dwa inne źródła, że Trump gotowy jest wysłać na negocjacje z Irańczykami wiceprezydenta Vance’a i Steve’a Witkoffa, negocjatora do spraw Bliskiego Wschodu i do spraw Ukrainy.

Czy Trump nie znalazł się w potrzasku po zaatakowaniu Iranu przez Izrael 14 czerwca? Akcja Izraela miała miejsce kilkadziesiąt godzin przed kolejną rundą negocjacji USA i Iranu w sprawie programu nuklearnego. Atak Izraela ewidentnie obliczony był na załamanie tych negocjacji.

Co więcej, kluczowy negocjator Iranu, który reprezentował ten kraj w negocjacjach z Witkoffem, został zabity w izraelskim ataku. Są sprzeczne narracje, czy Trump wiedział o izraelskim ataku czy nie wiedział. Czy tylko udaje, że koordynował z Izraelem jego działania przeciw Iranowi. Faktem jest, że istnieje zasadnicza różnica co do treści jego wpisów w tej sprawie ogłoszonych bezpośrednio po izraelskim ataku i dwa dni później. Początkowo Trump pisał, że Mosad perfekcyjnie rozpracował irański system dowodzenia i że to początek końca reżimu islamskiego rządzącego tym krajem. Dwa dni później prezydent USA napisał, że Stany Zjednoczone nie miały nic wspólnego z atakiem Izraela. Jedną z możliwych interpretacji jest taka, że Trump i ludzie z jego ekipy spodziewali się, iż pierwsze uderzenia Izraela kompletnie osłabi Iran i doprowadzi kraj do chaosu.

Stało się inaczej. Iran odpowiedział w zaskakująco dotkliwy dla Izraela sposób.

Obserwujemy, że mityczna Żelazna Kopuła nie radzi sobie z raketami

nia popiera wojny, które generują kolejne fale tych migracji.

Wojna w Iraku, a później podsycane z zewnątrz wojny domowe w Syrii czy w Libii zdestabilizowały Bliski Wschód i część północnej Afryki, otwierając puszkę Pandory w postaci masowej migracji do Europy. Na zaangażowaniu po stronie antyirackiej koalicji gospodarczo nie zyskał nic, pomimo szumnych obietnic, którymi karmiono społeczeństwo. Ale wojna między Izraelem a Iranem zmienia przecież geopolityczną układankę wokół Ukrainy. Jaką dynamikę geopolityczną uruchomiła ostra faza konfliktu między Izraelem a Iranem?

Mam wrażenie, że w Kijowie mogła zapanować panika, ponieważ mimo pewnej niekonsekwencji administracji Trumpa w sprawie zakończenia wojny ukraińsko-rosyjskiej w sposób, powiedziałbym, niekoherentny, jak widać było to w ostatnich tygodniach, można było dojść do przekonania, że Trump odchodzi od Ukrainy, zdaniem niektórych porzucił ją na

balistycznymi i niektórymi raketami hipersonicznymi wystrzelonymi przez Iran. Pojawiły się informacje o uderzeniu przez irańską raketę w okolice siedziby bądź w samą siedzibę Mosadu.

Dotychczas Izrael zapewniał, że Żelazna Kopia chroniąca niebo nad tym krajem jest szczelna...

Nie ma takiego systemu antyrakietowego na świecie, który byłby całkowicie nieprzepuszczalny. Irańczycy wyciągnęli wnioski z ataku na Izrael w październiku ubiegłego roku i znaleźli sposób na ominięcie Żelaznej Kopuły, wysyłając najpierw tysiące dronów, które mają za zadanie zwabić obronę powietrzną Izraela, następnie wystrzeliwują rakiety, które mają za zadanie niszczenie infrastruktury wojskowej i cywilnej. Izrael wspiera amerykański system THAAD i niektórzy sojusznicy europejscy, a mimo wszystko irańskie rakiety uderzają w swoje cele, a Irańczycy uzyskują coraz więcej informacji, jak skutecznie ominąć zaporę w postaci Żelaznej Kopuły.

Kto zmieni pierwszy? Iran, jak przekonuje prezydent Trump, a może Izrael, który nie docenił potencjału Iranu?

Zaryzykuję twierdzenie, że nawoływania Stanów Zjednoczonych do interwencji w Iranie ze strony izraelskiej zdają się wskazywać, że to Izrael jest w tym momencie bardziej zdesperowany. Pierwsze izraelskie ataki nie zdołały zniechęcić reżimu w Teheranie do uderzeń odwetowych. Sytuacja jest nieprzewidywalna. Jest wiele „niewiadomych niewiadomych”, jak mawiał amerykański sekretarz obrony Donald Rumsfeld. Izrael robi wszystko, żeby wciągnąć USA w wojnę z Iranem, żeby jak najszybciej zakończyć ją na swoją korzyść.

Według oficjalnego stanowiska izraelskiego rządu nie jest on zainteresowany jakimikolwiek negocjacjami z Iranem. Pojawiły się informacje, że Oman i Katar podjęły próby mediacji, żeby doprowadzić do zawieszenia broni. Ale wygląda na to, że w przeciwieństwie do sunnitów w Iraku szyici w Iranie są bardziej skłonni do ponoszenia ofiar. W latach 80. XX w. Iran był o wiele słabszym państwem, dysponującym nieporównanie mniejszą ilością zaawansowanej broni, a mimo to potrafił wytrzymać trwającą osiem lat wyniszczającą wojnę z Irakiem. Jeśli

Izrael chce złamać Iran, to potrzebuje do tego USA.

Ale to miałyby katastrofalne skutki polityczne dla prezydenta Trumpa, którego ludzie wybierali nie po to, żeby wciągnąć kraj w kolejną wojnę w imię Izraela. Wojnę z wielkim państwem, przy którym interwencje w Iraku czy Afganistanie to operacje o wiele mniejszej skali.

Kompletnie różnej skali. Mówimy o państwie o kompletnie innych geografii i potencjale demograficznym. Wracając do izraelskich celów, obok zaangażowania USA w wojnę i zakończenia jej szybkim zwycięstwem w grę wchodzi jeszcze tzw. Opcja Samsona, która teraz wydaje się mało prawdopodobna, ale po obecnym rządzie Izraela można się spodziewać wszystkiego. Chodzi o atak jądrowy na Iran. Jednak takie przedsięwzięcie ze strony Izraela byłoby bardzo trudne do obrony przed opinią światową. Gdyby tak się stało, realne byłoby zakończenie istnienia tzw. podmiotu syjonistycznego, jak formułują to irańscy ajatollahowie. Tym bardziej, że Pakistan zapowiedział już, iż jest gotów pomóc Iranowi, jeśli dojdzie do takiej „niepożądanego eskalacji”. Sytuacja jest bardzo dynamiczna.

Tak dynamiczna, że daje podstawy do realnych obaw o wybuch trzeciej wojny światowej? Apokaliptyczną wojnę Goga i Magoga?

Trudno mi sobie wyobrazić sytuację, w której Izrael używa broni jądrowej przeciw Iranowi.

Trwające od wielu miesięcy ludobójstwo Palestyńczyków w Strefie Gazy wskazuje, że Izrael zupełnie nie liczy się z tzw. opinią międzynarodową.

O ile w otoczeniu premiera Netanaju jest spora grupa syjonistycznych fanatyków, takich jak Itamar Ben-Gwir, którzy faktycznie wierzą w apokaliptyczną interpretację dziejów i są przekonani, że ich posłannictwem jest zbudowanie tzw. wielkiego Izraela, pokonanie wszystkich wrogów państwa żydowskiego i są gotowi podjąć wszystkie działania, żeby to osiągnąć, o tyle uważam, że premier Netanaju nie jest fanatykiem. On jest politycznym graczem, swoistym cwaniakiem, który chce przetrwać, żeby nie pójść do więzienia.

Jestem przekonany, że sam Netanaju nie podjąłby decyzji o ataku jądrowym na Iran, bo nie jest samobójcą. Myślę, że

hipotetyczna sytuacja, w której Izrael do ataku na jeden z irańskich ośrodków nuklearnych użyłby broni jądrowej, wywołałaby reakcję, np. ze strony Pakistanu, który wystrzeliłby w odwecie raketę z głowicami nuklearnymi w stronę Izraela i zniszczył np. Hajfę. Gdyby taki scenariusz zaistniał, to ta jedna raketa jest w stanie kompletnie załamać Izrael. Izraelska raketa jądrowa, uderzając w Iran, spowoduje wielką tragedię, ale nie załame irańskiego państwa. Izrael ma o wiele więcej do stracenia.

Polskie rządy jak ognia unikają krytyki Izraela. Kilka lat temu w Warszawie zorganizowana została nawet antyirańska konferencja, podczas której premier Izraela oskarżył Polaków o współudział w Holokauście. Czy naprawdę nie stać nas na neutralność w konflikcie między Izraelem a Iranem, z którym mamy oficjalne relacje od ponad pół tysiąca lat?

Zgadzam się. Nie ma powodu, żebyśmy musieli narażać relacje z Iranem, choć nie znaczy to, że opowiadam się za formułą „Teheran-Warszawa: wspólna sprawa”. Myślę, że Irańczycy nie obraziliby się, gdybyśmy w tym konflikcie zachowali postawę neutralną. Dlatego bardzo irytują mnie takie ośrodki medialne jak Telewizja Republika, które robią za tubę propagandową lokalnych neokonserwatystów i podżegaczy wojennych, w sposób bezrefleksyjny popierają wszystko, co robi Izrael w regionie. Używają przy tym dokładnie tych samych argumentów, którymi posługują się najwięksi podżegacze wojenni w USA. To małpowanie amerykańskiej propagandy wojennej jeden do jednego. Przypomina mi się myśl prof. Feliksa Konecznego, który napisał kiedyś, że „Polacy są doskonali w małpowaniu najgorszych cech innych narodów”. Uważam, że nie potrzebujemy ani świętej wojny z Izraelem, ani świętej wojny z Iranem. Naszą racją stanu jest zachowanie neutralności w tym konflikcie i oczywiście świadczenie pomocy humanitarnej wszędzie tam, gdzie będzie to pomagało ludziom poszkodowanym podczas tej wojny. © © Wszelkie prawa zastrzeżone



Doktor Michał Krupa
jest historykiem i politologiem.
Specjalizuje się w amerykańskiej polityce zagranicznej.

HISTORIA
DO RZECZY

NAJNOWSZY NUMER OD ŚRODY W SPRZEDAŻY!

WAKACYJNE CUDA II RZECZYPOSPOLITEJ



Od Helu do Okopów św. Trójcy – Przedwojenna Polska była turystycznym rajem, oferując urlopowiczom przyrodnicze i kulturowe bogactwo

Automobilowe szaleństwo – Samochód był w II RP bardzo rzadkim widokiem. Tylko najbogatsi mogli sobie pozwolić na automobilowe wojaże po kurortach

Krucjata Morela – Młody Brytyjczyk uparł się, by nagłośnić zbrodnie dokonywane w Kongu przez władcę Belgii. Zorganizował kampanię społeczną, która pokrzyżowała jego plany

Polska królowa pędzla i palety – Olga Boznańska przez wielu znawców, a także zwykłych muzealnych oglądaczy uważana jest za najwybitniejszą polską malarkę wszech czasów

Jana Parandowskiego sztuka mimikry – Miano olimpijczyka przylgnęło do niego m.in. dlatego, że ten wybitny znawca antyku na gruncie piśmiennictwa polskiego zajmował pozycję bliską bogom na Olimpie

„Król” zagłębiowskich Żydów – Mojżesz Merin w czasie wojny niepodzielnie rządził żydowską społecznością Zagłębia. Wolną rękę dał mu w tym zakresie sam Heinrich Himmler

I WIELE, WIELE WIĘCEJ
CZYTAJ TAKŻE NA **HISTORIA.DORZECZY.PL**

Mafia na froncie wojny hybrydowej



Maciej Pieczyński

Białoruski „wor w zakonie” przyjechał do Warszawy na zlecenie Mińska i Moskwy, żeby swoją przestępczą działalnością skompromitować rodaków. Rosja i Białoruś mają bogate tradycje używania mafii w swoich politycznych celach

Wor w zakonie” to używane w Związku Sowieckim, a po jego rozpadzie również w Rosji i niektórych państwach postsowieckich, określenie przestępcy cieszącego się wśród podobnych sobie autorytetem moralnym z uwagi na ścisłe przestrzeganie panujących w tym świecie zasad. O tym, że „wory szturmują Warszawę”, na początku czerwca w swoich mediach społecznościowych alarmował BYPOL, czyli organizacja zrzeszająca byłych oficerów białoruskich służb, którzy uciekli z kraju i przebywają na emigracji nad Wisłą, prowadząc antyłukaszenkowską działalność. „Według naszych źródeł w ciągu kilku ostatnich miesięcy różnymi drogami do stolicy Polski zaczęli przybywać dobrze przygotowani

bojownicy z Białorusi i Rosji należący do bandy wora w zakonie Dmitrija Galejewa pseudonim Mitia Galej, który 22 grudnia 2023 r. został wypuszczony z kolonii o zaostrzonym rygorze IK-5 w Iwanczewiczach” – czytamy we wpisie BYPOL na Telegramie.

Według różnych szacunków do Polski przyjechało od 40–50 do 100 bojowników. Jeżdżą drogami samochodami prestiżowych marek, szastają pieniędzmi na lewo i prawo. Jak twierdzi BYPOL, eskapadę „Galeja” finansują Mińsk i Moskwa. Gangster otrzymał od białoruskich i rosyjskich władz pieniądze na realizację celu, którym jest przejęcie kontroli nad kryminalnym półświatkiem Warszawy w porozumieniu z gruzińskimi organizacjami przestępczymi. W dalszej kolejności „Galej” i jego ludzie mają za zadanie skompromitować przeciwników Łukaszenki w oczach polskich władz. Im więcej będzie doniesień o przestępstwach dokonywanych nad Wisłą przez Białorusinów, tym większa będzie presja, aby przedstawicielom tej narodowości nie przedłużać zezwoleń na pobyt czasowy, odmawiać przyznania statusu uchodźcy lub ten status im odbierać, a nawet – aby ich deportować do kraju pochodzenia. Tak się składa, że spora część z nich to opozycjoniści, którzy uciekli do Polski przed prześladowaniami. Wskutek akcji „Galeja” mogą trafić z powrotem w ręce Łukaszenki.

Jak podkreśla BYPOL, w białoruskich mediach propagandowych na przestrzeni

kilku ostatnich miesięcy pojawiały się informacje o tym, że niebawem białoruska opozycja w Polsce „dostanie niespodziankę” i zacząć się deportacje.

– Jeśli zaczniemy obserwować wzrost przestępczości w środowisku migrantów, jeśli zaczną się zatrzymania, jeśli dojdzie do walki gangów, to efekt może być dokładnie taki, jakiego chce Łukaszenka: zaufanie do Białorusinów w Polsce spadnie – mówi szef BYPOL Alaksandr Azarau w rozmowie z Wp.pl. Portal zapytał stołeczną policję oraz Komendę Główną Policji, czy biorą pod uwagę ostrzeżenie Białorusinów. Dziennikarze uzyskali jedynie nieoficjalne potwierdzenie, że „Mitia Galej” rzeczywiście przebywa w Polsce, do tego legalnie. Zdaniem Azarau misja białoruskiego gangstera to „nowy rodzaj wojny hybrydowej, który służby specjalne Białorusi i Rosji postanowiły wypróbować przeciwko Polsce”.

ZASADY PÓŁŚWIATKA

Galejew należy do bandyckiej elity. „Wor w zakonie” jest to rozbudowana subkultura, ze swoją symboliką i rytuałami, sięgająca korzeniami jeszcze czasów carskich, w pełni zaś ukształtowana w stalinowskich łagrach. Jak pisze najwybitniejszy znawca tematu Mark Galeotti w książce „Wory. Tajemnice rosyjskiej supermafii”, „przestępcy kategorycznie odrzucili świat regulowany przepisami i normami”, następnie „opracowali swój własny język oraz własne zwyczaje”. „Wor w zakonie” to po rosyjsku dosłownie „złodziej w prawie”, przy czym chodzi o „prawo” ustalone nie przez państwo, tylko przez półświatka.

Nie było łatwo otrzymać tego „zaszczytnego” tytułu. „Komisja” złożona z doświadczonych „worów” prowadziła „rozmowę kwalifikacyjną” z kandydatem, żeby przekonać się, że nie kłamie, opowiadając o swoich kryminalnych dokonaniach, i że nie jest donosicielem. Pretendent musiał przedstawić rekomendacje co najmniej dwóch „worów”, którzy ręczyli za to, że przestrzegał kodeksu. Jeśli pozytywnie przeszedł weryfikację, to był oficjalnie „koronowany” na „wora w zakonie”. Dawało mu to m.in. prawo do noszenia odpowiednich tatuaży. Ktoś, kto wytatował sobie symbole zarezerwowane dla „wora w zakonie”, choć nim nie był, zgodnie z przestępczym kodeksem mógł

być tych symboli pozbawiony przy użyciu noża. Albo po prostu zabity.

Co do zasady kandydat musiał być karany, nie mógł też współpracować z państwem. Po rozpadzie ZSRS dość powszechną praktyką stało się kupowanie tytułu „wora w zakonie” przez tych, którzy wymogów nie spełniali. Takich „fałszywych” przestępców nazywa się „pomarańczami” („apielsinami”). U schyłku i po rozpadzie ZSRS na kryminalnej scenie pojawiły się „autorytety”. Tak nazywa się obdarzonego posłuchem gangstera, którego już nie interesuje przestrzeganie więziennego kodeksu, tylko zarabianie pieniędzy w nowych warunkach pseudo-kapitalizmu.

POLEJE SIĘ KREW?

Galejew urodził się w 1974 r. we wsi Stańkowo w obwodzie mińskim. Z pochodzenia jest Tatarem. W wieku 19 lat trafił na trzy lata do kolonii karnej za chuligaństwo i podrabianie dokumentów. Po wyjściu na wolność był członkiem lokalnego gangu w białoruskim mieście Żodino. W 1998 r. został koronowany na „wora w zakonie” przez grupę kaukaskich „worów” należących do rosyjskiego świata przestępczego. Wbrew zasadom w tej sprawie nie zapytano o zgodę liderów białoruskiego podziemia kryminalnego, co wywołało skandal w półświatku. Jednak rosyjska mafia nie liczyła się ze zdaniem gangsterów z Białorusi.

Niedługo po koronacji Galejew trafił na cztery lata za kraty za nielegalne posiadanie broni oraz za to, że... cierpiał na chorobę weneryczną, co wówczas również było karalne. Po wyjściu na wolność wyjechał do Rosji. W Samarze odgrywał rolę, którą w żargonie przestępczym określa się słowem „smotriaszczij” – czyli, jako autorytet kryminalny, odpowiadał za sytuację w mieście. Ponadto „kryszował” (czyli ochraniał w zamian za procent od zysków) biznes naftowy. Po kilku latach wyjechał do Szwecji, gdzie prowadził restaurację. W 2013 r. za naruszenie prawa migracyjnego został deportowany na Białoruś, a tam rok później skazany na 11 lat więzienia za wymuszanie haraczy.

Na wolność, w ramach amnestii, wyszedł już pod koniec 2023 r. „Jest szanowany za [...] uczciwość w stosunku do partnerów (biznesowych). Dlatego wielu chce z nim pracować” – informuje BYPOL.

„Mitia Galej” zyskał opinię „specjalisty” od prania brudnych pieniędzy, oszustw, napadów na sklepy jubilerskie, kantory wymiany walut, wymuszania haraczy, kradzieży samochodów, okradania muzeów i prywatnych kolekcji. I właśnie tymi sferami przestępczej działalności ma zająć się w Warszawie. Według BYPOL po podboju polskiej stolicy białoruski „wor w zakonie” zamierza przejąć kontrolę nad Pragą i Berlinem. Z ukraińskimi gangami gotów jest się dogadać, choć możliwe również, że będzie próbował je z Polski wyprzeć. A wtedy – jak ostrzega BYPOL – dojdzie do krwawych walk gangów, choć w przeszłości „Mitia Galej” rzadko przelewał krew swoich przeciwników.

Azarau nie przedstawia jednoznacznych dowodów na to, że gangster działa na zlecenie Mińska czy Moskwy. Łukaszenka, podobnie jak Putin, szczyści się tym, że skutecznie spacyfikował szalejącą po rozpadzie ZSRS przestępczość zorganizowaną. Jednak w obu wypadkach autorytarna władza nie tyle rozprawiła się z mafią, ile nauczyła się wykorzystywać

„Wor w zakonie” jest to rozbudowana subkultura, ze swoją symboliką i rytuałami, sięgająca korzeniami jeszcze czasów carskich

ją do własnych celów. Rosyjskojęzyczne grupy przestępcze w Europie od lat wykonują zadania zlecone przez Kreml – od cyberataków do zabójstw. Zresztą sam Putin w latach 90., pracując w meroście Petersburga, najprawdopodobniej współpracował z gangiem Tambowskaja. Jako prezydent zbudował państwo, w którym władza zawarła ciche porozumienie z przestępcami – odtąd mogą się bogacić, byle nie epatować przemocą na ulicach (by nie psuć wizerunku Putina – pogromcy chaosu) i nie mieszać się do polityki.

Łukaszenka i jego służby również od dawna zarabiają na przemyśle ludzi (nielegalnych migrantów) i towarów (papierosów, narkotyków), raz „kryszując” gangi przemytnicze, raz używając ich jako

straszaka, by w ramach wojny hybrydowej wymusić konkretne ustępstwa ze strony Zachodu. Co prawda, kodeks „worów w zakonie” zabraniał współpracy z władzą, ale dziś jest to „martwy przepis”.

GANGSTERZY NA FRONCIE

Rosyjskie gangi brały udział w tworzeniu separatystycznych republik na Donbasie. Mieszkający pod Donieckiem (niedawno zamordowany) armeński gangster Armen Sarkisjan był w 2014 r. jednym z organizatorów „antymajdanu” na Ukrainie. Według medialnych doniesień rosyjskie gangi nie tylko poparły inwazję na Ukrainę, lecz także uznały, że czynny udział w wojnie po stronie Moskwy nie jest sprzeczny z przestępczymi zasadami. Kryminaliści trafiali na front wprost zza krat, walcząc nie tylko w szeregach specjalnie powołanych do rekrutacji więźniów Grupy Wagnera czy Sztormu Z, lecz także w składzie regularnych jednostek armii rosyjskiej. Żołnierze mafii z dnia na dzień stawali się żołnierzami Putina, których wartość bojowa była większa niż poborowych, co zresztą przyznawali dowódcy linii.

Możemy objasnić (ros. możemy wyjaśnić) – niezależny kanał na Telegramie – powołując się na Olgę Romanową, przewodniczącą fundacji Ruś Siedząca pomagającej więźniom i ich rodzinom, informować: „Gdy wagnerowcy zaczęli werbować na wojnę skazańców, nastawienie grup przestępczych odegrało kluczową rolę. Wiele tzw. kryminalnych autorytetów było przeciwnych rekrutacji więźniów. O powodzeniu tego przedsięwzięcia zdecydowała zgoda najważniejszego ojca chrzestnego mafii, czyli Zacharii Kałasowa, znanego jako „Szakro Młody”.

Już w 2023 r. wyliczono, że na froncie ukraińskim zginęli przedstawiciele co najmniej 10 OPG, czyli zorganizowanych grup przestępczych.

W marcu 2024 r. za udział w „specjalnej operacji wojskowej” Putin ułaskawił Wiaczesława „Bubę” Riabcewa i Andrieja „Byka” Bykowa skazanych w 2010 r. na 20 lat więzienia za masowe morderstwo. Obaj należeli do mafii capkowskiej, jednej z najbrutalniejszych w Rosji. I powiązanej z Prokuraturą Generalną „Kryszą” Capków – wiele na to wskazuje – była partia Jedna Rosja. Czyli sam Kreml.



NIE ŚPIJ, BO CIĘ OKRADNĄ

Do dziwnej kradzieży doszło w pewnym sklepie w Chinach. Sprzedawca siedział z nogami na stole i spał. W tym czasie do sklepu wszedł mężczyzna. Przez krótki czas przechadzał się po sklepie, po czym podszedł do śpiącego sprzedawcy, zabrał jego laptop i wyszedł z nim ze sklepu. Wszystko robił cicho i powoli. Gdy tylko opuścił sklep, sprzedawca natychmiast się obudził, by po chwili znów zasnąć. W stronę miejsca, w którym znajdował się laptop, nawet nie spojrział.

FOT. JAM PRESS

TATUAŻ JAK PIDŻAMA

W powszechnym przekonaniu nauczyciele powinni świecić przykładem dla uczniów. Czy tak jest w przypadku mężczyzny z Francji, który w Internecie występuje jako Freaky Hoody – można mieć wątpliwości. Szczyci się on tym, że jest najbardziej wytatuowanym nauczycielem świata. Ostatnio pochwalił się, że zamierza nałożyć na swoje ciało drugą warstwę tuszu. O tej pierwszej mówi, że to jego pidżama.

WYGŁUP PO KOREAŃSKU

W Korei Południowej sąd ukarał grzywną (o równowartości 2,1 tys. dol.) kobietę, orzekając, że dopuściła się ona molestowania seksualnego wobec kolegi z pracy. W ramach żartu kobieta ściągnęła mu spodnie – a wraz z nimi bieliznę. Stało się to na oczach innych osób. Kobieta wyraziła jednak skruchę – przeprosiła kolegę oraz jego rodziców. Tymczasem – jak podają media – ściągnięcie komuś spodni to popularny w Korei Południowej rodzaj wygłupu.

NADZIEJA CZARNOBYLU

Czy straszliwy kataklizm – taki jak katastrofa reaktora jądrowego w Czarnobylu – może być inspirujący... przy nadaniu imienia dziecku, które ma się narodzić? Jak się okazuje, tak. Pewna kobieta będąca w ciąży ogłosiła w Internecie, że zamierza swojej córce nadać imię Chernobyl Hope (Nadzieja Czarnobylu). Reakcje na tę wiadomość były skrajnie różne – oburzenie mieszało się z entuzjazmem.

UCIECZKA Z TAKSÓWKI

W brazylijskim mieście Itapetininga pasażerka taksówki Uber wyskoczyła z niej w trakcie jazdy, żeby nie zapłacić za kurs (równowartość 1,8 dol.). Wcześniej, jadąc, poinformowała ona kobietę za kierownicą, że nie ma pieniędzy. Ta postanowiła więc udać się z nią na policję. Wtedy pasażerka zdecydowała się na desperacki krok. Ostatecznie nic się jej nie stało i ponoć z taksówką ostatecznie się rozliczyła. © *Filip Memches*



JACEK PRZYBYLSKI

GLOBALNE OCHŁODZENIE

Gotówka, głupcze!

Wprawdzie wygodny elektroniczny pieniądz błyskawicznie trafił pod strzechy, a światowe media od lat zwiastują rychłą śmierć gotówki, jednak papierowy pieniądz wciąż trzyma się dobrze.

I wcale nie jest to relikwyt przeszłości. W czasach coraz groźniejszej cyberprzestępczości, awarii bankomatów i bankowych aplikacji, niespodziewanych blackoutów i wybuchających w kolejnych krajach krwawych wojen eksperci mówią wprost: gotówka to kluczowy element zabezpieczenia na tzw. czarną godzinę. W sy-

tuacji kryzysowej osoby, które polegają wyłącznie na cyfrowych metodach płatności, mogą nie mieć możliwości zakupu podstawowych artykułów spożywczych, leków czy paliwa.

Przestawiciele szwedzkiego banku centralnego Riksbank zaapelowali przed kilkoma tygodniami o zmiany legislacyjne, pozwalające zawsze płacić gotówką za żywność, opiekę zdrowotną czy leki. Stosowne prawo w maju weszło również w życie w znanej z zamiłowania do cyfrowego pieniądza Norwegii. Zgodnie z nowymi przepisami, jeśli sklep

odmówi przyjęcia gotówki, to jego właściciel może zostać ukarany grzywną.

Również w Polsce banknoty i monety emitowane są „prawnym środkiem płatniczym”. Niepewne czasy sprawiają zaś, że część osób woli nie ryzykować trzymania pieniędzy na bankowych kontach i preferuje skrytki depozytowe, ukryte schowki czy nawet sejfy. Ile mieć gotówki w domu? Bankierzy ze Szwecji czy z Holandii radzą, aby trzymać od 170 do 500 euro (ok. 730–850 zł). Nad Wisłą warto mieć w gotówce chociaż 500 zł. Strzeżonego Pan Bóg strzeże. ©



PIOTR GABRYEL

PROSTO ZYGZAKIEM

Obstawiam czarny wariant

Nie, nie jestem urodzonym pesymistą, choć – to prawda – nie jestem też urodzonym optymistą.

A czymże różni się ów czarny scenariusz, czarny wariant, który obstawiam, od innych? Otóż różni się skalą spodziewanej zapaści Polski, jeśli chodzi o przewidywany poziom jej zadłużenia i związane z tym perturbacje. Wszelako w zasadzie w każdym ze scenariuszy zadłużania się Polski prognozy dla naszego kraju są tak złe, że powiedzieć o nich „niepokojące” to nic nie powiedzieć.

Z najnowszej, publikowanej przez Komisję Europejską co roku prognozy, szacującej ryzyko związane z poziomem długu publicznego w państwach UE, niezbiecie bowiem wynika, że zadłużenie Polski będzie już tylko rosło i rosło, i rosło. I tak bez końca? No, niezupełnie – końcem bowiem będzie bankructwo Polski. A różnica jest tylko taka, że będzie ono rosło albo wolniej, albo szybciej. Ja obstawiam, że jednak szybciej, i to jest właśnie ten czarny scenariusz, na który stawiam, bo obserwując polską praktykę polityczną, z wpisaną w nią plemienną wojną, nijak nie chce mi wyjść inaczej.

A oto liczby z raportu KE. W scenariuszu bazowym – takim, w którym rząd Polski ani nie redukuje wydatków, ani nie aplikuje nowych, a przy tym nie wprowadza nowych podatków i nie podnosi wymiaru już istniejących, a także nie likwiduje i nie obniża wymiaru podatków istniejących

– dług Polski będzie stale rósł, osiągając w 2035 r. poziom 95 proc. PKB. Jak wspominałem, raport KE zawiera jednak też trzy inne, trochę i dużo gorsze dla nas scenariusze, z których każdy prowadzić będzie do jeszcze większego zadłużenia Polski i przekroczenia przez dług naszego państwa w 2035 r. poziomu 100 proc. PKB.

To oczywiście oznacza, że znacząco rosnąć będzie obciążający nas, polskich podatników, koszt obsługi tegoż długu. Teraz – w 2025 r. – wynosi on już aż 2,6 proc. PKB, w 2030 r. wzrośnie do aż 3,7 proc, a w 2040 r. – do aż 5 proc. A każdy 1 proc. PKB oznacza teraz konieczność wydania co roku ok. 40 mld zł. Czyli dziś spłata zadłużenia Polski kosztuje nas, polskich podatników, co roku ok. 100 mld zł, a w 2035 r. będzie nas kosztowała już grubo – grubo! – ponad 200 mld zł, bo przecież wzrośnie też wartość naszego PKB.

Z czym to porównać? Cóż, gdyby Polska nie była w ogóle zadłużona, czyli gdybyśmy tych 100 mld zł nie musieli w tym roku przeznaczyć na spłacanie długu tym, którzy pożyczili nam swe pieniądze, to moglibyśmy już dziś całkowicie zlikwidować w Polsce podatek PIT, z którego budżet państwa zebrał w 2024 r. 97,6 mld zł. Czyż nie byłaby to znakomita wiadomość dla wszystkich Polaków, że zamiast nabijać kabzy pożyczkodawcom, sami się mogą bogacić? ©©



ŁUKASZ WARZECHA

NOTATNIK MALKONTENTA

Artykuł 117 Kodeksu karnego

Niezależnie od tego, jak w kontekście strategicznym czy też polskiego interesu oceniamy izraelski atak na Iran (a najlepiej oceniać go na chłodno, bez kibicowskich emocji, które towarzyszą znacznej części polskich komentatorów), jedno nie ulega wątpliwości: mamy tutaj do czynienia z wojną napastniczą. Nawet gdyby uznać, że Iran faktycznie był o krok od uzyskania zdolności do

któregokolwiek z prokuratorów generalnych, dlaczego ten przepis traktowany jest skrajnie wybiórczo.

Za rządów PiS kilka osób trafiło przed prokuratora za wyrażane przez siebie opinie o napaści Rosji na Ukrainę – właśnie na podstawie art. 117 Kodeksu karnego. Państwo pod rządami PiS było w pewnym okresie bardzo gorliwe w forsowaniu jedynie słusznej wersji polityki wobec Ukrainy. Dlaczego jednak nigdy przed prokuratora nie trafił nikt, kto popierał agresję Stanów Zjednoczonych na Irak, rozpoczętą w 2003 r., która była najbardziej klasycznym przykładem wojny napastniczej? Dlaczego teraz prokuratura nie ściga zawzięcie niezliczonych polityków, którzy na wyprzódki przed kamerami pochwalają poczynania Izraela? Przecież każdy z nich powinien mieć już status podejrzanego – z art. 117 Kodeksu karnego.

Jaki z tego wniosek? Prosty: ten przepis jest absurdalny. Krepuje wolność słowa i wyrażania opinii. Postępowanie prokuratury za rządów PiS pokazało, że może być używany jako straszak na obywateli niezgadzających się z linią władzy – wybiórczo. A jeśli ma w Kodeksie karnym zostać, to niech tak samo dotyczy wszystkich. Panie Bodnar, do roboty! ©©

Jaki z tego wniosek?

Prosty: ten przepis jest absurdalny

wyprodukowania znaczącej liczby taktycznych głowic jądrowych – a jest to wątpliwe i nie tak dawno sceptyczna wobec tego twierdzenia była nawet Tulsi Gabbard, szefowa amerykańskiego wywiadu – to i tak w świetle prawa międzynarodowego agresorem jest Izrael.

W polskim Kodeksie karnym istnieje art. 117. Jego paragraf 3. mówi: „Kto publicznie nawołuje do wszczęcia wojny napastniczej lub publicznie pochwała wszczęcie lub prowadzenie takiej wojny”, zagrożony jest karą od trzech miesięcy do pięciu lat pozbawienia wolności. Nikt nigdy nie zapytał



Jan Bogatko z Berlina

Swego czasu wymyślono termin „kraje rozwijające się”. Międzynarodowy Fundusz Walutowy do grupy „gospodarki wschodzące i rozwijające się” zalicza wiele państw, począwszy od Afganistanu, a skończywszy na Zjednoczonych Emiratach Arabskich. Są oczywiście także inne definicje niż ta MFW, ale brakuje definicji krajów zwijających się. Do takich liczni ekonomiści zaliczają dzisiaj Niemcy – niedawną lokomotywę gospodarki Unii Europejskiej. Kraj zwijający się to taki, w którym następuje deindustrializacja. Czyli rezygnacja z przemysłu. Z powodów ideologicznych

Planeta płonie! Letzte Generation – wymyślona w 2021 r. w Niemczech, lecz działająca w licznych krajach, w tym także w Polsce, lewacka bojówka aktywistów New Religion – nie tylko blokuje drogi publiczne, ryzykuje udaremnienie pomocy medycznej na czas czy dojazdu straży pożarnej do walki z ogniem, lecz także dopuszcza się powszechnie krytykowanych aktów wandalizmu. Religia członków grupy uznaje ją za naród wybrany, za ostatnie pokolenie aktywistów, którzy mogą coś jeszcze zrobić przed końcem świata. Takich sekt o różnym charakterze jest na świecie bez liku, czasem się rozwijają, często znikają ze sceny, jak np. Ostatnie Pokolenie w Austrii w ubiegłym roku, którego to główną akcją było oblanie czarną farbą obrazu Gustava Klimta „Śmierć i życie” w wiedeńskim muzeum. Na szczęście był on chroniony szybą. Nawet prokuratura w Monachium uznała Ostatnie Pokolenie za grupę przestępczą. Ale co począć z politykami



Niemcy

– kraj zwijający się?

działającymi także z ideologicznych pobudek na rzecz likwidacji przemysłu? Chronieni są immunitetem?

ZŁA SYTUACJA PRZEDSIĘBIORSTW

Niemcy boją się o emerytury. Zła sytuacja gospodarcza w kraju między Odrą

a Renem nie pozwala liczyć na odczuwalną podwyżkę świadczeń na starość. Wedle danych Niemieckiej Izby Przemysłowo-Handlowej (DIHK), potężnej organizacji zrzeszającej przedsiębiorców, aktualnie tylko 28 proc. firm produkujących w Niemczech pozytywnie oceniało w ubiegłym roku własną sytuację bizne-



FOT. ADRIAN STOK

ralne trzymają niemiecką gospodarkę w kleszczach. Mówienie na temat przyszłości gospodarczej Niemiec przypomina wróżenie z fusów. Przez media przechodzi budzący groźę termin „deindustrializacja”. Czy to tylko „German Angst” (niemiecki lęk) czy niepokojący zwiastun czarnych chmur na gospodarczym horyzoncie (niedawnej?) gospodarczej potęgi światowej czołówki? Niemieccy producenci emigrują za granicę. Podobnie jak emeryci wybierający dla siebie niekoniecznie najcieplejsze kraje na jesień życia, aczkolwiek przy rosnących cenach energii, za które tylko częściowo odpowiada napaść Rosji na Ukrainę, ma to niemałe znaczenie. Lewica, zwłaszcza zielona, latami pracowała na wzrost cen energii po to, by utopijne projekty, jak wiatraki, stały się w pełni opłacalne.

Wykorzystanie energii wiatru do wytwarzania energii elektrycznej rozpoczęło się w latach 70. XX w. od budowy małych turbin wiatrowych. Od 1983 r. proces ten nabrał rozmachu wraz z budową większych turbin wiatrowych, takich jak „Growian” w Szlezwiku-Holsztynie. O czym się dzisiaj niechętnie mówi, projekt „Growian”, o mocy 3 MW, okazał się wówczas wbrew wysiłkom lobbystów całkowitym fiaskiem. Z reguły wiatraków się nie obracał, co miało tę dobrą stronę, że nie zabijał przelatujących ptaków. W 1988 r. zdecydowano się rozebrać to urządzenie. Ale od realizacji pomysłu nie odstąpiono. Ideologiczna presja jest wszechmocna. Ochrona krajobrazu wtedy się nie liczy. Zamiast taniej, łatwo dostępnej energii Niemcy mają w efekcie drogą, rzucającą gospodarkę na kolana. Najlepszą ilustracją jest sekciarskie podejście do energetyki jądrowej. Po katastrofie sowieckiej elektrowni atomowej w Czarnobylu, na dawnych kresach Rzeczypospolitej, wszystkie działające na Zachodzie obiekty zrównano pod względem ryzyka z zawodną, sowiecką technologią. Darujmy sobie wykład o szkodliwości urządzeń do produkcji energii wiatrowej dla środowiska, to ważny temat zasługujący na podjęcie w innym miejscu i czasie.

Podczas ostatniej kampanii wyborczej, towarzyszącej przedterminowym wyborom do Bundestagu po fiasku lewicowego rządu socjalistów z Zielony-

mi i FDP (w charakterze listka figowego), miały miejsce różne debaty z udziałem kandydatów na fotel kanclerza w Berlinie. Niektóre nawet z udziałem równie namolnie, co nieskutecznie marginalizowanej konserwatywnej partii AfD. W jednej z nich wystąpił urzędujący jeszcze wówczas szef rządu w Berlinie, Olaf Scholz, w „pojedynku” – jak to się w Niemczech mówi – z kandydatem na kanclerza z ramienia CDU/CSU, nazywanej nadal „chadecją”, mimo że partia ta jest chrześcijańska wyłącznie z nazwy. I oto w debacie z przyszłym kanclerzem Friedrichem Merzem Scholz na podnie-

Na nowy rząd w Berlinie gospodarka w Niemczech nie może raczej liczyć

sione zarzuty zareagował ostro słowami, że w Niemczech nie ma żadnej deindustrializacji. Na jego nieszczęście telewizyjny program wyborczy śledziła Nicole Grünewald, prezydent Izby Przemysłowo-Handlowej w Kolonii. IHK w Kolonii reprezentuje interesy 150 tys. przedsiębiorców, więc niewielu mniej niż SPD ma członków. A to nie bagatelka. Grünewald z oburzeniem zareagowała na słowa lewicowego polityka. W wywiadzie z nią, który zamieścił poważny berliński portal gospodarczy Business Insider (wydawca – Axel Springer SE), Nicole Grünewald ostro zaprzecza wypowiedzi kanclerza, co nie wynika z tego, że Scholz nie ma szans wygrać wyborów do Bundestagu. Natomiast faktem jest wzmagająca się emigracja niemieckich firm do innych państw świata. Winę za ten stan rzeczy ponosi polityka postrzegana w Niemczech ostatnio jako czynnik ryzyka.

KANCLERZ ZAPRZECZAŁ

Jak utrzymują eksperci z OECD (Organizacja Współpracy Gospodarczej i Rozwoju), w bieżącym roku Niemcy będą się rozwijać tak słabo, jak żaden z innych krajów o rozwiniętej gospodarce. Oczywiście Scholz, gdy był kanclerzem, nie dopuszczał nawet myśli o deindustrializacji. Mówił, że złe nastroje to żadna deindustrializacja. Business Insider (Moritz Seyffarth) chce

sową. Z kolei 23 proc. (wzrost o 1 proc.) ocenia własne perspektywy negatywnie. Tendencja ta utrzymywała się pod koniec rządów kanclerza Niemiec, Olafa Scholza z SPD, ucznia Helmuta Schmidta, socjalisty, o którym mawiano, że zapisał się do złej partii (jakoby CDU byłaby dla niego lepsza). Także dziś nic nie wskazuje na to, by miała ona wrócić do źródła. Późną wiosną ubiegłego roku, przedstawiając wyniki badań nastrojów gospodarczych w Niemczech, dyrektor DIHT, Martin Wansleben, poinformował media w Berlinie o tym, że aktualna sytuacja przedsiębiorstw jest zła, a w przemyśle nawet bardzo niekorzystna. Zgoda, niemieccy przedsiębiorcy bardzo lubią narzekać (z nadzieją, że państwo przyjdzie im z pomocą), ale nadzieja, która pojawiała się od czasu do czasu w ubiegłych miesiącach, że jakiś dobry biznes zagraniczny czy ożywienie popytu na krajowym rynku wewnętrznym ponownie odegra rolę motoru koniunktury, okazała się płonna.

Co gorsza, słaba koniunktura wewnętrzna i bolesne wyzwania struktu-

■ wiedzieć, „czy rzeczywiście Niemcy weszły w fazę deindustrializacji”. A Nicole Grünewald odpowiada: „Tak. Postrzegamy rozwój sytuacji całkiem inaczej niż Olaf Scholz. I nie mogę zrozumieć, dlaczego w debacie telewizyjnej twierdził on coś przeciwnego. Fakt, że urzędujący kanclerz zaprzecza trwającą deindustrializację, jest problemem dla naszej gospodarki. Żyjemy w czasach fake newsów i dezinformacji. Dobrze by było, gdyby kanclerz trzymał się faktów. A faktem jest, że w Niemczech postępuję deindustrializacja”. Grünewald dzieli się wiedzą na ten temat. Mówi, że wynika ona z regularnie przeprowadzanych przez IHK w Kolonii badań. Wymowa faktów jest oczywista. I tak 29 proc. firm działających w skali międzynarodowej chce rozbudować swe zagraniczne lokalizacje, równocześnie 34 proc. przedsiębiorstw zamierza wyhamować inwestycje w Niemczech. Innymi słowy:

cyjnie. Zanim doszło do wojny rosyjsko-ukraińskiej, RFN przeżywała pandemię. Po pandemii rząd powinien zgodnie z instynktem samozachowawczym zadbać o redukcję biurokracji i o wprowadzenie rozsądnej, a nie ideologicznej polityki energetycznej. Lata mijały, a sytuacja gospodarcza w Niemczech permanentnie się pogarszała. O ile w państwach członkowskich Unii Europejskiej PKB od 2019 r. wzrósł o 5,3 proc., o tyle w Niemczech zaledwie o 0,3 proc. Dla porównania: w Polsce w 2019 r. PKB wzrósł o 4,5 proc. – jak podaje GUS. U zachodniego sąsiada przedsiębiorcy, bardziej agilni niż rząd, stracili do niego zaufanie. Tego dotąd w Niemczech nie było. Gospodarka widzi w polityce czynnik ryzyka dla Niemiec jako lokalizacji przemysłu. Ale nie tylko gospodarka: przeciętny Niemiec też stracił zaufanie do rządu i dlatego mniej wydaje na konsumpcję.

getyczną w Nadrenii Północnej-Westfalii. Jeśli nastąpi rezygnacja z węgla, to trzeba będzie zbudować tam osiem wielkich elektrowni na bazie gazu dla pokrycia zapotrzebowania energetycznego. Tymczasem tylko jedna z nich jest w planowaniu! Pozostałe to na razie pomysły. A elektrownia gazowa nie stanie w dwa lata – w Niemczech trzeba na to co najmniej sześciu lat. Można oczywiście kupować energię za granicą. Jak atomową, we Francji. W niemieckim Internecie kursował kiedyś dowcip rysunkowy: „Energia atomowa? Dziękuję, nie. Ja mam prąd z gniazdka”.

IDEOLOGIA NIE ZASTĄPI EKONOMII

Wyniki ubiegłorocznego barometru energetycznego wskazują na groźny rozwój sytuacji na innych polach. „Zaufanie niemieckiej gospodarki do polityki energetycznej jest poważnie nadwyrężone” – mówi wicedyrektor Niemieckiej Izby Przemysłowo-Handlowej, Achim Dercks. I dodaje, że o ile w okresie przed 2023 r. wiele firm dostrzegało szanse rewolucji energetycznej dla własnego zakładu, o tyle dzisiaj postrzeganie szans ustąpiło postrzeganiu ryzyka. Ideologia nie zastąpi bowiem ekonomii. W aktualnej sytuacji zwłaszcza energochłonne gałęzie gospodarki rozważają emigrację albo ograniczenie produkcji. Aż 45 proc. energochłonnych zakładów planuje wyjazd z Niemiec.

Bardziej drastycznie przedstawiają się nastroje w wielkich firmach produkcyjnych zatrudniających ponad 500 pracowników. 51 proc. z nich planuje ograniczenie produkcji, względnie przeniesienie jej z Niemiec. I nie jest to wcale takie trudne, jakby się wydawało. Przedsiębiorcy, w przeciwieństwie do polityków, nauczyli się rachować. I propagandowe sztuczki z cenami energii, podejmowane przez rząd, nie trafiają u nich na podatny grunt. Przedsiębiorców denerwują wypowiedzi takich polityków jak Robert Habeck (Zieloni) czy Olaf Scholz (SPD), że ceny energii wyraźnie spadły, co dotyczy w zasadzie tylko taryf dla nowych klientów.

Wszyscy się rozwijają, tylko Niemcy się zwijają. Na nowy rząd gospodarka w Niemczech nie może raczej liczyć.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Wszyscy się rozwijają, tylko Niemcy się zwijają. Na nowy rząd w Berlinie gospodarka niemiecka nie może raczej liczyć

niemieckie firmy inwestują w większości za granicą, to nowa tendencja. Dlaczego socjalistycznemu kanclerzowi brakowało tej wiedzy? Czyżby podczas briefingu czytano mu tylko pozytywne doniesienia? Czyżby nie słuchał opinii ekspertów, bawiąc w styczniu ubiegłego roku w IHK w Kolonii? Nicole Grünewald zapewnia, że rozmowa była otwarta i szef rządu poznał wszelkie dostępne fakty. Brał w niej udział szef wielkiej firmy Covestro (obróć 14 mld euro, chemia i włókna sztuczne, notowana na giełdzie). Kanclerz usłyszał wówczas na własne uszy, że Covestro nie będzie już inwestował w Niemczech, bo to się już nie opłaca. Czy można to było wyrazić jaśniej? Chyba nie. I mimo to nie dotarło to do kanclerza.

Najgorsza sytuacja jest w niemieckim przemyśle. Wynika to głównie z cen energii, dwukrotnie wyższych niż przed wojną rosyjsko-ukraińską. Pełny obraz otrzymamy jednak, dodając do tego biurokrację made in Germany i wysokie koszty płacy. Podsumowując: Niemcy nie produkują już w swoim kraju konkuren-

Energia jest nośnikiem gospodarki. W zasadzie każdy o tym wie. Poza władzami Niemiec. Dlaczego w Nadrenii Północnej-Westfalii rząd tego landu i RWE – koncern energetyczny (dzisiaj jedna z wiodących firm w dziedzinie energii odnawialnej) – postanowiły przyspieszyć o osiem lat odejście od węgla jako surowca energetycznego (planowane na rok 2038, realizowane w roku 2030). Wyłącznymi skutkami tego posunięcia są wzrost niepewności energetycznej przedsiębiorstw i wysokie ceny. Czy nowy koalicyjny rząd w Berlinie pod egidą Friedricha Merza doprowadzi do przełomu? Założę się, że nie.

Nicole Grünewald uważa wyłączenie z sieci trzech pozostałych w Niemczech elektrowni atomowych za całkowity błąd. Gospodarczy i społeczny. Nic, ale to zupełnie nic nie przemawiało za ich zamknięciem. Grünewald nie tęskni za rosyjskim gazem. Ale zdecydowanie opowiada się za solidnymi źródłami energii, wymieniając węgiel na pierwszym miejscu. Przed gazem i energią atomową. Wskazuje ona na trudną sytuację ener-



KIA SORENTO

Pracując nad najnowszą, czwartą już odmianą Sorento, Koreańczycy wzięli na warsztat dobrego i popularnego nad Wisłą rodzinnego SUV-a i po liftingu zrobili z niego model niemal znakomity. Odważnie zarysowane auto o potężnej sylwetce ma gigantyczny bagażnik, bogate wyposażenie, a w wersji z trzecim rzędem siedzeń może pomieścić sześć lub siedem osób.

Pod maską mierzącego aż 4,81 m długości SUV-a są obecnie dostępne dwa silniki: benzynowy o pojemności 1,6 l oraz wysokoprężny o pojemności 2,2 l. W testowej wersji pod maską mieliśmy diesla o mocy 193 KM i maksymalnym momencie obrotowym wynoszącym 440 Nm. Dzięki temu Sorento potrzebowało na sprint od zera do 100 km/h 9,7 s. Prędkość maksymalna wynosi zaś 201 km/h. Auto jest dynamiczne, choć

zazwyczaj płynnie działająca przekładnia DCT momentami zbyt ospale reaguje na nagłe docisnięcie pedału gazu. Średnie spalanie podczas testu wyniosło 8,0 l/100 km.

W kabinie wykończonej minimalistycznie przy użyciu wielu miękkich materiałów uwagę przyciągają dwa 12,3-calowe wyświetlacze połączone elegancko w jednej płaszczyźnie. Oprócz tego do dyspozycji jest ergonomicznie wymyślony panel pozwalający na bezproblemową obsługę klimatyzacji i multimedialnych. System multimedialny działa bez zarzutu. Błyskawicznie łączy się też bezprzewodowo z Android Auto oraz Apple CarPlay.

Przestrzeni jest mnóstwo. I to nie tylko z przodu. Miejsca nie brakuje w żadnym z trzech rzędów. W wersji testowej do dyspozycji było łącznie sześć miejsc. Z tyłu wygodnie mogą podróżować osoby

o wzroście 160–170 cm. Pasażerowie trzeciego rzędu nie zostali potraktowani po macoszemu: mają do dyspozycji nawiewy, uchwyty na kubki czy gniazda USB-C. Aby wygodniej wysiąść z auta, osoba z trzeciego rzędu może banalnie prosto – jednym przyciskiem – złożyć siedzenie przed sobą w drugim rzędzie (Kia umożliwia również zamówienie Sorento w wersji siedmioosobowej). Fotele kierowcy i pasażera mają zaś nawet rozkładane elektrycznie podnóżki. W taki sposób nawet na długich trasach można podróżować naprawdę komfortowo. Zwłaszcza że Sorento ma dobrze zestrojone zawieszenie, a kabina została bardzo przyzwoicie wyciszona. Nieco na siłę przyczepić się można do przyciągającej wszelki brud fortepianowej czerni, której w kabinie mogłoby być nieco mniej.

W samochodzie rodzinnym bardzo ważny jest kufer. W nowym Sorento pojemność zależy od liczby foteli. Jeśli rozłożone są wszystkie trzy rzędy siedzeń, to bagażnik ma 179 l pojemności. Jeśli zostawi się tylko dwa rzędy foteli, to pojemność kufru urośnie do 813 l, a po złożeniu drugiego rzędu do dyspozycji jest aż 2041 l przestrzeni ładunkowej. Szkoda jedynie, że chociaż auto z wyglądu przypomina wielkie, amerykańskie terenówki, to ma zaledwie 176 mm prześwitu, co znacząco ogranicza jego możliwości terenowe.

Najnowsze Sorento w najtańszej wersji wyposażenia z silnikiem benzynowym o pojemności 1,6 kosztuje co najmniej 223,4 tys. zł. Wariant z jednostką wyposażenia to koszt minimum 241,9 tys. zł. Testowany wszystkomający egzemplarz wyceniony był na 303,7 tys. zł. ©

ROUTER FRITZ!BOX 6860 5G

Odporność na warunki atmosferyczne, wysoka wydajność, szyfrowanie WPA3, zasilanie przez PoE, kompaktowy rozmiar oraz prosta obsługa – to największe zalety potężnego routera renomowanej niemieckiej firmy AVM.

Solidnie wykonane urządzenie jest stosunkowo niewielkie i utrzymane w typowej dla producenta biało-czerwonej stylistyce. To, co wyróżnia ten model, to odporność na warunki atmosferyczne spełniająca normę IP54, co gwarantuje odporność na kurz oraz deszcz (podobną normę spełniają np. napędy do bram). W zestawie znajdują się też dwa uchwyty – routera można więc używać zarówno wewnątrz pomieszczeń, jak i na zewnątrz. Montaż wysoko na zewnętrznej ścianie może zaś istotnie poprawić zasięg sieci 5G (polecałbym jednak nie przesadzać z zaufaniem do certyfikatów i umieścić router choćby pod niewielkim daszkiem).

Oceniają to zwłaszcza osoby mieszkające w miejscowościach, w których nie ma jeszcze dostępu do sieci światłowodowej, lub ci, którzy szybkim Internetem chcą się cieszyć nie tylko w domu, lecz także w altanie w ogródku działkowym.

Uzbrojony w cztery anteny mobilne router obsługuje sieci 5G (SA i NSA), 4G i 3G. Dzięki funkcji optymalizacji sygnału znalezienie najlepszego miejsca dla routera jest banalnie proste. Podobnie

zresztą jak sama obsługa tego urządzenia. Sumaryczna przepustowość testowanego routera wynosi 1,3 Gbit/s.

Dla użytkownika dostępny jest jeden 1-gigabitowy port LAN. Jednocześnie model 6860 5G umożliwia stworzenie szybkiej sieci Wi-Fi 6 (do 2400 Mbit/s w paśmie 5 GHz i 600 Mbit/s w 2,4 GHz). Jest tu też wbudowana funkcja Mesh, która ułatwia eliminowanie w domu martwych stref. FRITZ!Box 6860 5G zapewnia wysoki poziom bezpieczeństwa – wspiera bowiem protokoły szyfrowania IPsec, WPA2 oraz najnowocześniejszy WPA3. Ma również zaporę ogniową i możliwość ustawienia oddzielnego dostępu dla gości.

Testowany router umożliwia również obsługę urządzeń Smart Home, a także internetowej telefonii, czyli takich technologii jak VoLTE (Voice over LTE) i VoNR (Voice over New Radio) czy VoIP/SIP. Obsługuje też m.in. do sześciu telefonów DECT.

Minusy? Przydałoby się więcej portów LAN. Szkoda również, że urządzenie nie obsługuje kart eSIM. Mnie zabrakło też wbudowanego akumulatora – wówczas byłby to jednocześnie świetny router na co dzień i na czas wakacyjnych wojaży z dala od gniazdka elektrycznego. Cena: 1776 zł. ©





Cezary Gmyz

Z całych sił zachęcam państwa do spędzania urlopu nad Wisłą lub tak jak ja – na Wiśle. Rzeka wciąż zachowuje swoje wielkie walory przyrodnicze i turystyczne. Każdy, kto choć parę godzin spędził na mojej tratwie, wraca zachwycony, i to niezależnie od odcinka, którym płyniemy

Osiem lat temu obchodziliśmy Rok Wisły. Został on ustanowiony na pamiątkę pierwszego wolnego Flisu, kiedy to na skutek drugiego pokoju toruńskiego (1466) przyłączano do Polski Pomorze Gdańskie, co sprawiło, że cała rzeka znalazła się w granicach Rzeczypospolitej. Nie ma wątpliwości, że właśnie to doprowadziło do największego okresu prosperity w dziejach Polski, zakończonego ostatecznie dopiero rozbiorami Rzeczypospolitej.

Jeżeli do czegoś współcześnie można porównać Wisłę, to chyba jedynie do planów budowy Centralnego Portu Komunikacyjnego. Przez stulecia Wisła była jednym z najważniejszych elementów infrastruktury transportowej o globalnym wręcz zasięgu. Przesada? Wcale nie. Wisła jako kręgosłup transportowy nie ustępowała wówczas takim drogom wodnym jak Ren, Sekwana czy Dunaj. I to zarówno jeśli chodzi o żeglugę towarową, jak i pasażerską. Dość powiedzieć, że pierwsi polscy osadnicy, którzy w 1608 r. osiedlili się w Jamestown w Ameryce, dotarli do niej prawdopodobnie na pierwszym etapie podróży, korzystając z wiślańskiej drogi śródlądowej. Podobnie Polskę opuścił, wyruszając z terenów dzisiejszej Białorusi, Tadeusz Kościuszko po nieszczęśliwym romansie z Ludwiką Sosnowską. Po dwuletnim pobycie we Francji dotarł do Ameryki Północnej. Nie ma też wątpliwości, że przeprowadzka dworu królewskiego z Krakowa do Warszawy w 1596 r. odbyła się drogą wodną. Był to po prostu najszybszy

Wisła

– lekceważona królowa



FOT. ARCHIWUM AUTORA

i najwygodniejszy sposób transportu, a przy tym również najtańszy.

NOWA STARA DROGA

Jednak to nie transport pasażerski, choć istotny, decydował o znaczeniu Wisły. (Nawiasem mówiąc, rozróżnienie między żeglugą pasażerską a towarową jest płynne. Zazwyczaj bowiem jednostki, którymi spławiano towary, przewoziły również pasażerów.) To właśnie spławianie towarów przynosiło największe zyski. Zwłaszcza od momentu, w którym na skutek budowy Kanału Ogińskiego powstało połączenie między Bałtykiem i Morzem Czarnym. Zbudowany w drugiej połowie XVIII w. kanał, choć liczący zaledwie 54 km, porównać można jedynie z o wiele

późniejszymi inwestycjami, takimi jak kanały Sueski czy Panamski.

Połączył on we wspólny organizm transportowy takie rzeki jak Dniepr, Niemen, Pina, Prypeć, Bug. Dziś planuje się odtworzenie tego szlaku poprzez budowę drogi wodnej E40. I choć inwestycja jest w powijakach, to już jest oprotestowana przez zawsze usłużnych ekologów. A fakt jest taki, że budowa – a właściwie odnowienie – tej drogi wodnej znacznie skróciłaby drogę dla towarów z Azji do Europy Zachodniej. Bo zamiast opływać Półwysep Iberyjski, towary byłyby wyładowywane w ukraińskim Chersoniu, a stamtąd spławiane rzekami do polskich portów, takich jak Gdańsk czy Elbląg, a nawet do Szczecina, dzięki Kanałowi Bydgoskiemu łączącemu Wisłę z Odrą.

Ta sama droga mogłaby zasilac masą towarową porty w litewskiej Kłajpedzie i łotewskiej Rydze. Nie da się ukryć, że stanowiłoby to olbrzymią konkurencję dla takich potęg portowych jak Rotterdam, Amsterdam czy Hamburg. Nic więc dziwnego, że ekolodzy z tamtych państw, którzy pod niebiosą wychwalają żeglugę śródlądową w swoich krajach jako najbardziej czysty środek transportu, biją na alarm, bo w gruncie rzeczy są lobbystami, przede wszystkim niemieckich interesów.

Jeśli już jesteśmy przy tzw. ekologach, to w moim najgłębszym przekonaniu potwierdzają oni słynną opinię Czesława Miłosza – „Zaiste, wariat na swobodzie największą klęską jest w przyrodzie”. Problem polega jednak na tym, że wielu z tych wariatów to wyrachowani lobbysty, którzy z oprotestowywania rozmaitych inwestycji uczynili sobie niezłe źródło dochodów. Jednym z największych kłamstw przez nich głoszonych jest kwestia powtarzana jak mantra – Wisła jest ostatnią wielką dziką rzeką w Europie. Wręcz przeciwnie. Problem polega na tym, że Wisła nie jest rzeką dziką, ale zdziczałą. Od stuleci była ona regulowana, choć był to proces odbywający się zazwyczaj bez szkód w przyrodzie. Rzeką była „uprawiana” metodami naturalnymi. Takimi było usypywanie ostróg i opasek z najbardziej ekologicznego materiału, którym jest kamień. Podobną rolę odgrywało umacnianie brzegów faszyną, czyli witekami i gałęziami formowanymi w wiązki.

Obie te metody, używane umiejętnie, sprawiły, że rzeka sama złobiła swoje koryto, naturalnie pogłębiając się i tworząc szlak żeglugowy. Wbrew temu, co krzyczą ekolodzy o betonowaniu koryt, te naturalne metody są stosowane do dziś. Problem polega jednak na tym, że na zbyt małą skalę, co powoduje wypływanie się rzeki, a przez to jej wymieranie. Pływając po królowej rzek, obserwuję ten proces od wielu lat. Nawiasem mówiąc, nigdy jeszcze podczas tych rejsów nie spotkałem nawet pół ekologa. Jeśli są oni gdzieś na brzegach, to zapewne przesiadują przy piwku na Bulwarach Wiślanych, bo w interiorze ich nie ma.

Nawiasem mówiąc, w czasach, kiedy Wisła była znacznie brudniejsza niż dziś, czyli w czasach PRL, gdy wielki przemysł zanieczyszczał ją o wiele bardziej niż

dziś, przyroda w rzece i na jej brzegach była bujniejsza niż obecnie. Dość powiedzieć, że do połowy lat 60. XX w. w rzece pływały jesiotry. Dziś próbuje się dokonywać ich reintrodukcji, ale na razie nie wiadomo, czy ten eksperyment się powiedzie. Niestety, wysychanie Wisły to swoiste perpetuum mobile o sile destrukcyjnej. Rzeką niesie coraz mniej wody, melioracja i suszenie mokradeł sprawiły, że jest coraz słabiej zasilana przez wody powierzchniowe. Zaraza, która przetrzebiła lasy u źródeł Wisły, sprawiła, że wody przestały być zatrzymywane. To z kolei powoduje, że nie ma co parować, a to oznacza bezśnieżne zimy. To z kolei powoduje zmniejszenie się powierzchni parowania w całym dorzeczu Wisły, a także Odry. Niestety, ambitne plany rządu Zjednoczonej Prawicy po zmianie rządu zostały zatrzymane. Symbolem tego było wstrzymanie w grudniu ubiegłego roku budowy stopnia wodnego w Siarzewie. Inwestycja była gotowa do realizacji, jednak dyrektor generalny ochrony środowiska odmówił wydania decyzji środowiskowej, co oznacza brak zgody na rozpoczęcie budowy.

POTRZEBNE ZAPORY

Problem polega na tym, że samo Siarzewo to zdecydowanie zbyt mało, by poprawić sytuację i zacząć ją odwracać. Ludzie znający rzekę mówią, że na Wiśle powinno się zbudować co najmniej sześć zapór: W tej chwili istnieje jedna – we Włocławku. W dodatku będąca tykającą bombą ekologiczną, gdyż zbudowano ją w czasach PRL, kiedy planowano tzw. kaskadę zapór, czyli zbudowanie większej liczby zapór wzdłuż całego biegu. W dodatku nie zaplanowano systemu odprowadzania osadów, z których wiele jest toksycznych. Dziś należałoby tamę przebudować, być może wcześniej spuszczać całą wodę z jeziora, by zutylizować niebezpieczne osady. Dzisiejsze metody budowy zbiorników – nawiasem mówiąc, opracowane przez polskich naukowców na podstawie technologii tzw. niskich progów – pozwalają ograniczyć erozję dna do stopnia przypominającego procesy w naturalnych jeziorach. Metoda ta umożliwia tzw. płukanie zbiornika co dwa lata i usuwanie osadów bez szkody dla przyrody. Tak właśnie był zaprojektowany stopień wodny w Siarzewie.

Budowa zbiorników wodnych wbrew temu, co mówią ekolodzy, poprawiłaby sytuację w przyrodzie, a dodatkowo zwiększyłaby udział zielonej energii w miksie energetycznym Polski. Podniosłaby też atrakcyjność turystyczną regionów, w których takie sztuczne jeziora by powstały. Jak mawia mój znajomy, emerytowany kapitan żeglugi śródlądowej: „Nie znam nikogo, kto chciałby spędzić wakacje w cieniu wiatraków, ale znam całe masy ludzi, którzy odpoczywają nad sztucznymi zalewami”. Problem polega na tym, że na wiatrakach zarabiają przede wszystkim Niemcy, a na zbiornikach korzystałoby Polacy. Być może to właśnie sprawia, że o protestach ekologów przeciw budowie wiatraków raczej nie słyszymy.

NAJPIĘKNIEJSZY DZIEŃ WAKACJI

Mimo tego, co przeczytali państwo powyżej, z całych sił zachęcam państwa do spędzania urlopu nad Wisłą lub tak jak ja – na Wiśle. Rzeką wciąż zachowuje swoje wielkie walory przyrodnicze i turystyczne. Każdy, kto choć parę godzin spędził na mojej tratwie, wraca zachwycony, i to niezależnie od odcinka, którym płynie. Krążące nad głowami bieliki i inne ptactwo, wszelkiego rodzaju zwierzęna płowa, która da się zaobserwować prawie podczas każdego rejsu, to niezapomniane przeżycie. Jest też Wisła jedną wielką lekcją historii łączącą trzy historyczne stolice Polski: Kraków, Warszawę i Płock. Jednak również inne, dziś nieco zapomniane lub leżące na boku szlaków turystycznych miasta, takie jak Nieszawa, Chełmno, Czerwińsk, Wyszogród czy Grudziądz, to perełki warte obejrzenia. A miasta tak atrakcyjne turystycznie jak Kazimierz Dolny czy Sandomierz też mają inny wymiar, kiedy oglądamy je z pokładu jednostki pływającej.

O wielu z tych miejsc będę chciał państwu opowiedzieć w następnych odcinkach tego cyklu. Na koniec jeszcze opowiem o jednej z moich córek chrestnych. Rodzice zabrali ją do Brazylii na wakacje. Po powrocie pani w szkole poprosiła, by dzieci namalowały najpiękniejszy dzień wakacji. Ku zdumieniu rodziców nie namalowała żadnych egzotycznych pejzaży, ale siebie z ojcem w pontonie podczas rejsu Wisłą, na który popłynęli przed wypadem na antypody.



SIOSTRY GOTUJA

MAGDALENA M. KRUPA Z D. CHRUZIK
I ANNA POPEK Z D. CHRUZIKPrzepisy
z Podkarpacia

Podkowa Leśna stała się naszym nowym domem po opuszczeniu przez nas rodzinnego Bytomia. Dodatkową atrakcją jest położony kilka kilometrów obok w Otrębusach matecznik zespołu Mazowsze. Od czasu do czasu organizowane są tam koncerty i pikniki. Na jednym z takich pikników wypatrzaliśmy stoisko Koła Gospodyń Wiejskich z Warzyc na Podkarpaciu. Wydobyliśmy od miłych pań przepis na pierogi.

Pierogi łemkowskie

- 0,5 kg sera białego wędzonego
- 1 kg ziemniaków ugotowanych
- 2 cebule uduszone na masłku
- 1 łyżka musztardy • 1 łyżka miodu
- pół łyżeczki soli • pieprz mielony do smaku • 1 łyżka sosu sojowego

Ciasto na pierogi

- 560 g mąki pszennej • 300 ml gorącej wody • pół łyżeczki soli
- 1 jajko • 100 g roztopionego masła lub 2 łyżki oliwy • dodatkowo cebulka podduszona na maśle do podania pierogów

Farsz

Ziemniaki przeciskamy przez praskę lub porządnie ugniatamy, ser rozdrabniamy widelcem, mieszamy z serem i uduszoną cebulką, doprawiamy solą i pieprzem, musztardą oraz miodem.

Ciasto

Z mąki i gorącej wody połączonej z masłem zagniatamy ciasto. Wyrabiamy, odstawiamy, przykrywamy talerzem, żeby odpoczęło ok. 30 min. Stolnicę posypujemy mąką, rozwałkowujemy ciasto na cienki placek i wycinamy szklanką kółka. Każde kółko wypełniamy farszem i skleamy brzegi. Gotujemy wodę z solą, wrzucamy partiami pierogi, gotujemy i czekamy, aż wypłyną, czekamy jeszcze 2–3 min i wydajemy. Podajemy z cebulką podduszoną na maśle.

Panie z KGW podały nam jeszcze przepis na proziaki, czyli tzw. chleb sodowy. Możemy podawać je z dodatkami na słono z masłem i czosnkowym i posypane szczypiorkiem lub na słodko z konfiturą owocową.

Proziaki

- 250 g mąki pszennej lub pszenno-żytniej • 200 g masłanki
- pół łyżeczki sody • pół łyżeczki soli

Wszystkie składniki mieszamy, aż uzyskamy jednolite ciasto. Odstawiamy, aby odpoczęło 20 min. Ciasto rozwałkowujemy na placek o grubości 1,5 cm, szklanką wykrawamy kółka, krążki. Patelnię mocno rozgrzewamy, zmniejszamy płomień na średni – żeby nie przypalić – i bez tłuszczu pieczemy z każdej ze stron do uzyskania mocno złotego koloru.

Im placek jest bardziej przypieczony, tym jest smaczniejszy. Przed wyjęciem możemy jeszcze sprawdzić jeden plucuszek, czy nie jest surowy w środku. © ©



JOANNA BOJAŃCZYK

NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU

W kierunku
wygody

W obliczu wszystkich problemów, z którymi nasz kraj się teraz zmagając, ten, jakiegoś miał na nogach buty, może się wydawać bez znaczenia. Okazuje się, że jednak wystarcza, aby wzniecić ogień w mediach, głównie społecznościowych.

Najpierw Marcie Nawrockiej, która dwa razy pokazała się w tej samej sukience, oberwało się od niej Marty Rodzik, „ekspertki” do spraw wizerunku. Chodziło o białą sukienkę prostego, marynarskiego kroju, długości do kolan, której niczego nie stosownego nie można było zarzucić. Oprócz tego, że żona prezydenta elekta była w niej widziana dwa razy. Skandal! Jak śmiała?!

O pani ekspertce niewiele było do tej pory wiadomo, ale natychmiast Internet wyłuskał zdjęcia ze ścianek świadczące o tym, że sama ma kłopoty z dostosowaniem ubrania do okazji. Na pastwę komentatorów z obu stron politycznej barykady wydano szczególnie jeden przykład stylizacji pani R. Szarobury zestaw z cienkiego trykotu, wyglądający na niezbyt drogi i tak obcisły, że nie zostawiał wątpliwości co do anatomii górnej części ciała. Mówiły wprost: sutki przebiegały przez tkaninę, dodatkowo jedna część golfu podwinęła się, odsłaniając ciało. Na rękę plastikowa bransoletka... „Jeśli chodzi o wizerunek, to dużo mogłaby się od pani prezydentowej nauczyć” – to jeden z najłagodniejszych wpisów.

Za pośrednictwem Kancelarii Prawnej Chwaliszewska i Wspólnicy Marta Rodzik opublikowała oświadczenie dla mediów, tłumacząc, że jej wypowiedź stanowiła „merytoryczną analizę w ramach zawodu eksperta od spraw wizerunku i dyplomacji”. Strzeż nas, Panie Boże, od takich ekspertów – chciałoby się powiedzieć.

Nie trzeba było długo czekać na następną kandydatkę. Tym razem była to minister kultury, Hanna Wróblewska, składająca w Berlinie kwiaty przed kamieniem upamiętniającym polskie ofiary drugiej wojny światowej. Ubrana była w czarny garnitur, na nogach miała sportowe skórzane buty z białym obramowaniem podeszwy. Mój ulubiony komentator, redaktor Wojciech Stanisławski, z właściwą sobie elegancją słowa skrzywił się na „pepegi”.

Otóż nie widzę niczego niestosownego w ubraniu pani Wróblewskiej i przypominam, że pepegi (o czym zapewne redaktor Stanisławski dobrze wie) to skrót nazwy „Polski Przemysł Gumowy”, spopularyzowany w latach 60., kiedy płóciennym tenisówkom na gumie nosiła w lecie cała Polska, bo innych butów nie było.

Styl ubrania dyplomacji i wysokich sfer zmierza w kierunku wygody. I bardzo dobrze, że te panie nie muszą cały dzień męczyć się w szpilkach, bo tak każe protokół wymyślony kilkadziesiąt lat temu. Dajmy im żyć! © ©



JERZY KARWELIS

DEKAMERONKI

Krowa na łyżwach

Mamy jakby dwa poziomy przełykania prezydenckiej porażki: polityczny i społeczny. Pierwszy, poziom polityczny, charakteryzuje się tym, że – znowu – dzieje się tylko narracyjnie. To znaczy, że po poradeniu sobie z listą obecności, którą była kwestia wotum zaufania do rządu, premier zapowiedział kontynuację swego kursu. Ale ten kurs miał właśnie wyłącznie podłoże narracyjne. Okazało się, że jednak za mało mówiono o sukcesach tego rządu, podczas gdy z działań konkretnych mieliśmy tylko tropienie pisizmu, który jak „deep state” umościł się w ważnych punktach polskiej państwowości i sypał piach w tryby nowego, o sfałszowaniu wyborów nie mówiąc. A ten właśnie narracyjny kierunek został zakwestionowany przez wyborców nie tylko poprzez głosowanie na mniejsze zło, lecz także w wykonaniu zwolenników Trzaskowskiego, których jest tak że dwa razy więcej niż zwolenników Tuska.

A więc rząd będzie dalej jechał w przepaść. A to w perspektywie dokończenia kadencji będzie już tylko procesem gnilnym, który im dłużej będzie trwał, tym gorzej dla rządzących. Nie widać bowiem żadnych innych pomysłów na to, by mieć jak dojechać do następnych wyborów. W związku z tym przeciwnicy rządu mają wyjątkową okazję... nicnierobienia. Tu nie trzeba, a nawet

nie wolno zagrzewać do walk z rządem – wystarczy tylko siedzieć na brzegu i patrzeć, jak spływają trupy wrogów, nie bełtać w wodzie, nie wydzierać się, bo to napędzi tylko – jak widać – przegrzaną społecznie dwójpółówkę. Rząd jest jak krowa, której wystarczyło tylko przypiąć łyżwy i puścić na zamrożnięte jezioro. Teraz już można tylko patrzeć.

Druga kwestia to trendy społeczne po stronie do niedawna uśmiechniętej. Hucpa z ponownym liczeniem głosów jest formą kompensacji za przegraną. Daje pewność wygranej, choć jedynie wirtualnej. Ponadto buduje kolejną sektę à la KOD, która będzie się napędzała przez całą kadencję. Do tego znowu dochodzą głosy pogardy do zapyziałych zwycięzców, co dowodzi tylko zamiaru kontynuacji procedury obrażania większości, co w demokracji matematycznej musi się skończyć zbiorowym samobójstwem lumpenelit.

Oba te podejścia – polityczne i społeczne – jeśli się nie poddadzą autorefleksji (ale tu urażona pycha przeszkadza), to tylko będą utrwały trend, który się zbawczo okazał po tych wyborach: odejścia od paradygmatu politycznych walk plemiennych, co może być końcem największej zmyły Polski: wojny polsko-polskiej. I to może największa korzyść z kolejnego głosowania z zaciśniętymi zębami za mniejszym złem. ©©



JAN POSPIESZAŃSKI

#WARTO

Samobójcy na platformach

Chcącemu nie dzieje się krzywda. Ta znana sentencja używana jest w kontekście dobrowolnie podejmowanych ryzykownych zachowań, więc można ją też odnieść do subkultury LGBT+. Patrząc na głośnych, poprzebieranych, podskakujących w rytm techno młodych uczestników tzw. parady równości, próbuję sobie wyobrazić tych samych ludzi za 30, 40 lat.

W swoim życiu naoglądałem się różnych kontestatorów. Pod hasłami wyzwolenia odrzucili oni „społeczne stereotypy”. Widziałem wiele niebanalnych biografii zwolenników „wolnej miłości” i sporo pokręconych losów. Im więcej było wokół „odważnych” eksperymentalnych postaw, tym bardziej dzikowałem Bogu za żonę, która wytrzymała ze mną już 47 lat, za dzieci i wnuki. Wiem, że brzmi to jak tanie moralizatorstwo, ale na koniec dnia wszystko inne niewiele się liczy. Jak śpiewał kiedyś Kuba Sienkiewicz: „Byłem na wsi, byłem w mieście, byłem nawet w Budapeszcie / Wszystko ch...”.

Owszem, zdaję sobie sprawę, że moje osobiste świadectwo nie wszystkich przekonuje. Spójrzmy zatem w społecznej perspektywie. Widzimy, jaki efekt w krajach Zachodu przyniosło wciele nie żądań nieograniczonej aborcji, antykoncepcyjnej i genderowej edukacji, instytucjonalizacji związków jednopłciowych i tranzycji

płci na koszt podatnika. I co? Mamy jak w laboratorium obraz społecznego eksperymentu. Tych, którzy nie są w stanie uznać, że rewolucja antropologiczna, niszcząc rodzinę, skutkuje epidemią zaburzeń psychicznych, plagą uzależnień i innych patologii, może przekona obserwacja postępującej katastrofy demograficznej. Zapaść populacyjna ciągnie zaś za sobą kaskadę problemów, które można krótko streścić: samobójstwo. Obserwując więc podskakujących na platformach golasów, przebiezańców i tęczowych dziwaków, zamiast radosnej imprezki widzę samobójców. Jeżeli brną w samozniszczenie – to ich sprawa. Niestety, oni nie robią tego za własne pieniądze i dla siebie. Chcą narzucić większości swój program, angażując w samobójczą rewolucję instytucje państwa. Polska stoi wobec realnego wojennego zagrożenia. Samobójcy z tęczowych platform nikogo nie obronią. Nie przeniosą też naszego dorobku następnym pokoleniom, bo sami uważają, że są „ostatnim pokoleniem”.

Wiadomo, że tęczowe inicjatywy finansowane są przez podmioty zagraniczne. Wrogie, zewnętrzne inicjatywy nie dziwią. Ale spore środki pochodzą też z kasy samorządów. Jak nazwać finansowanie samobójstwa własnego kraju z publicznej kasy? Do samobójcy na dachu wieżowca wysła się profesjonalnego negocjatora, a nie kogoś, kto razem z nim skoczy. ©©

SŁAWOMIR
JASTRZĘBOWSKI

ĆWIERKOT

Teofil przechodzi do historii

Anajlepsze, że jak te taśmy, no te wiecie Giertych-Tusk, zostały już puszczane, to wtedy dużo ludzi zrobiło tak: eee, wszystko wiadomo, takie tam taśmy kapiszony. Stop. Dobra, niech będzie, że kapiszony. W ogóle nie wyklócając się, czy wiadomo było czy nie było, pozwól państwo, że sobie parę razy z treści rechotne. Stop. To, że Tusk nazywa na taśmach niemałą część wyborców „zje.ami”, a Giertych „szitami”, wiadomo było? No, nie wyklócam się. Stop. To, że Giertych na taśmach mówi, że to lepiej, iż prokuraturę w zasadzie pacyfikuje Bodnar, a nie on, bo to lepsze wizerunkowo, wiadomo było? No, nie wyklócam się. Stop. To, że Giertych, będąc w tzw. sprawie „dwóch wież” adwokatem świadka, wie, jak toczy się to śledztwo, i wychwala politycznie zaangażowaną prokurator Ewę Wrzosek za postępy, wiadomo było? No, nie wyklócam się. Stop. To, że już sześć lat temu Giertych uważał Rafała Trzaskowskiego za trwale skompromitowanego z powodu g.... (jak sam to nazwał) z Czajki, wiadomo było? No, nie wyklócam się. Stop. Cóż, jeśli to wszystko było wiadomo i nie robi to na nas żadnego wrażenia, to z nami, jako społeczeństwem, jest kiepsciutko. Stop. I ostatni rechocik w tej sprawie, jak pomagier Tuska, Paweł Graś, utyskuje, że program PiS jest tak dobry, iż spodoba się społeczeństwu, i że w 2019 r. ten PiS pewnie znów wygra

przez to wybory. I rzeczywiście wygrał. Stop.

Nikt z organizatorów Parady Równości w Warszawie nie uznał za stosowne przeprosić za udział w marszu satanistów, w tym jakiejś ciężko niedorobionej umysłowo osobopostaci przebranej w szcztaki abortowanego dziecka. Stop. Demoralizacja i obrzydliwość stają się w stołecznej przestrzeni normą. Stop. Sojusz gejów z satanistami ma nie dziwić w mieście, którego prezydentem jest pan Rafał alergicznie reagujący na krzyże w podległych mu urządach. Stop. Tak, tak, patronat nad Paradą Równości miał Rafał Trzaskowski, który nie musiał już chować kolorowej flagi i ukrywać swoich tęczyowych zachwyty. Stop.

Przez wiele, wiele dni Polacy, którzy utknęli w Izraelu, nie mogli go opuścić po bombardowaniach przez irańskie rakiety, ponieważ państwo Tuska i Sikorskiego (szefa Ministerstwa Spraw Zagranicznych) nie potrafiło zorganizować ewakuacji. Stop. Dochodziło do rzeczy tak niewiarygodnych, jak oficjalne komunikaty, że każdy Polak jest sam odpowiedzialny, także finansowo, za wyjazd z Izraela. Stop. Do historii hańby polskiej dyplomacji przejdą zastępca Sikorskiego, Teofil Bartoszewski, i jego odezwa do rodaków: „Od wielu tygodni prosimy, żeby nie jeździć na te tereny, i jak ktoś tam jeździ, to na własną odpowiedzialność”. Stop. Teofil, jak ty mnie zaimponowałeś! ©©

DARIUSZ
WIEROMEJCZYK

SPODE ŁBA

Jedność i ciągłość!

Bardzo ciekawie zapowiada się zaplanowany na koniec czerwca kongres Prawa i Sprawiedliwości. Lokalne struktury PiS już szykują się do nadchodzącego święta wewnątrzpartyjnej demokracji. Dali temu wyraz delegaci 41. okręgu partii, zgromadzeni na zjeździe w Szczecinie. „W naszej głębokiej ocenie Jarosław Kaczyński, jako współtwórca i niekwestionowany lider naszej partii, jest gwarantem jedności, ciągłości ideowej oraz determinacji w realizacji programu, który służy suwerenności i rozwojowi Polski, sprawiedliwości społecznej i umacnianiu tożsamości narodowej” – ogłosili w piastowskim mieście nad Odrą aktywiści.

Sztandar „sprawiedliwości społecznej” może ponieść w partii tylko jeden człowiek, którego dotychczasowe kierownictwo „pozwoliło Prawu i Sprawiedliwości odgrywać kluczową rolę w życiu publicznym, zarówno w wymiarze ideowym, jak i praktycznym, służąc obywatelom i chroniąc interesy Państwa Polskiego”. Delegaci zwrócili się więc do Jarosława Kaczyńskiego o „dalsze przewodzenie naszej partii”.

Szkoda, że działacze partyjnych kolegów nie podchwycili na czas aktywności z odległych Bieszczad. Bez cienia przesady można by wtedy stwierdzić, że „wdzięczność za dotychczasowe kierownictwo Pana Prezesa” wyraża cała Polska, jak długa i szeroka.

Odpowiednie petycje wręczać powinny przywódcom delegacji dzieci z regionów, fantazyjnie przystrojone w ludowe stroje góralskie i zawodowy rysztunek rybaków. Przyszłe pokolenia działaczy nauczyłyby się przy takiej okazji już od małego zabiegać o zaklepane w sztafecie pokoleń stanowiska w lokalnych spółkach miejskich oraz urzędach gminnych.

Europoseł Joachim Brudziński przestrzegł swoich kolegów przed nieodpowiedzialną krytyką podobnych zachowań, stwierdzając: „Znam moją partię bardzo dobrze i wiem najlepiej, że to, co w polityce nazywa się procesem depersonalizacji partii politycznej, w wypadku PiS oznacza chaos i olbrzymie perturbacje”. Czy „partie spersonalizowane” oznaczają to samo, co „wodzowskie”? Nie jest to w demokracjach cecha korzystna. Joachim Brudziński podziela zapewne ten pogląd, wieszcząc w razie „depersonalizacji” PiS „chaos i olbrzymie perturbacje”. Warto przypomnieć, że najbardziej nawet zasłużony przywódca nigdy na dłuższą metę z „depersonalizacją” swojej władzy nie wygrał. Za przebieg tego procesu odpowiada kapryśna natura, na którą wpływ nie mają partyjne uchwały i zjazdy. „Chaos i perturbacje” można zamaskować lub odwlec, lecz przybierają one wtedy znacznie burzliwszy przebieg. ©©



KRYSZTIAN KRATIUŁ

Z INNEJ PERSPEKTYWY

Szatan LGBT

Jeszcze parę lat temu wzięto by nas za tych, których umiarkowanie pieszczotliwie nazywa się dziś „szurami”. Inni nazwaliby nas fanatykami. Bo przecież kto to widział, aby do debaty publicznej używać słów z zupełnie innego porządku, z języka religii?! Niejeden katolik wyśmiałby nas za niestosowne uwagi, bo przecież według nich to tylko „konstrukt intelektualny, który ludzkość sobie wymyśliła, aby jakoś nazwać, zrozumieć zło”.

Szatan. Ten, którego największym sukcesem pozostaje to, że zdołał przekonać część ludzkości, iż nie istnieje. A gdy już tego dokonał, zaczął działać jeszcze intensywniej, już nie tylko w indywidualnych przypadkach,

Boży porządek istnienia, demoralizują społeczeństwo, zatruwają umysły młodych ludzi, z jednej strony promując nieuporządkowanie i dewiacje, z drugiej strony uderzając w niewinność i rodzinę, a z trzeciej – promując kult ciała i pożądliwości.

Serio, gdy jeszcze kilka lat temu ktoś z nas mówił, że z tego wszystkiego cieszy się szatan, a pod postulatami LGBT z radością podpisałiby się sataniści, uznawano nas za oszołomów.

A dziś? Dzisiaj w paradach równości, nie po raz pierwszy zresztą, idą właśnie sataniści. OK, mogą jeszcze starać się przekonywać, że szatan jest dla nich po prostu „postać mitologiczną”, symbolem „humanistycznego nonkonfor-

i o „walkę z kryzysem klimatycznym” (to naprawdę postulat z ich strony internetowej, sic!).

Może nawet okazać się prawdą, że ci kroczący niedawno ulicami Warszawy w otoczeniu innych tęczyowych organizacji młodzi ludzie nie do końca mają tego świadomość. Że ukrywają się pod maskami kozłów i diabłów, bo zwyczajnie robią sobie jaja. Ale za nimi, jak zwykle, stoi ktoś, kto do brze wie, komu w rzeczywistości służy. I komu nie będzie służył.

Nie pierwszy już udział Global Order of Satan w warszawskiej „paradzie równości” nie powinien zostać przez nas zbagatelizowany, tak jak wielu bagatelizowało argument ad satanam na początku debaty o prawach osób LGBT. Nie przegapmy tego momentu, ponieważ jest on początkiem szerszego procesu ujawniania się satanistów całego świata.

Coraz więcej takich wrzutek widzimy w show-biznesie, coraz więcej w życiu społecznym. W 2015 r. pomnik szatana stanął w Detroit. W 2017 r. władze miasta Belle Plaine w amerykańskim stanie Minnesota wyraziły zgodę na ustawienie takiego pomnika w jednym z parków. W 2020 r. grupka mieszkańców... Szczecina chciała zbudować taki sam z budżetu obywatelskiego, projekt jednak odrzucono.

Cztery lata temu w Teksasie sataniści domagali się odwołania zakazu aborcji, argumentując, że „pozostaje ona w ich religii sakramentem, tym, czym dla katolików jest Msza”. W czerwcu tego roku jeden z maszerujących przez Warszawę fanów „mitologicznej postaci szatana” przyodziął maskę z rogami stworzonymi na kształt nóżek abortowanego dziecka.

Co dalej? ©©

**Gdy jeszcze kilka lat temu ktoś z nas mówił, że pod postulatami LGBT z radością podpisałiby się sataniści, uznawano nas za oszołomów.
A dzisiaj w paradach równości idą właśnie sataniści**

lecz także rozprzestrzeniając swą aktywność na masy społeczności ludzkiej. Zaczął przekonywać, że wszystko, co grzeszne i sprzeczne z ludzką naturą, powinno nie tylko przestać być pojmowane w kategorii grzechu, lecz także winno zostać najpierw tolerowane, potem zaakceptowane, a w końcu afirmowane i uprzywilejowane. I dopiero gdy uda mu się skusić większość świata do zgłodzenia oferowanego przezeń zgniłego owocu, może zacząć jawnie pokazywać swoją twarz.

I działa nadal, na tzw. paradach równości. Gdzieżby indziej?! Wszak przez lata ich organizatorzy świadomie promowali publiczne zgorzenie. Od lat kwestionują

mizmu”, „głosicielem prawdy” sprzeciwiającym się fałszywemu ponoć porządkowi, „ufającym nauce, a nie religii”, ale ich znakiem rozpoznawczym wciąż pozostają głowa kozła i pentagram.

Bo przecież każdy proces ma swoją mądrość etapu. Zanim zaczną przyznawać się do oddawania Księciu Ciemności czci na czarnych mszach, minie jeszcze trochę czasu. Na razie społeczeństwo trzeba oswoić z tymi znakami, symbolami, postulatami, a nawet nazwą. Przekonać, że to tylko takie niewinne gierki, swoiste mrugnięcie okiem, iż tak naprawdę chodzi im tylko o wolność, równość i braterstwo, o „naukowy światopogląd”

Wojciech Cejrowski
korespondencja z USA

Męczące bzdury na temat Iranu – pełno tego. No np. Polsat: „Ostrzelano rafinerię koło Teheranu – to wpłynie na wzrost cen ropy. W Polsce cena benzyny może wzrosnąć powyżej 7 zł za litr”.

Iran ma nałożone sankcje na sprzedaż ropy, więc rozwalenie im jednej rafinerii nie ma znaczenia dla cen światowych. Ponadto odkąd Trump objął władzę, wydobycie w USA rośnie w tempie ekspresowym, a to powoduje spadek cen na świecie. Nawet gdyby rozwalono wszystkie rafinerie w Iranie i cały tamtejszy przemysł wydobywczy, to i tak nie ma to znaczenia dla cen światowych, a na dodatek wszyscy inni producenci paliw się cieszą. Wszyscy razem, pomimo że są tak różni, a nawet pokłóceni. Ucieszy się Rosja, ucieszą wszystkie Emiraty i Arabie, ucieszy się Wenezuela, a razem z nimi Stany Zjednoczone – wszystkim im opłaca się, gdy instalacje w Iranie zostają rozwalone. Nieważne, co mówią głośno, ważne, co mówią kalkulator na ich biurku.

Gdy USA zwiększają wydobycie ropy i gazu, wówczas wszystkim zależy, aby kto inny produkował mniej, bo gdy Amerykanie produkują więcej i więcej, to cena na światowym rynku spada i spada, aż w końcu wydobycie przestaje się opłacać, gdy koszt wydobycia jednej baryłki jest wyższy niż cena, za jaką da się tę baryłkę sprzedać. Kryzys nadmiaru, czyli fachowo „kryzys nadprodukcji”. Tak było za pierwszej kadencji Trumpa – amerykańskie wydobycie wzrosło tak, że producenci sprzedawali



FOT. W. CEJROWSKI / LUDYJARDISAW.SUSNICKI

benzynę poniżej swoich kosztów produkcji. Wtedy Trump odbudował amerykańskie zapasy strategiczne paliw. Po czasach Obamy zbiorniki federalne były puste. Trump je napełnił pod korek, płacąc grosze, a producenci i tak byli szczęśliwi, bo udało im się trochę zarobić.

Za pomocą zwiększonego wydobycia ropy Trump zachęcił też kraje arabskie, by zaczęły podpisywać Porozumienia Abrahama. Wszystkim zależało na utrzymaniu cen paliw na takim poziomie, by wydobycie było opłacalne, więc siedli do stołika, przy którym dogadali się skutecznie nie tylko w sprawie ropy. Handel zamiast wojny – taka jest doktryna Trumpa.

Tę samą doktrynę stosuje wobec Iranu. Proponuje handel, lecz aby handel był możliwy, Ameryka nie życzy sobie, by Iran posiadał bomby atomowe. Czy to jest w ogóle uczciwe stawianie sprawy? Te wszystkie dodatkowe warunki... Jest uczciwe. Iran od kilkudziesięciu lat rozdaje broń terrorystom islamskim i wcale się z tym nie kryje. Sami o tym donoszą z DUMĄ. A skoro mają ten swój obyczaj rozdawania broni terrorystom, to Ameryka nie życzy sobie, by w arsenale tej broni była dodatkowo broń atomowa. Bo gdyby Iran miał pociski nuklearne, to mogłoby Iranowi przyjść do głowy, by któryś z tych pocisków podarować bandytom z plemienia Huti lub bojówkom Hamasu czy Hezbollahu.

Przed rewolucją w Iranie władcą był szach, tak jak w Rosji przed rewolucją władcą był car. A potem przyszła rewolucja i stary porządek świata został zmieciony. Na gruzach carskiej Rosji powstało państwo niemające nic wspólnego z dawnym imperium i tradycją Rosji. W Iranie po rewolucji islamskiej powstało państwo islamskie, teokracja niemająca nic wspólnego z tradycją i kulturą dawnego imperium perskiego. W obu przypadkach po rewolucji powstały krwawe dyktatury. W obu przypadkach za drobne odstępstwo od doktryny (komunistycznej lub islamskiej) karę śmierci serwowano tak łatwo, sprawnie i szybko, jak hamburgery w barze szybkiej obsługi. Wcześniej rosyjski car, podobnie jak szach Iranu, rządził twardą ręką, ale w porównaniu z barbarzyńcami, którzy objęli władzę po rewolucji, obaj wyglądali jak pudel przy buldogu.

Muzułmanie dzielą się na dwie główne grupy: szyitów i sunnitów. Ten podział trwa od wieków, a o co poszło, to nas w tej chwili mało obchodzi.

Iran to teokracja. Krajem rządzi „ajatollahy”, czyli kapłani w turbanach. Są szyitami i ci są z naszego punktu widzenia gorsi od sunnitów, bo uważają, że na całym świecie przymusowo ma być kalifat i prawo szariat albo... śmierć, gdyby ktoś nie chciał się temu podporządkować. Ich drogą

do nieba jest zginąć na wojnie z niewiernymi, a niewiernym jest każdy, kto nie jest szyitą. Szyici chcą pozabijać nie tylko Żydów i chrześcijan, lecz także swoich braci sunnitów – dla nich wszyscy jak leci są niewiernymi. Ich drogą do nieba jest zginąć w świętej wojnie z niewiernymi. Co to oznacza? Chcą zginąć w wojnie z niewiernymi, bo to prowadzi do nieba. Śmierć w wojnie z niewiernymi jest ścieżką do nieba. Chcą zginąć, bo to zbawia. Śmierć zbawia...

Mówiąc krótko: z naszego punktu widzenia szyici to samobójcy, którzy wraz ze sobą chcą zabić jak największą liczbę niewiernych. Iranem rządzą samobójcy. Każde inne państwo posiadające broń nuklearną nie chce zginąć. Ma tę broń do obrony lub do ataku, ale zastosuje tę broń tylko w ostateczności i zawsze z taką myślą, żeby samemu przy tej okazji nie zginąć. No ale nie Iran. Iran chce zginąć, bo na tym polega ich doktryna religijna, że gdy szyita ginie na swoich warunkach – na tej ich świętej wojnie z niewiernymi – to szyita idzie do nieba. Rosja nie uderzy pociskami atomowymi w USA, bo Rosja nie chce zginąć. No ale Iran jest jak najbardziej otwarty na koncepcję własnej śmierci, pod warunkiem że umierając, pozabija odpowiednią liczbę niewiernych po naszej stronie.

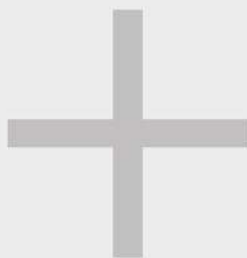
Iran jest pod okupacją ajatollahów od roku 1979. Mówienie, że Persowie mieszkający w Iranie są kulturalnym narodem z tradycjami, jest prawdą. Ale mówienie, że Iran jest państwem z tradycjami perskimi, jest nieprawdą. W Iranie rządzą siły okupacyjne – islamiści. Tak samo jak w Polsce po drugiej wojnie światowej rządzili komuniści. ©

Uwaga: nowe ceny na rok 2025

TYGODNIK LISICKIEGO

**DO
RZECZY**

ROCZNA PRENUMERATA TYGODNIKA „DO RZECZY”



W PREZENCIE

KSIĄŻKA

ABP FULTON J. SHEEN:
„DEKLARACJA PODLEGŁOŚCI”
ORAZ DOSTĘP DO E-WYDANIA



~~933~~ Zł

465,00 Zł

OSZCZĘDNOŚĆ 468 Zł

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

- Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania
- | Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | Każde wydanie trafi do Ciebie pocztą bez dodatkowych opłat
- | W cenie dostęp do e-wydania, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:

WEJDŹ NA SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL, WYBIERZ I ZAMÓW W WYBRANEJ OFERCIE

WPŁATA NA KONTO: **UWAGA NOWY NUMER: 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006**

W tytule przelewu prosimy o podanie danych adresowych oraz adresu e-mail

Do Rzeczy S.A., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:

Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

ZOBACZ NASZE OFERTY: **SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL**

WIĘCEJ INFORMACJI | E-MAIL: prenumerata@mpg.pl | TELEFON: 508 040 664, 539 953 631 (pon-pt od 10:00 do 16:00) | INTERNET: subskrypcja.dorzeczy.pl

eprasa.pl c713b17c79

polityczne podsumowanie tygodnia

PIĄTEK

17:30

w Republice



 www.radiotvrepublika.pl

 [Telewizja Republika](#)

 [@RepublikaTV](#)

 [RepublikaTV](#)

 [@RepublikaTV](#)

Republikę oglądać można na ogólnopolskim multiplexie naziemnej telewizji cyfrowej tzw. MUX-8 na pozycji 51 listy kanałów. Niezbędna do tego jest antena kierunkowa np. typu YAGI, ustawiona, w zależności od miejsca zamieszkania, poziomo lub pionowo. Ustawienie anteny sprawdź w aplikacji EmiMaps. Ósmy multiplex dociera prawie do 95% Polaków i jest nadawany w zakresie VHF. Dodatkowo można nas oglądać przez satelitę (Polsat Box, CANAL+, Orange), w sieciach kablowych, IPTV oraz w lokalnych multiplexach z Ornontowic – MUX L2 oraz Lubina i Głogowa – MUX L7. Republikę obejrzysz na żywo także na serwisie www.tvrepublika.pl, a wszystkie programy znajdziesz na oficjalnym kanale YouTube: @Telewizja_Republika.



SKANUJ KOD QR
WSPIERAJ
DOM WOLNEGO
SŁOWA